
ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

OPIŚ

OBYCZAJÓW W XV-LECIU MIĘDZYSOJUSZNICZYM

TOM II

A TERAZ KONKRETNIE



WYDAWNICTWO
ANTRAKT

ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

OPIS OBYCZAJÓW W 15-LECIU
MIĘDZYSOJUSZNICZYM
1989-2004

Część I - *Odślanianie dramatu*
(społeczeństwo)

Część II - *A Teraz Konkretnie*
(media)

Część III - *Teatr to miejsce spotkania*
(sztuka)

tom pierwszy - Paradoks

o Ogródkach

tom drugi - Thea to znaczy widzenie

Piętnaście lat Konkursu Teatrów Ogródkowych
to kanwa opowieści o obyczajach III RP

Teoria estetyczna, praktyka polityczna,
obyczaje kulturalne

Sztuka, media, pieniądze

Opisy spektakli, relacje zdarzeń, portrety ludzi

OPIŚ OBYCZAJÓW W XV-LECIU MIĘDZYSOJUSZNICZYM

*I zbudowali ten gmach, gdzie kolumny
Są charaktery.
A każdy sam jest, i że sam, to dumny
Król swojej sfery*

C. K. Norwid "Do Pani na Korczewie" - 10

ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

O P I S
O B Y C Z A J Ó W
W X V - L E C I U
M I Ę D Z Y S O J U S Z N I C Z Y M

TOM II

A TERAZ KONKRETNIE

Historia XV lat Konkursu Teatrów Ogródkowych
(1992-2006)

to kanwa Opisu Obyczajów
w XV leciu międzysojusznicznym
lat 1989 -2004

WYDAWNICTWO
ANTRAKT

A TERAZ KONKRETNIE Andrzej Tadeusz Kijowski

Redakcja: ALICJA GÓRNY

Korekta: DOROTA i MAŁGORZATA GAGLA

Projekt okładki i opracowanie techniczne: HANNA KARPIŃSKA

Na okładce: *Bijatyka ślepych muzyków*, Georges de La Tour , 1625-30,
W zbiorach prywatnych

© Copyright by Andrzej Tadeusz Kijowski
Wydawnictwo „AnTraKt”

ul. Jaworzyńska 5 m. 4, 00-634 Warszawa
tel./fax +48 22 825 49 67, antrakt@kijowski.pl,
www.opis-obyczajow.pl

ISBN 978-83-923292-7-5

Printed in Poland

Wydawnictwo: „AnTraKt”
Warszawa 2010

Wyd. I. Nakład 1000 egz.

Papier druk: Speed-E 80g

Karton na okładkę jednostr. powlekany Arktika 250g

Oddano do składu 2 listopada 2010

Podpisano do druku w listopadzie 2010

Druk ukończono w listopadzie 2010

Druk:

Team-Serwis Poligraficzny Spółka Jawna

Warszawa, ul. Jana Pawła II nr 20

SPIS TREŚCI

KONCESJA WOLNOŚCI SŁOWA <i>Marek Król</i>	1
AKT I. EKSPOZYCJA W PRASIE	
I Powroty Zbigniewa Herberta czyli media własne nasze	5
II Gelberg z TySol-u czyli polowanie na łosia	13
III Piotr Wierzbicki i „Nowy Świat”	17
IV Adam Kinaszewski czyli cisza nad trumną	25
V „PAX” z „Telegrafem” czyli co może Hagmajer	31
AKT II. KONFLIKT O TELEWIZJĘ	
VI Chojecki i Komar czyli co nam Zdrady	43
VII Wellman i inni czyli filozofia zmiany	53
VIII I Boni nas nie obroni	63
IX Z księciem Karolem i matką Teresą – dziel i rządź	73
X Solorz i Grauso – wojna o kasę	81
XI Od Religi po Wałęsę – hipokryzja elit	87
XII Kwaśniewski czy Blida, a cyfra nadchodzi	99
XIII O obrotach sfer Wolszczana	111
XIV Snopkiewicz albo Fala	121
AKT III. KATASTROFA Z MEDIAMI	
XV Stefan Bratkowski czyli Nieprzyzwoitość	129
XVI Krystyna Mokrosińska czyli Ciotka Rewolucji	133
XVII Rok Lwa czyli GTW	139
XVIII Niesprawiedliwość sądu i bezkarność prasy	143
XIX Błogosławione niech będą koncesja i regulacja	149
XX Wiadomości o Dniach Dobrych Wiadomości	157
XXI Po czemu wolność wypada mediom	165
INDEKS	171

KONCESJA WOLNOŚCI SŁOWA

„Wolność słowa gwarantują tylko słowa”- to najbardziej bolesne, ale także prawdziwe stwierdzenie autora Andrzeja Tadeusza Kijowskiego. „Słowa, słowa, słowa, słowa” chciałoby się zacytować za Poetą z „Wesela” Wyspiańskiego, bo Kijowski opisując karnawał wolnych mediów lat 90. spuentował go w iście młodopolskim stylu. Karnawał nasz, który podobnie jak autor i ja przeżywałem, miał okresy radosnej nadziei, wiary w odzyskaną wolność słowa i niestety coraz częstsze epizody pełne goryczy, rozczarowań i dyktatu jedynie słusznych strażników ładu medialnego.

Autor był uczestnikiem i świadkiem tego karnawału mediów pracując w „Tygodniku Solidarność”, „Nowy Świat” po Nową Telewizję Warszawa (NTW) - Nicoli Grauso. A.T. Kijowski udokumentował klatka po klatce swoje przygody z różnymi wydawcami i relacje między wolnymi mediami i politykami. Niekiedy relacje te przypominały zmagania pupy z batem. Oczywiście bat mieli politycy, którzy, jeżeli tylko była okazja, ćwiczyli nasze dziennikarskie pośladki grożąc zamknięciem stacji czy odebraniem tytułu.

Andrzej Tadeusz Kijowski przeprowadził wstrząsającą wiwisekcję organizmu medialnego III RP, która dzisiaj, tak naprawdę, jest sekcją zwłok wolności słowa. Ta wstrząsająca wiwisekcja pokazuje czytelnikowi ile wolności nam zostało. Tylko kilka procent Polaków czyta prasę, co nieustannie przypomina autor. Pozostałe ponad 90% społeczeństwa żyje w infosferze telewizyjnej. A sfera wolności podlega koncesjonowaniu przez państwo, czyli przez partię rządzącą.

Autor przypomina wzruszający zapis naszej konstytucji zakazujący cenzury prewencyjnej środków masowego przekazu oraz koncesjonowania prasy. Niestety już w następnym zdaniu ustawy zasadniczej zezwała się na wprowadzenie koncesji dla nadawców radiowych i telewizyjnych. Skoro tak, to politycy taką ustawę przygotowali, by wolną prasę zrównoważyć koncesjonowanymi radiem i telewizją. Ustawa o Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji stwierdza: „Koncesji nie udziela się, jeżeli rozpowszechnianie programów przez wnioskodawcę mogłoby spowodować zagrożenie interesów kultury narodowej, dobrych obyczajów

wychowania, bezpieczeństwa i obronności państwa oraz naruszenia tajemnicy państwowej”. Kijowski wielokrotnie wraca do tego potworka ustawowego obrażając największe gazety i tygodniki, które tego zapisu nie zauważyły. Czuję się zawstydzony jako naczelny i wydawca „Wprost” w tamtych czasach, gdy uchwalano tę ustawę. Biję się we własne piersi i uważam, że Kijowski ma prawo i obowiązek wymierzyć policzek nie koncesjonowanej prasie, która nie zauważyła zapisu rodem z PRL-u. Tak jak w tamtym systemie i dzisiaj ludowa władza z KRRiT może nie przyznać koncesji na przykład telewizyjnej, gdyby podejrzewała, że Mariusz Walter lub Zygmunt Solorz mogliby spowodować zagrożenie interesów kultury narodowej, nie wspominając o obronności i bezpieczeństwie państwa.

„A Teraz Konkretnie” należy przeczytać, by zrozumieć dlaczego władza III RPRL do takiego bezprawia wobec właścicieli TVN-u i Polsatu nie dopuści. Koncesja wolności słowa jest fundamentem wolności słowa w Polsce. I rację ma A.T. Kijowski, że wolność słowa gwarantują tylko słowa.

Marek Król

AKT PIERWSZY

EKSPOZYCJA W PRASIE

I

POWROTY ZBIGNIEWA HERBERTA
czyli Media własne – Nasze!

Słońce przebiło się przez zasłonę. Na Długiej miałem piękne, jasne, przestronne mieszkanie. Jego usytuowanie na posesji dawnego konwiktu teatynów sprawiło, że miałem wrażenie, iż mieszkam nawet nie w tym samym domu, bo go wszak zburzono, lecz w tym kubie przestrzeni, gdzie kształcił się Stanisław August Poniatowski – absolwent tej szkoły. Miało dodatkowy balkon, gospodarczy skierowany na północ ku wieży Intraco. Z okien widać było wznoszący się po dwudziestoletnich perturbacjach ze śladami po synagodze Błękitny Wieżowiec. Nieco na południowy wschód – płaski dach Teatru Wielkiego. W tle wieżycza Pałacu



*Długa od strony Freta z Kolegium Teatynów
w perspektywie po prawej stronie ulicy*

Kultury. Dalej zza dwóch wysokich topoli wyglądała Kolumna Zygmunta. *A w tle jakieś szare świeciło w perspektywie sinej – Miasto Stare...*

Słońce świeciło, ogrzewało zamykaną loggię i moją drogę z domu do parkingu na ulicy Bugaj, gdzie trzymałem swojego steranego malucha. Biegłem koło najmniejszego domku w Warszawie, gdzie kupowałem gazety. Czasem przysiadalem w kawiarence „U Pana Michała”. Tam niby prawdziwy żabojad zamawiając un express, szybko przerzucałem gazetę, by w pracy nie napawać się na oczach kolegów satysfakcją z odnajdywania swego nazwiska w stopkach obok coraz to nowych tekstów, a z czasem i telewizyjnych programów

W całej tej awanturze o media, która toczy się od początku nowego tysiąclecia czy pamięta ktoś jeszcze, co znaczy to słowo? Media – czyli pośrednik, przekaznik, obiektywny obserwator. Chyba od czasu, kiedy po wyrwaniu telewizji z rąk Jerzego Urbana i mianowaniu prezesem Radiokomiteu śp. Andrzeja Drawicza „Gazeta Wyborcza” triumfalnie obwieściła, że już i telewizja jest nasza, nikt w istocie nie myślał o bezwarunkowej wolności mediów. Media nie miały być wolne – miały pozostać n a s z e.

Nasze... tylko że nas zabrakło!

Czy lepiej by było, gdybyśmy byli?! Dobre pytanie. I moja jednoznacznie negatywna odpowiedź. Bóg łaskaw, że nas nie ma. Kto bowiem znalazłby dzisiaj siłę, by walczyć z nami?! Z mediami podporządkowanymi jednej opcji politycznej. Z naszą telewizją, naszą prasą, radiem i naszymi zakusami na rozprzestrzenianie pakietów telewizji cyfrowej zwanych multipleksami. Kto walczyłby z nami, gdy wśród nas był cały łysiejący KOR, przyprószone siwizną pierwsza narodo-wo-wyzwoleńcza „Solidarność”, pampersi z brzuskami, a pewnie też co bardziej zasłużeni rzecznicy i propagandziści PRL-u, którzy jak Marcin Świącicki, Mariusz Walter, Andrzej Olechowski, a pewnie i Aleksander Kwaśniewski też coraz bardziej byliby nasi – dzięki okrągłości Okrągłego Stołu.

A tak, nie ma nas – nie ma ani telewizji Chojeckiego, ani projektu Terleckiego, ani imperium Walendziaka. I po polsku: wszyscy konkurenci cieszyli się, gdy jednych zamykała policja, inni nie dostawali koncesji, jeszcze inni bankrutowali.

Nas więc już nie ma: ani jako środowiska, ani jako któregokolwiek z przegranych, rozproszonych, niepotrzebnie ze sobą konkurujących produktów medialnych. Niedobitki w rodzaju Leskiego czy niżej podpisanego kręcą się po blogerskich salonach.

Odradza się za to znowu Ich (wpierw post PZPR-owska w wykonaniu Kwiatkowskiego, w czasach prezesa Farfała w roku 2009 w istocie post WRON-ia, bo z rekomendacji syna Macieja Giertycha, a za chwilę jeszcze jakaś inna) polityczna kontrola nad telewizją publiczną.

Jest Ich (to znaczy ludzi środowiska gierkowskiej propagandy sukcesu) wpływ w TVN Mariusza Waltera.

Są Ich (to znaczy pogrobowców i dziedziców ZSL-u) wpływy w Polsce zarządzanym programowo przez Carycę TVP wszystkich reżimów Ninę Terentiew.

W chwili, gdy środowiska będące spadkobiercami opozycji demokratycznej mają coraz mniejszy wpływ na prasę, a udziały może w kilku stacjach radiowych,

jednak w prywatnych mediach są praktycznie nieobecne (zaś ostatni przyzwoici pracownicy Telewizji Publicznej czekają na emeryturę, zmieniają skórę lub są po prostu zwalniani z pracy), może ostatnia to chwila, by pomyśleć kim jesteśmy, kto jest wśród nas i czego od mediów chcemy.

Łączy nas wiara w wolność słowa. Wiara w media, dziś tysiącokrotnie potężniejsze niż dwadzieścia lat temu. Media z telewizją, sieciami kablowymi, komórkowymi i owocującym dziś blogosferą Internetem. Media prywatnych pracodawców, operatorów multipleksu, nadawców telewizyjnych. Jesteśmy z produkcji i z reklamy. Nie z jakichś Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych ani z polityki – jesteśmy z wolnego rynku, dla którego produkujemy: nakład, oglądalność, słuchalność.

Tacy jesteśmy dzisiaj my, ludzie, którzy traktują literalnie prawo jednostki do wyrażania swoich poglądów. Ludzie, którzy wierzą w mądrość społeczeństwa. Dziennikarze i publicyści, którzy uznając prawo dostępu do informacji *w z a s a d z i e*, nie mają zarazem zamiaru *w s z c z e g ó l n y c h* przypadkach dostępu takiego zakazywać. Kiedyś tacy jak my nazywali się demokratyczną opozycją.

Tylko czy mam prawo używać liczby mnogiej? Czy żyje jeszcze ktoś, kto się pod tym moim „manifestem” zechce podpisać?

Może pora wytłumaczyć, jak doszło do tego, że większość życia spędziłem praktycznie na wygnaniu, włócząc się po jakichś teatralnych ogrodach.

Wolność 4 czerwca zastała mnie w Szkole Teatralnej. Tam z Grażyną Matyjaszkiewicz i Jerzym Jacklem, który wslawił się tym, iż wymyślił nazwę dla Porozumienia Centrum, odtwarzaliśmy „Solidarność”, której nawet zostałem pierwszym uczelnianym przewodniczącym. Potem wydarzenia nabrały przyspieszenia. Pamiętam spotkanie związkowej struktury artystycznej zwanej „poziomką” komisji uczelnianych NSZZ „Solidarność” przełomu roku 1989 i 1990. Gdy popatrzyłem na rozwianą czuprynę przedstawiciela Akademii Muzycznej, późniejszego wiceministra kultury Jacka Weissa, którego związek wydeleguje nawet w krytycznym roku 1999 na to ministerialne stanowisko, zrozumiałem, że korporacja zawodowa twórców przez duże „Tfu...”, to już z pewnością nie jest moja bajka. Robienie za pana od wuefu, czyli nikomu niepotrzebnej „estetyki teatru”, pisanie za aktorów prac magisterskich bądź tolerowanie, że ktoś inny ten kierat na siebie za wynagrodzeniem bierze, też nie zgadzało się z moim temperamentem. Zatem moje drogi rozeszły się także i z uczelnią.

I wtedy, wnet po przejściu „Tygodnika Solidarność” przez Kaczyńskich i wyrwaniu go z rąk mazowieckich dworaków, zgłosił się do mnie Urbański



*Zbigniew Herbert
na Promenady,
14.III.1991*

Fot. A. T. Kijowski

stawiając zadanie: przyciągnąć do „Tygodnika” intelektualną elitę. Opowiadałem już o tym, jak się wówczas czułem. Ale nie opowiadałem, jak pewnego dnia w mym prywatnym mieszkaniu zadzwonił telefon.

– Dzień dobry panu – usłyszałem drżący głos w telefonie. – Czy to pan jest kierownikiem działu kulturalnego w piśmie „Tygodnik Solidarność”?

– I owszem – odparłem zniecierpliwiony, gdyż oderwano mnie właśnie od jakiejś niezwykle pasjonującej domowej pracy.

– Bo widzi pan – ton rozmówcy stał się razem nachalny i płaczkliwy, jakby prosił o reprimendę. – Ja jestem poetą, a państwo pewnie w tak poważnym organie wszechzwiązkowym poezji nie drukujecie...

Już miałem potwierdzić i przegonić nachała, gdy naraz ten autoironiczny ton, ta wyraźnie udawana pokora, zwyczajna „zgrywa” wydała mi się znajoma. – Pan Zbyszek? – spytałem niepewnie.

– A i owszem, owszem – głos poety przeszedł w wyższe rejony, zaczął brzmieć godnie i dostojnie. – Witam Nad-Redaktora.

– To już w kraju? – spytałem.

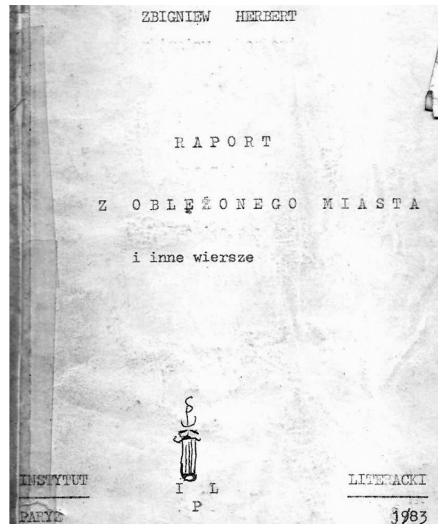
– Tak – odpowiedział. – Postanowiłem wrócić na kamienne łono ojczyzny.

No i tak to się zaczęło. Na drodze do odebrania Herbertowi szans na Nagrodę Nobla byłem wstępnym etapem, pochlebiam sobie, że jeszcze nie tym najbardziej niefortunnym.

W mieszkaniu przy Promenady spędziłem nie wiem czy najszcześniejsze, ale niewątpliwie inicjacyjne dni mego małżeństwa. Mieszkalem tam u Herbertów w sumie trzy miesiące, od lipca do października 1977 roku po moim pierwszym ślubie. Kilka dni z panią Kasią i Zbyszkim. Potem Herbert wyjechał na Zachód, za nim po miesiącu wyruszyła pani Katarzyna. Przez dwa miesiące pracowałem przy biurku i myszkowałem w bibliotece poety.

Kolejny raz zjawiłem się w tym mieszkaniu w listopadzie 1983 roku. Mimo, że stan wojenny zastał autora „Raportu z oblężonego miasta” na Zachodzie, gospodarze wrócili do kraju. Przybiegłem do Zbyszków by pożyczyć na kilka dni jedyny, legalnie wwieziony tom „Raportu z oblężonego miasta” wydanego w „Kulturze Paryskiej”. Dopadłem maszyny i wiersz po wierszu, strona po stronie przepisałem tomik przez kalkę w pięciu numerowanych egzemplarzach. Potem pracowicie go zszywałem. Cztery przebitkowe kopie pan Zbyszek podpisał. Miałem dla najbliższych przyjaciół piękne prezenty gwiazdkowe. Mój egzemplarz uzdolniony plastycznie poeta ozdobił własnoręcznie wykonanym logo Kultury Paryskiej i dedykacją.

Po tym telefonie nastąpiło spotkanie trzecie. Zawdzięczałem je determinacji i uporowi. Kiedy bowiem w lipcu 1990 roku obejmowałem posadę w „Tygodniku”, zwróciłem się z zaproszeniem do wszystkich byłych współpracowników pisma z okresu redakcji Mazowieckiego. Odpowiedzieli mi nieliczni tylko, z Krzysztofem Wolickim i Romanem Zimandem na czele. Pan Zbyszek, przebywający w tym czasie w Paryżu, przysłał list krótki i obraźliwy. Stwierdził, że nie ma zwyczaju publikować w pismach, których nazwiska naczelnych





Katarzyna z Dzieduszyckich Herbertowa

Fot. A. T. Kijowski

reaktorów są trudne do zapamiętania. Wkroczyłem wtedy do gabinetu Krzysztofa Czabańskiego, zastępcy Jarosława Kaczyńskiego. Położyłem na biurku listę nazwisk z adresami, na której byli mieszkający w Paryżu Brandysowie, Herbert, Olga Scherer, Giedroyc i jeszcze kilku warszawskich pisarzy i postawiłem ultimatum: na te adresy ma iść stała i darmowa prenumerata. Czabański mi uległ. Odtąd każdy wypieszczony i ozdabiany coraz lepszymi nazwiskami numer pracował dla mnie tak skutecznie, iż po pół roku lektury Herbert uznał, że mój dział kultury w naszym „Tygodniku” jest właśnie „nasz”.

Przeprosiwszy za pisany pod wpływem pro-mazowieckich emocji list, obiecał mi Poeta wiersz i zaprosił na ulicę Promenady. Nie zapomniałem dyktafonu ani aparatu i tak oprócz prawa pierwodruku w „Tygodniku Solidarność” tytułowego wiersza z przygotowywanego właśnie tomu Rovigo, w marcu 1991 przeprowadziłem z Herbertem wywiad, który zatytułowałem „Jak tu teraz żyć?”.

Cóż to była za praca! Przesiedziałem z Herbertem w jego gabinecie ładnych kilka godzin. Rozmawialiśmy w stylu dalekim od wywiadu, jakby wróciły czasy gdy żył mój Ojciec, przychodzili Brandysowie, Międzyrzeccy, a ja czasem

zadawałem pytania nastolatka. Mam to wszystko nagrane. I może kiedyś pokażę. Pan Zbyszek mówił bowiem cudowności, a potem opowiadał rzeczy straszne. Wszystko miał za złe, urażał ludzi.

A przecież nie mówił, że to państwo, że media nie nasze. Przeciwnie. Twierdził, że oto nastaje normalność. Wtedy wydawało mi się to niesprawiedliwe. Więc do wywiadu wprowadziłem tylko to, co wiecznotrwale. Gdy wróciłem po kilku dniach spisywania z taśm i przyniosłem materiał, Herbert przebiegł tekst wzrokiem i z właściwym sobie patetyzmem skłonił mi się nisko.

– Jesteś pan wielki – rzekł teatralnie. – Zmuszasz mnie do czynu. Następnie zastrzyknął adrenalinę i zamknął się w pokoju oddawszy mnie pod intelektualną i kulinarną

opiekę pani Kasi. Po dwóch godzinach tekst był gotowy. Herbert nie zmienił nic. Nie dodał ani nie ujął ani jednego zdania. Wszystko pozostało jak w mojej redakcji choć... brzmiało inaczej. Tekst, który mu przyniosłem był bowiem dosłownym zapisem wypowiedzianych przezeń słów. Redagując te same treści Herbert wszystko raz jeszcze napisał od nowa. Poprawił interpunkcję, czasem dodał



przymiotnik, zadbał o kadencję. Wywiad zmienił się w literacką prozę – nabrał brzmienia.

Po tych dniach marcowych spędzonych między mieszkaniem Herberta, a oddziałem położniczym na Karowej, gdzie w śmigus-dyngus będący tego roku Prima Aprilisem miała zameldować się na świecie moja córka Kamila, literaturze pozostał wywiad publikowany w Wielkanocnym numerze „Tygodnika Solidarność”.¹ A mnie nagroda krytyki w postaci wiecznego pióra, którym do dziś się posługuję i jeszcze jedna dedykacja. Może nawet coś więcej. Słowa, które z biegiem lat i dni jakby większego nabierają znaczenia.

Wywiad żyje. Często jest cytowany, bywa przedrukowywany. Nie sposób go pominąć, choć budzić mogą politowanie zabiegi poczynione przez Andrzeja Gelberga, który zrobiwszy wraz z Anną Poppek dokładnie to, co ja uznałem za małość, tzn. wydobywszy z poety oceny doraźne i takie, które wielu przysporzyły mu wrogów – dzieje związku Herberta z „Tygodnikiem” opowiada tak, jakby nasz świat odzyskany został wtedy, gdy tak naprawdę się kończył, czyli w roku 1994. Jakby wszystko zaczęło się wtedy, gdy szefem związkowego pisma został wybitny menedżer transportu samochodowego, a niedawne czasy, gdy z kierowanym przeze mnie dziełem kulturalnym „Tygodnika” współpracowali tacy ludzie jak Tomasz Burek, Ernest Bryll, Paweł Hertz, ks. Jacek Salij, Romand Zimand, czy sam Zbigniew Herbert, były mało znaczącym epizodem.

Nie, nie mówi przeze mnie pretensja ani nawet żal. Wspominam o tym, gdyż *opisują obyczaje*. A w tych w Polsce panuje niezmienna zasada zrywania ciągłości. Każdy nowy szef stara się pomniejszyć rolę poprzednika. Zamiast doskonalić, deprecjonuje przeszłość. Jeśli tylko zdoła, zmieni szatę graficzną, nawet logo, zamachnie się na tytuł. Rząd wyobraża sobie władzę jako zmienianie ustaw. Parlament uzna za stosowne poprawiać Konstytucję. Każdy chce zmieniać sądząc, że w ten sposób najłatwiej da się zapamiętać. I tak jeden bubel zastępuje kolejny niewypał. Złego wymienia gorszy. Ta zasada dotyczy wszelkiej władzy: ustawodawczej, wykonawczej, a także tej, która chce się nazywać czwartą. I tu także panuje żelazna zasada psucia naszej medialnej monety.

1 Por. Jak tu teraz żyć, [w:] Herbert nieznan, Rozmowy; Zeszyty Literackie, Warszawa 2008, s. 192–197

II

GELBERG Z TySolu
czyli polowanie na losia

Ukazanie się mojego wywiadu z Herbertem stanowiło w 1991 roku swoisty przełom. Przez moment znów wydawało się możliwe jakieś nowe pogodzenie elit. Dziś po próbie zawłaszczenia osoby Poety przez ekipę „Tygodnika Solidarność” Gelberga, trudno odpowiedzieć na pytanie, co by było gdyby. Gdyby np. nie ukazał się ten skojarzony trwalej z „Tygodnikiem Solidarność”, a przeprowadzony w 1994 roku (kiedy już po mnie w redakcji nie zostało śladu), wywiad zatytułowany „Pojedynki Pana Cogito”. Wywiad, który obrócił przeciw Pocię środowisko Gazety Wyborczej i sprawił, że wszyscy „gęgacze” od Michnika po Tomka Jastruna odwrócili się od Pana Zbyszka. Czy wtedy miast autorki wiersza o Stalinie laureatem Nagrody Nobla zostałby ten, kto w owym czasie wybrał dumne milczenie? Cokolwiek powiem dalej, niech będzie wyraźnie powiedziane, że odpowiedzialność za policzek wymierzony polskiej literaturze, za antynarodowy lobbying, który sprawił, że w miejsce poety tysiąclecia wprowadzono do Panteonu Literatury autorkę kilku szlagierów nie spoczywa na tych, co pozwolili poecie mówić.

Pierwszy raz odezwał się Herbert w moim „Tygodniku”. I trzeba było widzieć tę ulgę, tę radość w jego oczach, gdy przeszedłszy nad stekiem doraźnych, a czasem krzywdzących opinii wydobywałem to, co w jego słowach ponadczasowe.

Pominałem pretensje do Kazia Brandysa, napaści na Miłosza, o którym poeta odzywa się raz czule to znów pogardliwie, oceny Konwickiego równie mało wstrzemięźliwe. Pominałem, bo znam poetę od dziecka, a literaturę wzięwszy z krwi Ojca wiem, że sformułowanie, którym się autor przez moment napawa to jeszcze nie pisarstwo. Dzieło powstaje z redakcji, a ta ostatnia mówiąc słowami Norwida jest REDUKCJĄ. Redukcją, co nie znaczy cenzurą. Jest wycięgnięciem jednego zdania z dwóch sprzecznych, tak, by nikt tylko wybranego

sformułowania nie cytował. Gdybym miał spisać te wszystkie inwektywy pana Zbyszka wypowiedane jeszcze w latach 70. podczas kolacyjek na Jaworzyńskiej...

To co wygadywał na Andrzejewskiego, Iwaszkiewicza, często ludziom prosto w oczy... Zdania wypowiedane tylko dlatego, że dobrze brzmiały. Wspominam Jego zacierzewienia, bo pamiętam też Wielkie Pokajania, gdy uznawszy że przesadził, padał na kolana, chwycił pod nogi idąc w sztuce przypodchlebiania w zawody z naszym pudelkiem Kalim. Słowa dla Pana Zbyszka to były igraszki. Serio traktował twór pióra.

No ale skąd miał to niby wiedzieć redaktor „Techniki Motoryzacyjnej”? Człowiek, którego talenty wbrew opinii jaka wówczas panowała, dobrze zagospodarował dopiero Lech Kaczyński i to tylko raz, kiedy po zakończeniu misji marginalizowania „Tygodnika Solidarność” mianowano Gelberga w 2002 roku szefem Miejskiego Przedsiębiorstwa Taksówek w Warszawie.

Gorzej, że nie chcieli (bo nie wątpię, że potrafili) czytać słów Herberta właściwie autorzy „Dziejów honoru w Polsce” czy „Rzeki podziemnej”. I to zacierzewienie takich ludzi, ich uraza, ich małość sprawiły, że doraźny sukces, pieniądze, przelotna chwała ominęły pana Zbyszka Herberta. Polska literatura zaś w swych najwyższych przejawach kojarzyć się może na świecie z grzecznymi wierszami o opuszczonym kocie czy niepojętymi wizjami polskiego Litwina z San Francisco. Krystaliczna, kartezyjańska wizja śródziemnomorskiej cywilizacji, stanowiąca w twórczości Herberta podsumowanie korzeni polskiej kultury, a zarazem całej reformy poezji XX wieku od Rimbauda po Eliota – nie otrzymała szansy, jaką Nagroda Nobla daje w dotarciu narodowego przekazu do powszechnej świadomości kulturalnej. Fakt otrzymania przez Wisławę Szymborską Nagrody Nobla można podsumować krótko: naród który wybrał sobie na prezydenta Kwaśniewskiego nie zasługuje widać na to, by ukazać światu autentyczną moc swego ducha. A jacy prezydenci, tacy nobliści. Kwaśniewski i Szymborska są z tej samej bajki – wyprani, kulturalni, fachowi, obliczalni, banalni. W sam raz materiał dla oleodruku.

Czy można było temu zapobiec? Gdyby na przykład inaczej potoczyły się losy „Tygodnika Solidarność”? W 1991 roku kiedy ukazywał się mój wywiad z Herbertem, Jarosław Kaczyński był już ministrem stanu u Wałęsy, Lech Kaczyński faktycznie zarządzał NSZZ „Solidarność” i starał się o objęcie funkcji przewodniczącego. Było wiadomo, że w takim wypadku szefem „Tygodnika” zostanie Józek Orzeł. No, ale vox populi vox dei. Elektorat wymyślił Krzaklewskiego, a Gelberg

wygrał swój los na loterii. Jadąc z ramienia „Tygodnika” relacjonować te związkowe przepychanki, trafił w przedziale na Borsuka czyli Bogdana Borusewicza będącego wówczas członkiem Komisji Krajowej Związku. Przypomnił mu się, wysłał sygnał, że pracuje w „Tygodniku”, zna realia, a i w Gminie ma nie gorsze od Orła (pieszczotliwie dla rozpoznaki przezywanego czasem Adlerem) – umocowanie. Po wypadnięciu Lecha Kaczyńskiego, a zatem i Józka z gry, Gelbergowi pozostało już tylko... przekonać zespół do siebie.

Zaczął ode mnie. Znaliliśmy się nieco. Gelberg przyjaźnił się blisko z pomagającą mi prowadzić dział kultury Ewą Matuszewską: dziennikarką, reportażystką, taterniczką, pracownicą „Tygodnika Solidarność” i pisma „Uroda”, do śmierci zaprzyjaźnioną z Wandą Rutkiewicz, której pomagała pisać książki. Ewa poświęciła też alpinistce nieco wspomnień.



*Pożegnanie
Jarosława
Kaczyńskiego
po wyborach
prezydenckich 1990*

Matucha przyprowadziła mi Andrzeja jako kolegę z działu gospodarczego z jakąś nieporadną recenzją kulturalną, na której mu jednak zależało, bo chciał przypodobać się komuś wpływowemu. Zadiustowałem, wydrukowałem. Wydał mi się nawet sympatyczny, więc nie oponowałem, przeciwnie poparłem jego kandydaturę, gdy w kilka tygodni później Marian Krzaklewski rekomendował zespołowi Andrzeja na szefa. Sprawiał wrażenie człowieka spokojnego, konsyliacyjnego, a że słabo pisze – pomyślałem – może to i lepiej. Przynajmniej nie będzie promował własnych utworów. W końcu naczelny nie musi być aktywnym dziennikarzem.

Zbliżyliśmy się nieco. Raz czy drugi zjedliśmy razem obiad w NOT na Czaciego. Redakcja mieściła się wtedy przy tej ulicy, nad Teatrem Kwadrat. Zawsze w towarzystwie Roberta Terentiewa, z którym się nie rozłączałem. Jedliśmy zupkę, a panowie cmokali.

– No i popatrz, popatrz – mówił Andrzej do Roberta. – A mogłem być szeregowcem w „Gazecie Wyborczej”. Coś mi mówiło, że jednak w „Tygodniku” będą większe możliwości.

– Fakt – ustrzeliłeś losia – skomentował Terentiew, namiętny myśliwy.

Trzeba wiedzieć, że obydwaj panowie przed stanem wojennym pracowali w pisemkach branżowych. Terentiew miał coś wspólnego z wydawnictwami Polskiego Związku Łowieckiego. Gelberg to znakomity brydżysta, absolwent Wydziału Maszyn Roboczych i Pojazdów. Do stanu wojennego był redaktorem pisma „Technika Motoryzacyjna”. To nie był jednak przypadek emigracji wewnętrznej Leszka Szarugi, który w tym czasie pracował, jak już opowiadałem, bodaj w „Hortelaru”. W wypadku Gelberga i Terentiewa o jakichkolwiek związkach z podziemiem w latach 70. nie mogło być mowy.

Powoli, pomalutku kształtował się zatem w „Tygodniku” mało subtelnie nazywanym przez Gelberga TySolem, nowy dwór. Patrzyłem lekko osłupiały, jak nagle jedni zaczynają wybijać pokłony, inni odchodzą. Swoje rządy zaczął oczywiście Gelberg od spacyfikowania Orła. Po odejściu Czabańskiego do „Expresu Wieczornego” gdzie został naczelnym redaktorem, Józek Orzeł niemal etatowo, ale to nie znaczy, że wyłącznie, reprezentował „Tygodnik” w telewizyjnych dyskusjach dziennikarzy w I Programie TVP. Zatem na pierwszym kolegium nowy szef czyli Gelberg ogłosił, że nie może być tak by jedna osoba reprezentowała tam zawsze gazetę. Akurat po raz czwarty odwiedził Polskę Ojciec Święty – wskazano mnie, bym jako szef działu kultury, który w końcu przyciągnął do „Tygodnika” ojca Jacka Salija, reprezentował pismo w dyskusji dziennikarzy nazywanej „Przeгляд Tygodnia”. To była taka mała nagroda. Czy muszę dodawać, że już żaden inny dziennikarz „Tygodnika” tego zaszczytu nie dostąpił? Po mnie do telewizji wybrał się dla odmiany redaktor naczelny (Kaczyński nie miał takiego obyczaju), a jak się raz Gelberg rozsiadł przed kamerami, tak siedział w Studio dobrych kilka lat, aż do likwidacji programu Maldisa.

Tak więc kształtował się dwór czy raczej folwark, a ja kto wie, kto wie... Pewnie miałem nawet szanse stać się jakimś ważnym ekonomem. Nie czułem jednak tego bluesa, a zresztą nieoczekiwanie przyszedł mi z odsieczą Piotr Wierzbicki.

III

PIOTR WIERZBICKI I „NOWY ŚWIAT”
albo śmiałek nieśmiały

Pan Piotr jest chyba człowiekiem nieśmiałym. Raczej milczącym, zdystansowanym, ironicznym. Pisał felietony w „Literaturze” Gustawa Gottesmana, w której debiutowałem, potem w „Tygodniku Powszechnym”. W „Tygodniku Solidarność” zdaje się formalnie pracował w moim dziale, lecz jego głównym zadaniem było pisanie felietonu na ostatnią stronę. Pozyskanie przeze mnie dla już post-kaczego „Tygodnika” Herberta odbiło się na tyle dużym echem, że Wierzbicki, który do wylewnych nie należy, publicznie gratulował mi na kolegium. A do mnie autorzy walili drzwiami i oknami. Każdy chciał mieć ze mną wywiad niezależnie od tego, czy mieszkał w kraju czy za granicą. Z Paryża nadciągali re-emigranci. Zrobiłem wielką rozmowę z mieszkającym jeszcze w Paryżu Mirosławem Chojeckim, którego pozycja naówczas porównywalna mogła być tylko do roli Michnika. Ba – zdawał się nawet ważniejszy. Michnik to była tylko prasa. Chojecki wracał z Paryża z projektem Niezależnej Telewizji Polskiej, antenami satelitarnymi. Istną wieżę Babel ustawi wnet na Wiejskiej w Czytelniku z monitorów Thompsona. A więc Chojecki i odwiedzająca Polskę rosyjska dysydencka poetka Natalia Gorbaniewska.



*Mirosław Chojecki
w Paryżu,
1984*

Fot. A. T. Kijowski

Pierwszy wywiad z obejmującym po Cywińskiej stanowisko ministra kultury Markiem Rostworowskim. Potem ważna środowiskowo rozmowa z Krzysztofem Zaleskim, mianowanym podówczas dyrektorem Teatru Narodowego w odbudowie. „Tygodnik” wychodził z getta.

Obserwując to uważnie przyszedł do mnie Wierzbicki i zaproponował, byśmy stworzyli pismo. Prawdziwe, nasze, codzienne. Ani Gelbergowskie ani Michnikowskie, lecz inteligentkie. Pan Piotr nie rzucał słów na wiatr. Za sprawy finansowe miał odpowiadać ówczesny minister w kancelarii prezydenta Wałęsy, pan Jerzy Grohman. To było chyba około maja 1991 roku. Widzę się ze słuchawką przy uchu, zapatrzonego w Kolumnę Zygmunta, toczącego wielogodzinne rozmowy z Wierzbickim na temat formy pisma, treści, tytułu. Namawiałem pana Piotra, byśmy nawiązali do formuły magazynu jakim był pamiętany przeze mnie jeszcze ze szczenięcych lat „Tygodnik Świat” Stefana Arskiego.

Wierzbickiemu mój pomysł się spodobał i pamiętam tę chwilę, gdy przybiliśmy umowę – dziennik miał się nazywać „Nowy Świat”. Spór, który jeszcze się toczył dotyczył formatu. Polski czytelnik przyzwyczajony był do gazetowych płacht. Na rynek przebijało się pismo „Wprost” wydawane przez oszczędnych poznaniaków na makulaturowym niemal papierze, tylko z kolorową okładką. Piotr Jegliński z Maciejem Iłowieckim pierwsi próbowali naśladować „Newsweek” wydając ekskluzywne, lecz bardzo drogie „Spotkania”. Nawet pozycja „Gazety Wyborczej” nie do końca była ustabilizowana. Nie było tam jeszcze dodatków. „Nowy Świat” miał dostarczać to, czego nie mieli inni. Miał być wprawdzie dziennikiem, lecz zarazem pismem dla całej rodziny. Z dodatkiem niedzielnym i bardzo potrzebną (wobec perturbacji wydawniczych na rynku „Misiów”, „Świerszczyków”, „Płomyczków” i „Płomyków”), kierowaną przez Laurę dwojga nazwisk: Bakalarską-Manturzewską przy pomocy Magdy Lengren, Stanisława Karaszewskiego, Krzysztofa Lipki i Danuty Wawilow specjalną wkładką dla dzieci. Oczkiem w głowie pana Piotra miał się też stać, jak byśmy go dziś nazwali, life-stylowy dodatek zatytułowany „Podróże i marzenia” redagowany przez Agnieszkę Dziembaj przy współpracy Krzysztofa Masłonia, późniejszego współtwórcy „Plusów i Minusów” w „Rzeczpospolitej”.



Piękne to były marzenia, którymi wypełniona była wiosna i lato 1991 roku. Rojenia trwały gdzieś od maja do października czy listopada 1991 roku.

Potem zaczęły się konkrety. Poszukiwanie lokalu, troska o druk, dystrybucję i last but not least ukształtowanie zespołu. Znalazły się w nim dwa rodzaje ludzi.

Ci, których poznał pan Piotr (z natury samotnik raczej) w swym niezbyt bujnym życiu dziennikarsko-zawodowym, nieliczni opozycjoniści, za to cała grupka dobrych fachowców, chociaż partyjnych, którzy jednakowoż znali się na sprawach, o których ludzie tacy jak ja, potrafiący przepisywać na maszynie czy wymieniać toner w kopiarce nie mogli mieć pojęcia.

Zderzyło się więc nowe ze starszym. „Tygodnik Solidarność”, który był moim pierwszym zawodowym doświadczeniem dziennikarskim, wydawany był już w składzie komputerowym. Pracując tam opanowywałem pierwsze edytory tekstów w rodzaju TAG-a. Program do DPT nazywał się bodaj „Cyfroset”. Przygotowując makietę mego działu kultury, który wyobrażałem sobie jako bardziej informacyjny niż publicystyczny, patrzyłem na zachodnie wzory. Zaprenumerowałem „Le Figaro” i „US Today” i na ich wzór szukałem nowoczesnej formuły. A tu pospolitość skrzeczy. Składać mieliśmy w drukarni Domu Słowa Polskiego, gdzie stały czterdziestoletnie maszyny, a zecerzy posługiwali się tradycyjną ołowianą formą. Taką samą, z jakiej w latach 60. w drukarni „Życia Warszawy” na Marszałkowskiej, którą czasem jako dziecko z ojcem odwiedzałem, zecer odłamał mi pierwszą z mym imieniem i nazwiskiem pieczętą.

Gdy więc ja bujałem w obłokach, pełniący funkcję sekretarza redakcji, a doświadczony na wszelkich frontach walki ideologicznej Antoni Bartkiewicz przyglądał mi się z powątpiewaniem kwitując krótko: w technice druku typograficznego to mrzonki – znaczy nieosiągalne. No cóż – rzuciłem się studiować... typografię.

Do Antka Bartkiewicza jeszcze pewnie wrócimy. Będę natykał się nań całe życie. To z pewnością czynownik, służbista. Rodzaj dobrze wychowanego, posłusznego janczara z tych, co w pierwszym odruchu na wyskakującą zza węgła „głośności” i „pieriestrojki” niepodległość chowali się pośród prawicy. Jak to się stało nie wiem, ale po „Nowym Świecie” w czasach Jana Parysa zostanie Bartek cywilnym szefem „Żołnierza Wolności” przezwanego na „Polskę Zbrojną”. Będziemy jeszcze mieszkać we wspólnym domu przy ulicy Grzybowskiej 77, gdzie i moja Nowa Telewizja Warszawa, i wydawnictwo Bellona, i dziennik wojskowy uzyska azyl w budynku Ministerstwa Obrony Narodowej. Potem wyląduję w TV Polonia jako sekretarz kanału zarządzanego przez pseudo-prawicowego Roberta Terentiewa, by wreszcie, gdy komuna odzyska swe wpływy w czasach Kwiatkowskiego, wypłynąć i przez osiem lat bezpiecznie zarządzać kanałem satelitarnym TVP dla zagranicy.

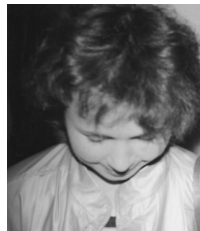
Jedno jest pewne. Gdy przyszło ruszyć wielki kalander, nie mógł tego zrobić ktoś, kto miał w dorobku zawodowym produkcję karteczek na sitodruku. Wszyscy zatem stanęli w drukarni na Nowogrodzkiej pod wodzą Bartkiewicza. Była noc 30 listopada 1991 roku. Sobota. Maszyny zawarczały, spadł pierwszy egzemplarz. Fachowy rzut oka: logo, paginacja, data. Bartkiewicz niczym kapitan skłonił się przed Wierzbickim-admirałem. Podpisał. Ruszyła maszyna. Warczała dla mnie jakieś sto dni.

Zespół działu kultury zorganizowałem z pomocą Jacka Cieślaka, który był moim studentem w Szkole Teatralnej, a teraz wygrał anonimowo konkurs

na recenzję literacką, jaki ogłosiłem w „Tygodniku Solidarność”. Jury, w którym byli sami pracownicy działu, a to Ernest Bryll, Tomasz Łubieński, Paweł Hertz i Piotr Wierzbicki, wyselekcjonowało m.in. prace Jacka Cieślaka i Jarosława Klejnockiego. Ten ostatni po nagrodę się zgłosił, od pisma jednak wolał się trzymać z daleka. Z Jackiem współpraca ułożyła się najlepiej. Do „Nowego Świata” wkroczyłem więc na czele grupy dzielnych budrysów, wśród których każdy wart wzmianki: Jacka Cieślaka (dziś „Rzeczpospolita”), Roberta Karpa, Tomka

Pluciennika (wieloletniego wydawcę „Teleekspresu”, dziś TVP Kultura) i Darka Wieromiejczyka (ostatnio, czyli w czasach Wildsteina, szefa Agencji Telewizyjnej TVP). Moją zastępczynią została poznana w Teatrze Nowym, tracąca po odejściu Bogdana Cybulskiego posadę szefowej działu literackiego Ania Kowalska, która swoje miejsce odnajdzie jako „sanitariuszka” kulturalna w Szpitalu św. Ducha na Elektoralnej, gdzie przetrwa moje przyjęcia i powroty, a także inne burze i zawieje.

To był zespół, z którym można było naprawdę góry przenosić. Podobnie jak dział zagraniczny, gdzie z mojego polecenia zatrudnił pan Piotr między innymi Jolanę Kessler (dziś konsula w Szwajcarii), czy Krzyśka Murawskiego. Z Tygodnika „S” dla zagranicy „wyjął” pan Piotr Olka Kropiwnickiego, a działem zawiadywał Zbyszek Żukowski. Pismo miało być przede wszystkim ciekawe. Miało mieć liczne dodatki. Dział nauki, co było absolutnym novum, zgodziła się prowadzić pani Bożena Kastory, która po upadku gazety przeniesie się z tą ideą do „Wprost-u”, gdzie stworzy w tej dziedzinie niepowtarzalne państwo w państwie.



Jolanta Kessler

Fot. A. T. Kijowski

Dział budowałem w warunkach iście frontowych. Walczyć trzeba było o wszystko. Biurka, maszyny do pisania, oświetlenie. Sam zaopatrzony już w pierwszego PC-ta, na który wydałem wszystkie dolarowe oszczędności z czasów tzw. komuny (PS/1) z Worksami, nie mogłem pogodzić się z tym siermiężnym stylem. Łączyło mnie to zresztą z nabytą przez Wierzbickiego dla odmiany ze „Spotkań” dyrektorką ekonomiczną spółki, czyli Hanką Zielonką, z którą wspólnie walczyliśmy o jakość warsztatów pracy. Pozyskiwałem współpracowników. W „Dodatku Niedzielnym”, który redagował Robert Firmhofer wspólnie z Andrzejem Radomińskim pierwszy raz natknąłem się na Jarka Kreta. Jako swobody bonus ofiarowałem za ich pośrednictwem Wierzbickiemu (spisując go przy okazji z taśmy) „Notatnik ze współczesności” Seniora.¹

Chodziłem po ludziach z kwerendą. Pamiętam długą rozmowę z Jarosławem Markiem Rymkiewiczem jeszcze w ich starym mieszkaniu na Filtrowej. Rozmowę, w trakcie której autor „Żmutu” uświadomił mi mizериę polskiej prawnicy. Brak zaplecza intelektualnego.

– *Popatrz – mówił Rymkiewicz. – Michnik powie coś, odwraca się i co ma za plecami: całą plejadę szlacheckich socjalistów od Rzewuskiego czy Mickiewicza poprzez Abramowskiego i Nałkowskiego, wliczając Brzozowskiego czy Irzykowskiego, aż po Wykę bądź Kolakowskiego. Same najzaciejsze głowy. A półka myśli prawniczej? Co ma z niej wartość poza kilkoma książkami Dmowskiego? Zupełnie inaczej mają Niemcy. Tam słowo konserwatyzm nie oznacza myślowego zaścianka. Od Hobbsa aż po Schmitta czy Morgenthaua to lektury i argumentacje, z którymi każdy liberal musi się liczyć. I na tym polega problem ustanawiania polskiej prawnicy. Brak intelektualnego zaplecza. Bliskość epitetu.*

Zdobyłem jakieś teksty Rymkiewicza. Jednak wśród licznych współpracowników szczególnie w pamięć mi zapadł pan Andrzej Ibis-Wróblewski. Nie miał gdzie pisać po zniszczeniu „Życia Warszawy” przez Zbożowego, jak pieszczotliwie przezywał Tomasza Wołka. Dałem mu więc rubrykę językową. Kiedyś patrząc na mnie i mych młodych współpracowników miotanię, atmosferę naszego pokoju zupełnie różną od coraz bardziej kosztniejszej aury w spacyfikowanej lękiem przed naczelnymi redakcją, westchnął i powiedział:

– Co wy tu, chłopcy, właściwie jeszcze robicie? Przecież gołym okiem widać, że wasze miejsce jest na Iwickiej w redakcji. I cóż mu miałem powiedzieć? Że tam

1 Przedruk./ W:/ Rachunek naszych słabości, Warszawa, Dom Książki 1994 . s.197-222

KULTURA 09 11 1992 r.

IMPERIUM KUBIAKA



Wólczy Teatr Dramatyczny dotychczas nie był ani w Warszawie, ani w Warszawie, ani w Warszawie. W ostatnich dniach tego roku w Teatrze Teatr Dramatyczny, mający okazję się kontynuować, został ogłoszony do wystawiania Teatr Fryry Baka. Zarząd Teatru

Imperium

to wydarzenia jest w Warszawie, w Warszawie, w Warszawie. W Teatrze Teatr Dramatyczny, mający okazję się kontynuować, został ogłoszony do wystawiania Teatr Fryry Baka. Zarząd Teatru

Perspektywy „Obserwatora”

W apolitanizacji z Wiktoorem Kubiakiem, prezesem Bataxa, który sprzyja prowadzeniu teatru, linia działań jest w zasadzie wytyczona, dopóki nie przyjdzie do momentu, w którym Bataxa nie będzie już w Warszawie. Wówczas Kubiak może się od siebie oddzielić i szukać nowych możliwości. Wówczas Kubiak może się od siebie oddzielić i szukać nowych możliwości.

Między resztem a wydawcą istnieje niecałkowicie zgodność co do tego, że o sukcesie ekonomicznym gazety decyduje przede wszystkim profesjonalizm redakcyjny, a nie w tym względzie dostrzegają różnic między nimi. Wówczas Kubiak może się od siebie oddzielić i szukać nowych możliwości.

dla nam podobnych już wolnych rubryk nie mają. . .

Mój „Nowy Świat” trwał około stu dni. A sto dni, jak każde sto dni, skończyć się musi pod Waterloo. Moim okazała się: firma Batax, musical „Metro”, pismo „Obserwator”, stołeczny Teatr Dramatyczny, słowem rozkładówka, którą zatytułowaliśmy „Imperium Kubiak”. Chodziło o to, by obiektywnie wykazać wpływy jakie niejaki Wiktor Kubiak chciał osiągnąć w świecie mediów.

Pan Piotr od momentu uzgodnienia nazwy gazety dał mi absolutnie wolną rękę, a ośmielony całkowicie, przynajmniej intelektualnie przez Elżbietę Isakiewicz na żadne inne rozmowy nie znajdował już czasu. Widywaliśmy się tylko na kolegiach, na których upozowany na Cezara Wierzbicki przyjmował raporty pretorów i legatów legionów. Dyskusji najmniejszej nie było. Zresztą nikt się do niego nie rwał. Również planowanie sprowadzało się do krótkich sygnałów. Obowiązywała wszak teoria, że u nas nie ma żadnej cenzury, nie jesteśmy żadną „wybiórczą”, tu wszystko można powiedzieć.

Jednak od pierwszego niemal dnia ruchu na stanowiskach kierowniczych przypominał osuwające się piaski. Co i raz padał ten czy ów kierownik, ze szczególnym uwzględnieniem działu fotografii, gdzie w ciągu trzech miesięcy pracy miałem szczęście od Erazma Ciółka poczynając, poprzez Krzysztofa Gierałtowskiego, Jerzego Gumowskiego, Jarosława Macieja Goliszewskiego, Witolda Krasowskiego czy Wiesława Krasnodębskiego, spotkać na stanowisku szefa działu chyba wszystkich wybitnych polskich fotoreporterów. Po każdym kolegium łączyły się ludzie milki, a ja nie pojmo wałem dlaczego. Trochę oczywiście dziwiło mnie, że

OPIS OBYCZAJÓW W XV – LECIU MIĘDZYSOJUSZNICZYM

z panem Piotrem nie mam okazji już tak jak wcześniej pogadać. Miałem wszak poczucie, że przydałaby mi się czasem konsultacja z szanowanym w końcu naczelnym, który szczególnie w sprawach mojego działu powinien się orientować. Rozumiałem jednak stres i napięcie, więc zbytnio na konsultacje nie nastawałem. I nie nastalem.

Po prostu i bez uprzedzenia. W dniu, w którym ukazała się rozkładówka poświęcona firmie Batax i imperium Kubiaka, spokojnie udałem się na kolegium. A na nim Wierzbicki dostawał właśnie szału. Tym razem wywnętrzał się na mnie. Wykrzykiwał coś o sabotażu. Bo jak można w piśmie prywatnym opisywać obiektywnie przedsiębiorcę, który wśród wielu inwestycji ma właśnie zamiar stworzyć konkurencyjny dziennik. Chodziło o „Obserwatora Codziennego”.

Nawet się nie zdenerwowałem. Gdy wychodziłem z kolegium, zobaczyłem jak wszyscy czmychają niby przed trędotatym. Wszedłem do moich chłopców i Ani. Opowiedziałem zdarzenie. Wszyscy osłupieli, a gdy powiedziałem co nastąpiło, parsknęli radosnym śmiechem. Oni lepiej czuli, co dzieje się na korytarzach. Atmosferę przynębiania i zastraszenia, która mnie w akwarium, jakie sobie zbudowałem, mniej dotykała. Przytomny Darek Wieromejczyk popatrzył tylko ogłupiały i spytał:

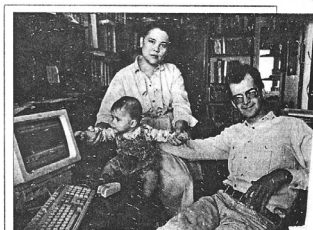
— Czegoś nie rozumiem. Jego pismo. Przecież mógł tego nie drukować. To samo zresztą dziwiło potem kolegów z „Gazety Wyborczej”. Jak można zrobić dziennikarzowi awanturę o tekst, który się w gazecie ukazał? Mocno rozdokazywanych zastała nas za chwilę Ela Isakiewicz, która w charakterze Posłańca Śmierci wkroczyła z grobową miną, by wręczyć mi na srebrzystej tacy cykutek wymówienia. Przelknąłem. Lecz jakoś nikt nie umiał się przestraszyć. Wraz z moim odejściem wszyscy pracownicy działu zrezygnowali ze współpracy z pismem Piotra Wierzbickiego. Stało się to chyba już następnego dnia, gdy na stanowisko kierownika działu autor „Traktatu o gnidach” wskazał panią Izabelę Śliwnik. Osobę, która była wcześniej pracowniczką Urzędu Cenzury.

Na rozmowę ze mną Wierzbicki od czasu tej publicznej nieoczekiwanej egzekucji nigdy się nie zdecydował. Dziś to już mnie nie dziwi. Powrót autora „Struktury kłamstwa” na łono „Gazety Wyborczej” po kilkunastu latach odgrywania roli Cezara polskiej prawicy dowodzi, że jest to śmiałek raczej nieśmiały.

IV

ADAM KINASZEWSKI
czyli cisza nad trumną!

Wyszedłem na Białobrzeską na tyłach Kocińskiej hali i pierwszy raz od pół roku rozejrzałem się po bożym świecie. Zna to uczucie każdy, kto dał się pochłonąć bez reszty jakiejś fascynacji. A „Nowy Świat” taką był. Te pół roku, licząc z czasem wydawania numerów próbnych, spędziłem w istnym oblędzie, starając się podolać wszystkim miłym skądinąd obowiązkom, które spadły na mnie przed czterdziestką. Pierwszy raz zostałem ojcem. Staralem się więc mimo całego zawodowego szalu pamiętać o rodzinie. Żona nie pracowała, ja zaś, zatrudniwszy panią do pomocy, próbowałem punktualnie na trzecią docierać do domu na obiad. Potem zaś pokonując korki na Towarowej zdążać na popołudniowe kolegium. Było to tak trudne, że prawie niewykonalne. Nie sposób dotrzymywać zobowiązań w kraju, w którym nikt nie szanuje cudzego czasu, każdy szef uważa, że ma prawo dowolnie zmieniać ustalenia z podwładnymi, każdy podwładny uważa, że zawsze ma prawo szefowi zwracać głowę, a nade wszystko nie ma ustalonych godzin początku pracy, jej końca ani pory obiadowej. Co o tym myślę, napisałem w odpowiedzi na ankietę „Spotkań”, a potem starałem się żyć życiem przedstawiciela klasy średniej. Ba – nawet jakiś certyfikat dostałem.

**KIM JESTEM?**

Nie jem obiadów. Od czasu gdy zacząłem na serio pracować, gdy wyrzuciłem z tej „nieszklonej” jaką były dla mnie instytutu naukowe i wyższe uczelnie, permanentnie mnie mdli. Jedni umawiają się ze mną o dwunastą, inni o czwartą, jeszcze inni między drugą a trzecią. Odłóż zacząłem być na zebraniach niedobrze mi na widok ludzkich twarzy.

Znać w tym upadek kultury pracy, lecz także zastręt poczucia tożsamości. Nie rozpoznajemy się bowiem po sposobie wykonywania pracy, ani nie znamy miejsc gwarantujących odpowiadający nam tryb i sposób pracy. Nie wiemy kim jesteśmy.

(Kim jestem dowiem się wtedy, gdy spytam do kogo jestem podobny, czy wzór życia mi odpowiada, o której zwykłem wstawać, kłaść się, o której jadłem posiłki. Zarobki tego nie rozstrzygają: za te same pieniądze można kupować baleron albo książkę, nowoczesne sprzęty bądź jeździć za granicę).
A więc kim jestem?

Myślę, że należę do bardzo dziś licznej warstwy ludzi, których całe życie zawodowe jest sztuką spolykania się z innymi: nie na fizycznej pracy, ani rzędzeniu nimi, lecz na spolykaniu osób, naradzaniu się, umowianiu ich w celach handlowych lub informacyjnych. Są to inni ludzie niż osoby poddane ścisłym rygorom pracy najemnej, wyrzucone poza nawias społeczny, a także inne od tych co się ponad społeczeństwo wzbili rządząc nim z poziomu elit władzy. Przedstawiciele klasy średniej wyróżnia jak sądził stosunek do czasu.

Kto więc wie czy nie pierwszym, a egzystencjalnie wcale nubożaczynym znakiem, że wywyższyliśmy wreszcie w Polsce stan średni, będzie ustalenie pory jadań obiadów. Andrzej Tadeusz Kijowski

SPOTKANIA - 9 PAŹDZIERNIKA 1991 21



„Takie były zabawy, spory w one lata...”. Zająć miałem sporo. Od maja 1990 roku byłem radnym, przewodniczącym Komisji Kultury i Oświaty warszawskiego Śródmieścia. Wiedząc jednak, że praca zawodowa będzie dla mnie ważniejsza od radcostwa, zadbałem już na pierwszym posiedzeniu, aby zebrania Rady nie odbywały się w czasie pracy. We wtorki o piątą po południu bywałem więc w gminie. Byłem też wiceprzewodniczącym Prezydium Sejmiku Samorządowego, którego niemal wszyscy członkowie pragnęli jakoś zawodowo przytulić się do samorządu. Tam zatem wymogłem, by posiedzenia toczono o zabójczej dla mnie ósmej rano, tak bym docierał na kolegia. Wreszcie odnaleziony przez Piotra Wierzbickiego w „Tygodniku Solidarność”, a nie tak naiwny przecież by mieć pewność, że nowa inicjatywa się powiedzie, nie widziałem przeszkód, by nadal kierować „Tygodnikowym” działem kultury. Tam też chciałem nadal pisywać recenzje teatralne pod pseudonimem KAT, aby uniknąć konfliktu interesów. Własną twórczość wolałem dawać do tygodnika, sam zajmując się trudniejszą, bo codzienną selekcją tekstów cudzych do dziennika. Tu jednak po raz pierwszy (i nie ostatni w życiu) poznałem prawdziwą naturę Andrzeja Gelberga. Nawet słyszeć o tym nie chciał. Natychmiast przedstawił mi mego (i tak to się zazwyczaj kończy z czasem swego) następcę, czyli Jerzego Kłosińskiego. Ten ostatni w kilka miesięcy zniszczył całą moją pracę. Nie zgodził się publikować moich recenzji twierdząc, że pod pseudonimem mogę je równie dobrze ogłaszać we własnym dziale. Po kilku miesiącach zwolnił z pracy pozyskanego przeze mnie z trudem, a pamiętającego jeszcze pierwszy „Tygodnik” Mazowieckiego – Maćka Cisłę. Najwięcej jednak

szkody narobił „Tygodnik” Gelberga i Kłosińskiego próżnym i nieudolnym podczepianiem się pod mit Zbigniewa Herberta. Choć jak pisałem wyżej, małość trzeba wybaczać. Tu bardziej winni są ludzie z kręgu Adama Michnika. Oni przecież wiedzieli, co czynią i komu!

Tak więc wędruję sobie Białobrzeską w stronę Placu Zawiszy i dalej Towarową ku placowi Bankowemu. Etaty straciłem dwa. Także możliwość pisania. Głód jednak jeszcze mi w oczy nie zagląda. Radcostwo w I kadencji samorządu to wprawdzie finansowo nie był interes (dopiero w drugiej podniosą sobie radni diety do poważnych stawek), ja jednak jako wicemarszałek Sejmiku Samorządowego miałem parę złotych, dokładnie równowartość jednej najniższej płacy krajowej. Przypominam sobie, co było wrzasku, jak po uchwaleniu tych stawek czyli 200% dla przewodniczącego, a 100% dla zastępcy „Wyborcza” zamiast „najniższego wynagrodzenia” podała, że podstawę stanowi średnia krajowa. Com musiał się natłumaczyć kolegom z Prezydium, że w takiej sytuacji jedynym sprostowaniem może być godne milczenie. Bo jak będziemy dementować, to naród nie zapamięta ile, lecz z pewnością uzna, że i tak zbyt dużo. Teraz jednak nie było to wiele, więc jako że całe prezydium i część zarządu umieścił już Piotr Fogler na etatach, a ja miałem „pod sobą” wszystkie komisje merytoryczne, przeto wydawałoby się, że w zamian za dietę mogę liczyć na nieco wyższy i zapewniający ubezpieczenie zdrowotne etat. Zdawało się to czystą formalnością. A jednak – przyszło się zdziwić po raz drugi. W Sejmiku już widać poznano się na mnie i uznano, że lepiej abym nie musiał codziennie pojawiać się w pracy. Wysłuchałem pięknej przemowy Piotra Foglera o transparentności, o deetatyzacji i... prezydium wicemarszałczkowi odmówiło. Nie pierwszy raz przekonałem się, że sukcesy mogę odnosić w wyborach bezpośrednich. Kooptacje dwustopniowe, w których decydują układy i koterie, są już poza moim zasięgiem.

Za jakiś czas potwierdzą to zresztą moi włoscy przyjaciele z TV Polonia. U szczytu rozwoju stacji, której oglądalność przekraczała 8 mln widzów w czasie, gdy jeszcze nikt w Polsce, przynajmniej na poziomie samorządowym nie miał pojęcia o profesjonalnej kampanii wyborczej, miały się odbywać wybory roku 1994. Dowiedziawszy się, że kandyduję i to z poziomu marszałka Sejmiku, zgłosili się do mnie z propozycją, że... zrobią mnie prezydentem Warszawy.

– Jak to sobie wyobrażacie? – spytałem.

– Qual è il problema. TV fa miracoli – odrzekli. – Jesteś dość znany.

Po paru naszych „czary mary” będziesz ukochany. Nie ukrywam, zapaliły mi się oczy. Już, już witałem się z gąską.

– No więc kiedy wybory, jaka ordynacja? – spytali Włosi.

– Wybory będą w czerwcu. Tym razem dwustopniowe – odparłem – Osobne do Rad Gmin. Osobne do Rady Warszawy. Potem Rada Warszawy wybierze prezydenta, jednak niekoniecznie ze swego składu.

– Co?! Prezydenta Warszawy nie wybiera się bezpośrednio? – Włochów zaskoczyło. Popatrzyli po sobie.

– Gomorra?

– Si, gomorra. Scusa, Andrea. Nie wiedzieliśmy, że to nie są prawdziwe wybory. Ludzi umiemy przekonać. Kilkudziesięciu radnych – to ciało absolutnie niesterowalne. Jak każdy oderwany od podłoża aparat. To struktura partyjna czyli mafijna, co zresztą na jedno wychodzi. Z nimi nie poradzimy ani pieniędzmi, ani siłą. To bardzo niebezpieczne dla kraju... Jak wspominałem, nasze polskie obyczaje jeszcze niejednym skautów od Berlusconiego zaskoczą.

Wracając do opowieści – straciwszy szansę zostania samorządowym aparatczykiem, ruszyłem szukać dalej. A blisko było, ot rzut beretem – na Prostą róg Towarowej. Był to bowiem czas, gdy nie tylko Kubiak z Bataxem, lecz również Amerykanie chcieli mieć w Polsce swoją gazetę. I to tę, którą już dobrze znałem, którą właśnie w „Nowym Świecie” sobie wymarzyłem i chciałem naśladować. Miała nazywać się „Dziennik Krajowy” i być polską wersją amerykańskiego „US Today”. Wyglądało pięknie, płacono też ponoć znakomicie. Redakcja była w trakcie kompletowania. Zespół, którym kierować miał Adam Kinaszewski, w większości importowany był z Gdańska. Ja jednak miałem w tym czasie oparcie na nadbałtyckiej ziemi. Znajomi umówili i udałem się na spotkanie z panią Małgorzatą Bucką, desygnowaną na stanowisko szefowej działu regiony. Zaniósłem CV. Porozmawialiśmy miło w zakupionym właśnie na potrzeby redakcji dawnym biurówcu, należącym chyba do kompleksu Zakładów Róży Luksemburg, które właśnie padły. Budynek będący dziś siedzibą banku BPH, wg mojej ówczesnej wiedzy został właśnie kupiony z pieniędzy ofiarowanych przez Polsko-Amerykański Fundusz Przedsiębiorczości spółce PA Press, której szefem był Adam Kinaszewski czyli druga połowa Jana Mura. Pod tym pseudonimem wydał wraz z Andrzejem Drzycimskim *Dziennik internowanego* (wyd. podziemne 1985) oraz opracowania biografii L. Wałęsy Droga nadziei (Paryż, 1987). Na naczelnego „Dziennika Krajowego” przedstawiciele funduszu przedsiębiorczości proponowali

początkowo Marka Nowakowskiego. Ten jednak już na początku roku 1992 zdemontował tę informację twierdząc, że w czasie, gdy był zainteresowany propozycją Kinaszewskiego nawet źródło finansowania projektu było nieznanne.

Adam nie żyje. Urodzony w Mikołajki 1944, zmarł w Andrzejki w 2008 roku. Wtedy, czyli w 1992 roku nawet go nie poznałem. Zetknę się z nim dopiero za dwa lata, w 1994 by przekonać się, że osobisty ministrant Ojca Świętego, który w czasie internowania w Strzebielinku otrzymywał imienne kartki z życzeniami i zapewnieniem modlitwy od Jana Pawła II, był człowiekiem ciepłym i miłym. Była w nim jakaś siła i spokój, swoisty arystokratyzm, poczucie dystansu. Gdzież tam do niego jakimś... np. Maćkowi Zalewskiemu.

I cóż może łączyć spółkę „Telegraf”, którą z nieprzytomnym zacietrzewieniem ścigały wszystkie media z „Gazetą Wyborczą” na czele za próbę stworzenia koncernu medialnego i szybkie, bo niespełna rok trwające pomnożenie kapitału z 25 tysięcy do 3,5 miliona dolarów (36 mld starych złotych) z kierowaną przez Adama PA-Press, która jednym podpisem uzyskała gwarancje finansowe na kwotę 27 mld złotych. 60% tej sumy zapewnić mieli Amerykanie, pozostałe udziały należeć miały do grupy polskich biznesmenów. Na pogrzebie Kinaszewskiego jego przyjaciel opowiadał, jak to zdobywszy 5 milionów dolarów od Amerykanów późniejszy właściciel „AK Production” pośliznął się na brakujących dwustu milionach polskich złotych. Pozostając zaś w osobistej korespondencji z o niczym rzecz jasna nie wiedzącym głównym przełożonym Banku Watykańskiego, przedsięwzięcie skwitował w stylu Greka Zorby. Jak rozumiem, uznawszy, że to była piękna katastrofa. No cóż. Może dla niego piękna. Jak dla tych co tańczą, całują ziemię i idą odwiedzać inne wyspy. Już nawet nie pamiętam czy mi koleżanka Bucka pracy odmówiła, czy jakąś pozostawiła nadzieję. Przypominam sobie, że pierwszy raz sporządziłem na tę okoliczność CV w amerykańskim stylu i wróciłem do swoich baranów. Nie minęło jednak pół roku, gdy nagle gruchnęła wieść po Warszawie, że „Dziennika Krajowego” nie będzie. Ot, jak bańka mydlana – był i pękł.

W wydaniu weekendowym Gazety Wyborczej z 26–27 września 1992 roku można było przeczytać: *Polsko-Amer. Fundusz Przedsiębiorczości po wydaniu trzech milionów dolarów wycofał się z wydawania w Warszawie gazety codziennej „Dziennika Krajowego”. Jeszcze w środę do urządzonych kosztem 780 tys. dolarów pomieszczeń redakcyjnych w Warszawie dostarczono komputery. Stoją w skrzyniach w umebłowanej redakcji. We wtorek Adam Kinaszewski, szef spółki PA Press s-ka, wydawcy „Dziennika”, którego publikacja była przygotowywana przez półtora roku, oznajmił pracownikom, że Fundusz*

wycofał się z przedsięwzięcia. Poinformował, że powodem była zwłoka w przepływach pieniędzy, za co winę ponosi Bank Handlowy. Dyrektor ekspozytury Funduszu w Warszawie, Barbara Lundberg, powiedziała w czwartek „Gazecie”, że Fundusz wydał na rozruch „Dziennika” 1,6 mln dolarów gotówką i udzielił spółce PA Press 1,4 mln kredytu. Zmieniła się sytuacja w Polsce, zmienił się rynek i wobec tego zmieniamy strategię inwestowania – powiedziała Lundberg. Dodaje, że ostateczne decyzje jeszcze nie zapadły. – Rok temu, kiedy zaczynaliśmy organizować „Dziennik Krajowy”, wszystkie polskie dzienniki wyglądały inaczej niż teraz. „USA Today” którego kopią miała być nasza gazeta, położony wtedy obok „Życia Warszawy”, „Gazety Wyborczej” i „Rzeczpospolitej” wyraźnie odbiegał od nich, dawał nadzieję na sukces – powiedział nam wczoraj Adam Kinaszewski. Jego zdaniem o klęsce zadecydował czas: jeśli udało by się ruszyć przed wakacjami, moglibyśmy liczyć na sukces. Niestety, komputery dostaliśmy za późno. Winien jest Bank Handlowy, który opóźnił przyznanie nam gwarancji na amerykański kredyt, za który je kupiliśmy. Nie odpowiedział jednak na pytanie, skąd miały pochodzić pieniądze na rozruch gazety.

I tyle! Koniec na tym. Gdzieś wyparowały trzy miliony dolarów. Liczni pracownicy „Dziennika Krajowego” pootwierali sobie firmy producenckie, z których usług montażowych w dalszej części mego życia zawodowego nawet korzystałem. Bank Handlowy oskarżany przez Kinaszewskiego o opieszałość, w swoim kolejnym wcieleniu BPH jeszcze przed podziałem, bo w roku 1998 wybuduje sobie na Towarowej 25 siłami EXBUDU SA główną centralę zaprojektowaną przez APA Wojciechowski.

Miejsce to piórem Anety Borowiec w roku 2003 „Gazeta Wyborcza” opisywać będzie językiem odbiegającym od jakichkolwiek standardów dziennikarskich, porównywalnym jedynie ze stylem folderu reklamowego,¹ i zaden dziennikarz śledczy nie ruszy tropem tego przekrętu dwudziestolecia!

No cóż, ja dziennikarzem śledczym nie jestem. Ja tylko wnioskuję. Adam Kinaszewski nie żyje. Zmarł też jego Święty Wujek, który nam wolną Polskę chciał wymodlić. Wiele inicjatyw, jak choćby przywoływany „Telegraf” utrupiono. Wielu ludzi takich jak uniewinnionego w II instancji, a skazanego w drodze kasacji na karę więzienia Macieja Zalewskiego udręczono. „Dziennikowi Krajowemu” nie dane było się narodzić. Polsce wolnej w rezultacie też.

Cisza nad tymi trumnami!

1 bph towarowa 25- Gazeta Wyborcza, 21.III.2003

V

„PAX” Z „TELEGRAFEM” czyli co może Haggmajer

Wróciłem do moich baranów. A raczej jednego zodiakalnego baranka, który zameldowawszy się na świecie w primaaprilisowy śmigus dyngus poprzedniego roku, dokładnie w dniu, w którym opublikowałem mój wywiad z Herbertem w „Tygodniku Solidarność”, teraz właśnie zabierał się do nauki chodzenia. Trzeba mu było poświęcić nieco czasu, więc z nosidełkiem z przodu lub z tyłu wędrowałem po mieście w poszukiwaniu pomysłu na dalsze konsumowanie świeżo odzyskanej wolności.

Jak wspominałem, z „Nowego Świata” nie odszedłem sam. Co się rzadko zdarza, w ślad za mną opuścili lokal przy Białobrzeskiej wszyscy moi pracownicy włącznie z Anią Kowalską. Czując się za nich odpowiedzialny, postanowiłem sam stworzyć pismo. Ścisłe mówiąc – odtworzyć. Wymyślając bowiem dział kultury dla „Nowego Świata” wpadłem na pomysł, by nie sprowadzał się on do właściwego wszystkim kolumnom tego typu zestawu recenzji teatralnych, filmowych czy książkowych, lecz był faktycznie informatorem kulturalnym. Między szpalty wypełnione aktualnymi repertuariami chciałem wpychać poszerzoną informację w ramkach. Dawać ich dużo. Dążyć by były obiektywne, a nie subiektywne. Gwiazdkami oznaczaliśmy jakość proponowanej pozycji, zamieszczając każdego dnia tygodnia poświęcony innej dziedzinie sztuki dwugłos recenzyjny. Tak więc okolone repertuariami poniedziałki były teatralne, wtorki

FOR KULTURALNY NR 17 (302)

Henryk Święcicki. Adres redakcji: ul. Lwowa 8-92-08. WYDAWCA: Warszawskie Wydawnictwo „Ruch”, Al. Jerozolimskie 125, tel. centralne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Marjańska i część ilustracyjna – Zakłady Wkłęsto-ul. Okopowa 58/72, 01-042 Warszawa.



Przedprezadł blicznie w wydawnictwach, na występy artystyczne i koncertowe w ramach SPATY-AL, Jerozolimskie 25, tel. 21-52-01, w ciętych „Sytym” ul. Krótka 10/22, tel. 22-72-01, w ramach postprodukcji w Warszawie, ul. Nowej Estrady 11, Warszawa, tel. 21-52-01.



WIK, 1978 - Laura Łącz i Mirek Konarowski

w księgarni, środy w galerii, czwartki w kinie, w piątek ukazywał się anons rozrywki, soboty poświęcałem muzyce poważnej. W środek miałem ponadto do dyspozycji dwie kolumny, stanowiące kulturalną, tematycznie skomponowaną rozkładówkę. W sam raz tyle, by wypełnić tym informator kulturalny. A przecież był już taki w Warszawie: kolorowy, podłużny wydawany wpierw jako dodatek do „Życia Warszawy” potem jako osobny „Warszawski Informator Kulturalny”, znany jako WIK. W latach 70. kupowałem go i zbierałem tym bardziej, że ozdabiany był zawsze jakimś ładnym kolorowym zdjęciem na okładce. Rewers uformowany był na kartkę pocztową odrywana po perforacji. Przepadła gdzieś ta kolekcja. Zostały mi tylko dwa wycięte z pisma fotosy – bliskich sercu znajomych idoli.

Zapraǳiałem taki WIK odtworzyć. Ustaliliśmy, że prawa do tytułu znalazły się jakimś cudem w gestii Urzędu Wojewody, udałem się na negocjacje do ówczesnego dyrektora wydziału Kultury w tymże urzędzie, Andrzeja Hągmajera. Dowiedziałem się, że prawo to zostało przezeń już przekazane do podległego mu wówczas Warszawskiego Ośrodka Kultury czyli Szpitala Świętego Ducha zawiadywanego naonczas przez kolegę pana Andrzeja – aktora o nazwisku Rudzki. Wiesław mu było na imię. I większej wzmianki nie trzeba... To była strona formalna. Mieli tytuł, ale nie mieli pieniędzy, a jeśli, to niezbyt duże. Ja natomiast zrobiwszy zwiad już wiedziałem, że stworzenie pisma repertuarowego o zasięgu regionalnym miałoby sens jedynie pod warunkiem, że będzie ono tygodnikiem. Przy każdym innym cyklu produkcji niemożliwe jest utrzymanie aktualności repertuaru. A i tak w skali regionu mała szansa, by nakłady potrzebne na wydanie tygodnika zwróciły się ze sprzedaży. Takie działania mogłyby się udać jedynie w skali całego kraju. Wymyśliłem i zarejestrowałem pismo pot tytułem PIK, czyli „Polski Informator Kulturalny”. WIK miał być jego warszawską mutacją. Przewidywaliśmy oczywiście wersje regionalne: gdańskie, krakowskie, łódzkie, poznańskie, katowickie itd. Mówię my, bo przecież nie byłem sam. Poza Ania Kowalską i częścią chłopców, którzy - nie wszyscy od razu - znaleźli nową pracę, wspierała mnie wszak Hanka Zielonka. To żona znanego architekta Jacka Zielonki, która szefowała ekonomicznie wydawnictwu „Spotkania”. Potem była dyrektorem ekonomicznym NIW-u, czyli Niezależnego Instytutu Wydawniczego będącego producentem „Nowego Świata”. Rozstała się z Piotrem Wierzbickim wnet po mnie i choć różnie o jej kompetencjach mówiono, wydawać by się mogło, że jeśli ktoś zarządzał finansami dziennika o zasięgu krajowym i tygodnika

chcącego być polską wersją „Newsweeka”, to nawet jeśli nie poradził sobie z przedsięwzięciem tej skali, powinien mieć wiedzę i zaplecze wystarczające na stworzenie niewielkiego pisma reklamowo-kulturalnego. Powinien. Jednak niestety, Hanka okazała się uroczą, choć nieco zwariowaną osobką. W wielkiej komitywie spędziliśmy wiele godzin na pogaduszkach. Ja opanowywałem arkusze kalkulacyjne w programie Works. Wypuszczałem symulację po symulacji, sprawdzając, jaki procent powierzchni muszą pokryć reklamami, by na pozostałym zmieścić informacje kulturalne. Rozważałem wariant francuski, czyli zeszytik uformowany na podobieństwo paryskiego „L’Officiel des Spectacles”, który w kioskach kosztował około 2 FF (0,4 \$). Poznany w „Tygodniku Solidarność” Krzysztof Wolicki, dobrze osadzony we Francji, obiecał mi spytać o środki na moją inicjatywę kogoś z rodziny znanego wydawcy paryskiego „Esprit” Paula Thibaulta. Zasadniczo odpowiedź przyszła negatywna. Chociaż... Jednak nie uprzedzajmy zdarzeń. Umówiłem się z Rysiem Holzerem, poetą i dziennikarzem ekonomicznym, który pracując naoczas w „Wyborczej” dzielił się ze mną nabytą na jakimś amerykańskim stypendium wiedzą, jak tworzyć prasę darmową, wypełnioną jedynie reklamami. Nie było jeszcze w Warszawie gazet w rodzaju dzisiejszego „Metra”. Brałem zatem też serio pod uwagę pismo rozdawane, wypełnione w znacznym procencie nawet sięgającym 80% treścią reklamową. Gdy jednak zaproponowałem Rysiovi współpracę, ten popatrzył mi głęboko w oczy i powiedział:

Patrz, Andrzej, gdzie są ładne dziewczyny. W Sierpniu '80 pełno ich było w Regionie. Teraz tam tkwią sentymentalne panny „S”, a i w gazetach – też myszy. Dziewczyny wszystkie siedzą w bankach i spółkach z ograniczoną odpowiedzialnością.

Do dziś późniejszy redaktor „Pulsu Biznesu” szuka szczęścia w świecie ekonomii. Tyle z tego. Wszystkie tego typu projekty, z jakimi występowano w owym czasie, rozbiły się o naszą krańcową niefachowość. Ani ja nie wiedziałem jak to robić od strony merytorycznej, choć skłonny byłem się uczyć, ani co gorsza, nie mieli o tym pojęcia ludzie tacy jak Hanka. Zielonka przy bliższym poznaniu okazała się kompletną pozorantką. Kontaktów nie miała żadnych, o nowoczesnym marketingu prasowym – pojęcia. Zresztą, kto je miał. Pierwsza połowa lat 90-tych w Polsce to był raj dla blagierów. Niektórzy zdołali kogoś naciągnąć (ale to już nie Zielonka bynajmniej, „żeby to było jasne między nami” jak zwykła była mówić). Po stronie podziemnej „Solidarności” pieniędzy prawie nie było. Źródła

finansowania urwały się w momencie odzyskania niepodległości. Część pozostałą przechwyciła Agora a ci, którzy próbowali zagospodarować resztę posługując się tymi samymi, co ludzie Michnika, nie do końca księgowymi, opartymi na zaufaniu metodami wyniesionymi z konspiracji, bywali oskarżani o przekręty. Nie było mnie w tym biznesie, ale z tego co od lepiej zorientowanych słyszałem wiem, że pieniądze zbierane np. na „Telegraf” przez Macieja Zalewskiego w dużej mierze pochodziły z resztek zobowiązań i rozliczeń zachodnich sponsorów względem dawnych podziemnych pisemek z „Wolą” na czele. To jednak, co między Iwicką a Czerską było cnotą, po wywołaniu wojny na górze, w okolicach ulicy Chłodnej i Karolkowej nazywano przekrętem, nietransparencją, łapówką czy jeszcze gorzej. Jak zwał tak zwał: była wola, nadzieja, ambicja – umiejętności nie było. Wszystkie środki i cała władza znajdowała się w środowisku ludzi dawnego aparatu, czyli czerwonych i ich satelitów. Instrumenty do powołania pisma także znalazły się w gestii takich osób, jak np. – Andrzej Hagmajer.

Andrzej Hagmajer jest synem Jerzego – przedwojennego ONR-owca. Był to lekarz, chirurg, wieloletni zastępca ordynatora Szpitala Praskiego. Miał piękną kartę odważnego żołnierza Powstania Warszawskiego o pseudonimie „Kiejstut”. Jednak po tym, jak Bolesław Piasecki używając jego własnych słów „kupił sobie od NKWD wolność za zobowiązanie do pomocy w rozładowaniu partyzantki i zbliżeniu Kościoła z państwem”, Jerzy Hagmajer dał się swojemu przełożonemu i przyjacielowi przekonać i spędził publiczną część swego życia jako PAX-owski kolaborant. A PAX to wyjątkowo paskudna formacja pseudokatolików współpracujących z komunistami. W latach 1945 usprawiedliwiali bezprawie, akceptując i z katolickich pozycji uwiarygodniając wszelkie ataki na Kościół. Nie dość, że milczeli. Nawet kradli. Przejęli tytuł „Tygodnika Powszechnego” w czasie, gdy kardynał prymas Wyszyński przebywał w więzieniu. Mieli swoją reprezentację w Sejmie, wydawali pisma „Kierunki” i „Słowo Powszechne”. PAX-owcy usiłowali nawet na resztkach kościelnych włości (zawłaszczyli fundację „Caritas”), metodami socjalistycznych nadań, budować namiastkę kapitalizmu poprzez takie firmy jak „Inco” czy „Veritas”. Ostatnim akordem tej fałszywej symfonii był akces Jerzego Hgamajera (już po śmierci Piaseckiego) do zorganizowanego po 13 grudnia 1981 roku przez Jana Dobraczyńskiego pod egidą WRON-y (Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego) PRON-u, czyli Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. Miała to być nowa forma polityczna dla Frontu Jedności

Narodu, czyli odgórnie układanej listy PRL-owskich parlamentarzystów. W czasach gomulkowski-gierkowskich składali się oni, przypomnijmy, w przewodzie z członków PZPR. Jako ozdoby wpuszczano tam reprezentantów satelickich partii ZSL i SD, a także nielicznych bezpartyjnych, którzy – jak Gustaw Holubek czy Jarosław Iwaszkiewicz – godzili się legitymizować władzę. Także członków wyselekcjonowanych stowarzyszeń, takich jak właśnie PAX Piaseckiego czy po 56 roku ZNAK Mazowieckiego, Stommy i Zawieyskiego. W tej więc nowej PRON-owskiej formule objawił się po raz pierwszy w latach 80. młody polonista Andrzej Hagemajer.

Urodzony około 1948 roku, absolwent założonego przez swego ojca PAX-owskiego liceum im. Św. Augustyna, w późnych latach 80. był już dyrektorem wydziału kultury w warszawskim magistracie, zarządzanym pod koniec przez związanego ze Stronnictwem Demokratycznym Adama Langerę. W roku 1989 funkcjonariusz ten łączył godność wojewody i prezydenta Warszawy. Po wyborach czerwcowych 1989 roku w tych strukturach nic się jednak nie zmieniło. Dopiero reforma samorządowa miała coś poruszyć. W maju 1990 roku wygraliśmy i te wybory. My, czyli Komitet Obywatelski. Jednak to już był czas „grubej kreśli”, która w praktyce sprowadzała się do tego, by wszystko się zmieniało tak, aby niewiele się zmieniło. Czulem to w dawnej Radzie Narodowej przy Nowogrodzkiej, czulem przy placu Dzierżyńskiego (wtedy jeszcze nie oddano mu nazwy Plac Bankowy). Jako zwycięzcy witani byliśmy po przyjacielsku i tak, by zatrzeć wrażenie zmiany ekipy. Urzędnicy starali się raczej wywołać wrażenie kooptacji. Widoczne było, że przez rok, który upłynął od Okrągłego Stołu, stara administracja już się porozumiała z nową. Ukonstytuowany Sejmik Warszawski jeszcze przed wyborem swych władz miał opiniować kandydata na wojewodę. Reprezentujący rząd Tadeusza Mazowieckiego Jacek Ambroziak rekomendował na to stanowisko.... zarządzającego miastem od czasu komuny dra Adama Langerę. Scenariusz był gotowy. Wszakże sekretarzem stanu nadzorującym pracę wojewodów był Jerzy Kołodziejski – wojewoda gdański z roku 1980. Owszem, sygnatariusz Porozumień Sierpniowych, ale jednak reprezentant tamtej ekipy. Zatrudniony już w jakimś ministerstwie radny Wołomina Krzysztof Oksiuta poparł tę propozycję i... tak zaczęła się moja polityczna kariera. Nie miałem nic przeciw Kołodziejskiemu. Doceniałem jego historyczne zasługi, stawiające go w jednym rzędzie z Mieczysławem Jagielskim czy Tadeuszem Fiszbachem. Byłem nawet

w stanie zrozumieć, że Mazowiecki potrzebuje w pierwszym etapie rządu konsultacji takich ludzi. Nie mogłem się jednak zgodzić na to, by oni nadal panowali nad „karuzelą stanowisk”, czyli polityką kadrową.

- Kołodziejski prosił bardzo, mówiłem, ale na zapleczu. Jako doradca i bez swego kalendarzyka, bez pana Langerera i całej kryjącej się za jego dossier dalszej części partyjnej nomenklatury.



A. T. Kijowski
- Mowa Sejmikowa

Wygłosiłem płomienną mowę w obronie odnowy. Stwierdziłem, że nic się nie zmieni, jeśli w urzędach nie pojawią się nowi ludzie i... wygrałem. W tajnym głosowaniu moją rezolucję poparło 62 radnych, 4 opowiedziało się za rekomendowanym przez rząd Mazowieckiego Langerem. Opinia zatem była negatywna. W rezultacie zostałem członkiem prezydium, a nawet jego wicemarszałkiem. Obok mnie w Prezydium Sejmiku znaleźli się Piotr Fogler jako marszałek, Kazimierz Porębski jako drugi zastępca, a ponadto Bogusław Bartolik, Marek Borowik, Roman Chlebowski, Kazimierz Hałat, Bohdan Jastrzębski, Agata Leokadia Rymkiewicz. Agatę mianuje wkrótce Stanisław Wyganowski swoim zastępcą ds. kultury. Jednak ta przemiła i wielkiej uczciwości znajoma Wyganowskiego z biura projektów, gdzie była kreślarką, zrezygnuje wnet z przekraczającego jej kompetencje stanowiska zorientowawszy się, że jest na dodatek brutalnie „kiwana” przez wyzbytego jakichkolwiek skrupułów radnego i aktora Jerzego Zassa, który w przedziwny sposób opęta prezydenta Wyganowskiego. Na stanowisko wojewody wobec obstrukcji sejmiku względem protegowanego Kołodziejskiego wyznaczy się w rezultacie Bohdana Jastrzębskiego. Tu kompetencji nie brakowało.



*Bohdan Jastrzębski (1929–2000)
Wojewoda warszawski 1990–1998*

Bohdan był inżynierem, urbanistą. Swego czasu odbudowywał macedońskie Skopje po trzęsieniu ziemi. Po 68 roku uznał jednak, że już nie zdoła żyć w biurach i... otworzył biznes. Warsztat samochodowy, który prowadził w latach 70. przyniósł mu znaczne dochody. Muszę przyznać, że gdy zaprosił nas na jakiś podwieczorek do swojego żoliborskiego domu, powiedziałem potem otwartym tekstem:

– Tak, Bohdan jest wymarzonym kandydatem na wojewodę. Jest człowiekiem sukcesu. Dorobionym. Takiego nie można kupić za kilka dolarów. Nie potrzebuje odreagowywać biedy, z której, co było widać, wychodzili liczni mandatariusze społecznego zaufania. Ich nerwowość była widoczna. Standardy życia domowego podnosiły się nieproporcjonalnie szybko. Coraz wyraźniej dostrzegałem, że pies pogrzebany jest w pieniądzu. Nie zrobią polityki ci, co ich nie mają. Los Richarda Nixona najlepszym tego przykładem. Od czasu afery Watergate wiadomo, że cenzus majątkowy także nowożytnej demokracji ma swoje uzasadnienie. W Warszawie z nielicznymi wyjątkami, które uosabiał Jastrzębski po prostu pieniędzy nie było.

No a jak nie ma, to nie ma. Z licznych wizyt u sponsorów pozostała jedna korzyść. W antyszambrach Piotra Büchnera, który ze swoją apteką szwajcarską przy alei Róż był jednym z biznesowych bohaterów epoki, natknęliśmy się z Hanką Zielonką na Michała Komara, kołędującego właśnie na rzecz Niezależnej Telewizji Polskiej. Projekt mego przyjaciela, twórcy paryskiego „Kontaktu” i „Video-Kontaktu” był mi świetnie znany. Miałem nawet w domu biznes plan pozostawiony mi przez Mirka dla wywiadu, jaki z nim zrobiłem w „Tygodniku Solidarność” przed rokiem. Chojecki właśnie ostatecznie wrócił do kraju, ale ani w głowie mu było zawiadamiać mnie o tym po protekcji. Zatem absolutnie

przypadkowo dowiedziałem się, że jego telewizja rusza i za kilka dni na Wiejskiej odbywać się będą przesłuchania.

Z pustego i Salomon nie naleje. Toteż nie nalano. Można było teoretyzować, marzyć, pisać. Polska zdawała się jak Eldorado. Byłem naiwny. Nie znalazłem grosza. A przecież jak tu się pieniędzmi rządzi, pokazał mi był Andrzej Hagmajer wnet po powołaniu Jastrzębskiego na stanowisko wojewody. To było jeszcze w 1990, może z początkiem 1991 roku. Bohdan był człowiekiem kompetentnym, lecz konsyliacyjnym. Większość urzędników pozostawił na stanowiskach. Nie ruszył też Hagmajera. Ten zaś pewnego razu, gdy już zostałem wicemarszałkiem Sejmiku, zaprosił mnie, bym wziął udział w komisji przyznającej nagrodę wojewody dla instytucji kultury. Poza dyrektorem wydziału kultury i przedstawicielem Sejmiku w mojej osobie, w komisji brali jeszcze udział reprezentanci środowiska: pan profesor Janusz Pieniążek z Muzeum Literatury oraz prezes Mazowieckiego Towarzystwa Kultury. Znalazłem czas, wpadłem. Panowie rozmawiali w wielkiej komitywie. Usiedliśmy przy owalnym henrykowskim meblu. Podano kawę.

– No tak, zagaił Hagmajer. – Mamy do przyznania nagrodę dla instytucji kultury. Moim zdaniem spośród wszystkich instytucji kulturalnych niewątpliwie najwyższej oceniać należy dorobek Mazowieckiego Towarzystwa Kultury. Proponuję by właśnie ono w tym roku nagrodę tę otrzymało. Co panowie na to?

– Świetny pomysł – podchwycił Pieniążek. – Istotnie wkład Towarzystwa w tym roku był zauważalny. I ja akceptuję pomysł. Prezes MTK zgodził się z przedmówcami. Milczałem. Co nie leży w moim obyczaju. Oczy coraz bardziej mi się rozszerzały.

– I co pan marszałek na to? – spytał po chwili Hagmajer.

– Czy ja dobrze rozumiem – wykrztusiłem w końcu – że proponujecie panowie przyznać nagrodę instytucji, której przedstawiciel jest członkiem jury?

– Ależ naturalnie – odrzekł Hagmajer. – Cóż poradzimy na to, że właśnie ta jest najlepsza. Nie będziemy przecież instytucji dyskryminować za to, że jej prezes znalazł się akurat w naszym zespole.

– Zresztą – dorzucił prezes MTK – ja się mogę od głosu wstrzymać. Opa-dły mi ręce. Szczególnie na widok Pieniążka, o którym wiedziałem wprawdzie, że ten arystokratyczny kolaborant wykukał sobie Muzeum Literatury za wczesnego Gierka zajmując podobne do pełnionej przeze mnie funkcji stanowisko wiceprzewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej. Miałem jednak doń sporo

szacunku, który zaszczepiła mi poważająca go, a pracująca w tej instytucji w latach 70. żona Kazimierza, pani Maria Brandysowa. Wiedziałem też, że Muzeum – jakkolwiek przezeń zdobyte – było „warte mszy”. Stworzył Pieniążek instytucję bardzo wartościową. Spojrzałem nań pytająco. Spuścił wzrok i coś półgębkiem dorzucił.

– Może to istotnie nieco niezręczne, jednak trudno nie zgodzić się z panem dyrektorem, że osiągnięcia Towarzystwa są znaczne, a znajduje się ono w sytuacji trudnej finansowo.

– Jednak nie tylko ono – stwierdziłem. – Muzeum Literatury też by się coś przydało.

– Proponuje pan, by podzielić nagrodę? Zapytał Hagmajer.

– No cóż, zawsze trzeba wybierać, – dodał któryś z panów. Opadły mi ręce, wstałem.

– Darujcie, panowie – powiedziałem. – Jednak ja się pod tym werdyktem nie podpiszę. Bez słowa opuściłem gabinet. Miałem bowiem świadomość, że tak naprawdę zaproszenie skierowane ku Sejmikowi było aktem czystej kurtuazji. Nie było żadnych procedur, więc wojewoda mógł nagrodzić kogo chciał. Nie musiał nikogo pytać. Tak też zostało. Więcej mnie na takie konwentykle nie zapraszano. Opuściwszy salę zdałem sprawę ze zdarzenia na prezydium Sejmiku lecz większej nie zrobiłem afery.



Julek Gostkowski

Ponieważ nie zaogniłem konfliktu, Hagmajer, gdy po dwu latach pojawiłem się u niego w sprawie reaktywowania WIK-u, zdawał się o tym incydencie nie pamiętać. Jako że pieniędzy nie znalazłem, skończyło się na tym, że poinstruowany przez Hagmajera dyrektor Rudzki zaproponował zgodnie z moim postulatem Ani Kowalskiej etat sekretarza redakcji, mnie zaś... zastępcy naczelnego redaktora wymyślanego przez nas od pół roku czasopisma. Z miną pełną

triumfu przedstawił mi mój nowy szef pracującego już w Szpitalu Świętego Ducha czas jakiś Juliusza Gostkowskiego.

I tu się pan dyrektor zawiódł. Istnieje coś takiego jak piętnaście sekund, w trakcie których wyczuwają się ludzie. Fachowcom wystarczy pięć. Po kilku sekundach rozmowy w moim przyszłym dyrektorskim gabinecie na Elektorальной i w przytomności wyraźnie pragnącego nas poszczuć na siebie teatralnego intryganta, wiedzieliśmy z Julkiem, że nie ma znaczenia, jak kto się będzie nazywał. Obydwaj tego samego chcemy i projekt zrealizujemy razem. Nie było wyjścia. Gdy wdam się w inicjatywę Chojeckiego, pan Rudzki zrzęcznie wykołezankuje mnie z Elektorальной. Pozostaną tam jednak wierni przyjaciele: Ania Kowalska i nieżyjący już dziś Gostkowski, którzy wnet uruchomią pismo – niestety jako daleki od aktualności dwutygodnik. W rezultacie kilka lat, od stycznia 1993 do października 1998 roku wychodzić będzie „WIK” – jako czasopismo dotowane przez Wojewodę Warszawskiego. Gdy skończy się dotacja – padnie.

Moją zaś wizję pisma prywatnego, niezależnego i aktualnego, nieoczekiwanie zechce jeszcze zrealizować tajemniczy Francuz. Do dziś nie wiem, co sprowadziło na kilka miesięcy do Polski dwudziestopięcioletniego Pierre-Andre Grevina. Czyżby było to pokłosie wici rozsyłanych w mojej sprawie przez Wolickiego? A może ktoś dowiedział się, że jest dziura na warszawskim rynku i sam próbował ją wypełnić czy choćby wyeksplorować? Dość, że ów tajemniczy traper kulturalny przedstawiał się jako wydawca pism repertuarowych w dwunastu frankońskich krajach afrykańskich. Przez kilka tygodni będzie się starał wydawać pismo pod nazwą „Impreza”. Powiedział, że nawet angażując się w Afryce nie miał poczucia ryzyka, tym bardziej więc nie przeraża go polski rynek. Istotnie – nie przeraził. Grevin pojawił się, narobił trochę szumu. Wnet jednak pojął, że się spóźnił, że ma już konkurencję w postaci sponsorowanego przez Hagmajera z publicznych pieniędzy „WIK”-u. Spakował manatki i czmychnął nie płacąc, jak mi opowiadano, wszystkich rachunków ani honorariów personelu.

Tak więc ani „Nowe Światy”, ani francuskie „Spotkania”, ani przygody z amerykańskim „Dziennikiem Krajowym”... Organizowana przez związanego z WSI Kubiaka inicjatywa „Obserwatora Codziennego” też wkrótce padła. Afrykański finał pisma repertuarowego sprowadził nasze poczynania do absurdu. Demonstrował, choć tak strasznie nie chciałem tego widzieć, że nie może być mowy o wolności w buszu, w którym kapitałści jeszcze nie zeszli z drzewa. Pod którym czyha wszechobecny i wciąż niezniszczalny – Hagmajer.

AKT DRUGI

KONFLIKT O TELEWIZJĘ

VI

CHOJECKI I KOMAR

czyli co nam zdrady...

Spotkanie z Michałem Komarem u Büchnera zaowocowało poznaniem daty castingu do Nowej Telewizji Warszawa. Była to modyfikacja pomysłu Chojeckiego stworzenia „Niezależnej Telewizji Polskiej”. Chojecki po powrocie z Francji, gdzie kierował ogromną prasową i filmową firmą „Kontakt”, witany był jak bohater powracający na białym koniu. Telewizja publiczna poświęciła mu godzinny show w szczycie oglądalności, wymyślony jeszcze za czasów Gierka i przeznaczony dla politycznych notabli: „Godzina z...”.

Mirek z wygraną rozminął się o włos — nie załapał się bowiem na ten typ koncesji, jakie Andrzej Drawicz rozdawał jeszcze w pierwszej połowie roku 1990. Otrzymały je, mówiąc słowami Juliusza Brauna „w trybie eksperymentu”¹ związane z „Gazetą Wyborczą” Radio Zet, Radio Solidarność w Warszawie i RMF w Krakowie. Mirek też miał koncesję przyobiecaną. Umówił się z Drawiczem tuż przed Bożym Narodzeniem, że zaraz po powrocie z zimowych nart Andrzej mu podpisze tę koncesję. Niestety, w związku z zakończeniem misji rządu Mazowieckiego w grudniu 1990 roku, 7 stycznia 1991 Drawicza na stanowisku szefa Radiokomiteu zastąpił Marian Terlecki. Z tym telewizyjnym redaktorem z Gdańska, twórcą i założycielem Video Studio Gdańsk, związanym dziś z TV PULS, paryskie Studio Kontakt ściśle współpracowało, jednak w nowej rzeczywistości panowie zamiast działać razem, będą konkurować. Terlecki był więc ostatnią osobą, od której mógł Chojecki tę kumoterską koncesję otrzymać. Wobec zapowiedzi uchwalenia Ustawy o Radiofonii i Telewizji zdecydował się nie czekać, lecz na wzór włoski zagospodarować dziewiczy teren. We Włoszech bowiem w latach 70. tak się stało, że gdy zdecydowano o uwolnieniu częstotliwości i przyznawaniu ich w drodze koncesji nadawcom prywatnym, otrzymali je ci, którzy wcześniej zajęli rynek (przede wszystkim reklamowy), działając na zasadzie półlegalnej.

1 J. Braun Potęga czwartej władzy, WSIP, Warszawa 2005, s. 138



Niezależna Telewizja Polska była projektem ogólnokrajowym. Dysponowała listami intencyjnymi między innymi od Thompsona, który na początek zasponsorował Mirkowi szpanerski gabinet. Nikt jednak więcej środków nie wyłożył.

I wtedy pojawił się Grauso. Związany z imperium prasowym Berlusconiego właściciel sardyńskiej Videoliny i wydawanego w Cagliari „Unione Sarda”, miał już doświadczenie w przesiadaniu się z pirackich łodzi na legalne okręty podczas rewolucji medialnej w Italii w latach 70. Grauso finansował już lokalną telewizję we Wrocławiu, potem kupił „Życie Warszawy”, wreszcie zaproponował Mirkowi Chojeckiemu i Michałowi Komarowi by trening swego zespołu rozpoczęli od budowania stacji lokalnej. W zależności od wyniku, jeśli koncesję otrzymałaby wprawdzie miastu stacja regionalna (pamiętajmy, że w Warszawie nie było jeszcze WOT-u), z kilku podobnych znajdujących się już w Polsce i finansowanych przez Włocha musiałaby powstać sieć. Gdyby silniejszą okazała się propozycja ogólnopolska – telewizja wydzieliłaby z siebie mutacje lokalne. Plan był logiczny. Kiedy więc pojawiłem się na Wiejskiej, funkcjonowały tam praktycznie dwie struktury: wirtualna i legalistyczna Niezależna Telewizja Polska czekająca na koncesję oraz mająca za zadanie przełamać na poziomie lokalnym państwowy monopol informacyjny w sferze mediów elektronicznych, nawiązująca brzmieniem nazwy do podziemnej NOWEJ, „Nowa Telewizja Warszawa” finansowana przez Sardyńczyka. W tym czasie idea wolnej telewizji spotykała się z szerokim poparciem.

Dla wszystkich było jasne (dla wszystkich obywateli rzecz jasna, bo tym którzy trafiali w rejony władzy, punkt widzenia błyskawicznie zmieniał się wraz ze zmianą miejsca siedzenia), że nielegalne jest zakazywanie realizowania wolności słowa za pośrednictwem mediów elektronicznych. Toteż ludzie korzeniami zrośnięci z opozycją chętniej nawet angażowali się w inicjatywy obywatelskie niż rządowe. Rzecz jednak rozbijała się o koszty. Koszty radia są wyższe niż gazet. Telewizja wymaga środków najwięcej. Najmniejszej stacji telewizyjnej nie ruszy się bez miliona dolarów. Ale najmniejsza czyli lokalna, nie działająca w żadnej sieci nie ma szans zebrania wystarczającej ilości reklam na utrzymanie. Ponadto media elektroniczne to jeszcze coś. Poza kosztami to jeszcze technika i warsztat zawodowy, którego nie nabędzie się bez praktykowania.

Ja już praktykowałem. W jednej ze stacji radiowych, która koncesję od Drwicza dostała w pierwszym rzucie. Było to, dla niepoznaki przezywane dziś

Eska – Radio „S” czyli Radio Solidarność. Założył je nieżyjący już Jerzy Farner (1948–2002) – dziennikarz związany jeszcze z funkcjonującym w roku 1980 Radiem Solidarność Regionu Mazowsze. W Studio przy ulicy Konwiktorskiej, wykorzystywanym przez Polski Związek Niewidomych do nagrywania książek na kasety, zapowiadany przez mojego niegdysiejszego studenta teatrologii, a późniejszego wydawcę „Kawy czy Herbaty” Krzysztofa Dużyńskiego, oswajałem się z formułą felietonu radiowego i mikrofonem.

Równoległe przez prawie dwa lata zatrudniany przez Iwonę Smolkę w takiej samej roli felietonisty II Programu Kulturalnego, czułem się prawdziwym fachowcem, a i ekspertem – przynajmniej w dziedzinie teatru i warszawskiego samorządu. Jako wicemarszałek Sejmiku stykałem się przecież z ogromną liczbą ważnych miejskich spraw: od wysypisk śmieci poczynając, poprzez budowę metra, na problemach schronisk dla zwierząt i enklaw artystycznych kończąc. Z tym wszystkim udałem się na Wiejską do Czytelnika na egzamin.

Siedziba Niezależnej Telewizji Polskiej mieściła się w lokalu Czytelnika, którego Michał Komar był wówczas prezesem i gdzie wynajął Chojeckiemu całe najwyższe piętro. Mirek zbudował tam sobie w gabinecie istny obelisk z Thompsonów. Cała ściana jego gabinetu zajęta została przez kilkadziesiąt odborników, z których każdy był nastawiony na inny kanał satelitarny. Po lewej stół konferencyjno-biurkowy i fotel dyrektorski, jakiego jeszcze prezydent Rzeczypospolitej się nie dorobił. Malutkiego, sprawniutkiego Macintosha w prawym rogu pokoju mogłaby pozazdrościć kancelaria prezydenta, że o gabinecie wojewody nie wspomnę. W Urzędzie Wojewódzkim tym w one dni teksty nosiło się przepisywać jak za Króla Remingtona – do hali na maszyny. Słowem luksus i światowy szyk powalał nie mniej niż skład pierwszego zespołu. Ale po kolei.

Zaczęło się od castingu. Kazano mi stanąć przed kamerą i zaproponować dwie krótkie relacje. Pamiętam, że byłem bystry. W drodze do Czytelnika wpadłem do kolegów w „Expresie Wieczornym”, wziąłem najnowsze wydruki PAP-u. Przygotowałem jakieś super aktualne newsy. Dodałem też komentarz samorządowy na temat wysypiska śmieci „Czajka”, o którym była mowa na porannej sesji Sejmiku. Nauczyłem się tego na pamięć i a vista wywaliłem do kamery. Widziałem, że towarzystwo wparło. Nie dlatego, że bym był taki genialny, lecz dlatego, że zupełnie czegoś innego się po mnie spodziewano. Dlatego zresztą pewnie Choj nie zawiadomił ani mnie, ani innych dochodzących czterdziestki „styropianów” o tej nowej akcji. Od doktora nauk teatralnych oczekiwano co najwyżej nudnej



Dorota Wellman Fotel w NTW

recenzji artystycznej i czułem, że szukają formy jakby tu grzecznie dać mi do zrozumienia, że dla takich przyków, skoro nie trafili do zarządu, miejsca wśród personelu nie ma.

Dziwnie tam było. Tak po polsku. Niby transparentnie, ale z przepustką dla swoich, którzy nie wszyscy nawet zniżyli się, by z oferty skorzystać. Była i Hania Smoktunowicz (dziś Lisowa) ówczesna żona Roberta. Smoktunowicz swoją firmę prawniczą prowadząc wraz ze słynnym z „falandyzacji prawa” Szeffem kancelarii prezydenta Wałęsy Lechem Falandysem, obsługiwał sponsorujących cały ten biznes Włochów Nicola Grauso. Pojawiła się na moment młodzietka Paulina Młynarska. Również selekcji nie byli poddawani Rafałkowie Olbrychski z Włoczewskim, którzy z czasem poprowadzą w NTW swój program Muzyczny. Także Dorota Wellman, żona wziętego fotografa, nie będzie nigdy musiała zniżyć się do robienia newsów, typowana zawczasu na „Fotele”.

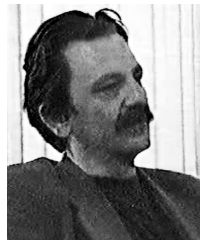
Eliminacje służyły zasadniczo wybraniu grupy młodzieży do czytania dziennika i robienia newsów. Dotyczyły młodych no i mnie, który się przyszałem.

Było trudno, jednak w sferze zawodowej – uczciwie. Skoro przeszedłem przez pierwszy zakręt, pozostawała nadzieja, że odpadnę gdzieś na wirażu. Jeśli nie z braku siły fizycznej, to może odporności psychicznej na zimny wychów cieląt, jaki zafundował ekipie zatrudniony w charakterze „nauczyciela i mistrza” Krzysztof Wyszzyński. Mówię

Krzysztof – bo on jeden z grupy szkoleniowców się ostał. Być może cała zabawa polegała na tym, by na zakręcie gubić mniej wytrzymałych. Tak więc stworzonej w stacji atmosfery szybko nie wytrzymała i odpadła z zespołu trenerów Teresa Kotlarczyk. Zrezygnowały dzieci z dobrych domów. Pozostały cielęta do zimnego wychowu z ATeKą, jak mnie przezwano w charakterze rozrywkowego epizodu.

Nie odpadałem, bo szkoła była dobra. Wyszyński był doświadczonym operatorem filmowym i biegle władającym angielskim byłym korespondentem którejś z zachodnich stacji w Polsce w stanie wojennym. Teresa Kotlarczyk była już wtedy znakomicie zapowiadającym się reżyserem. Na wykłady wpadał Andrzej Wajda. Dużo czasu poświęcił nam też były szef całej frankofońskiej telewizji na Polinezji oraz korespondent TF1 w Moskwie, także nie żyjący już dziś Gabriel Meretic (1939–2000). Z jego rad chyba najwięcej skorzystałem.

Kurs, jak podsumował to kiedyś Wyszyński, za tysiące dolarów. Tylko dyplomów nie dawali. W ekipie utrzymali się ostatecznie w roli lektorów wiadomości Jacek Koskowski i Magda Donimirska (wkrótce wezmą ślub), Grzegorz Piekarski i Kasia Królak, która pod koniec naszej telewizyjnej służby poślubi Krzyśka Wyszyńskiego oraz Janusz Zadura. Newsami miała się zajmować Ula Rzepczak, Grześ Kalinowski i piszący te słowa ATeKa. Z czasem, gdy do zespołu dołączy Jarek Kret, Ula też dołączyła do zespołu czytania dziennika.



*Krzysztof Wyszyński
– operator (na żywym
organizmie zespołu)*

Ale zanim ruszy stacja, odbędzie się jeszcze piękna kompetencyjna włoskopolska awantura, w rezultacie której Komar pokąsa Włocha. Ten zwieje tam, gdzie gra cykada. My zaś, czyli zespół, będziemy przemieszczać się ze sprzętem wartym mercedesa wożonym na dachu mojego malucha z Wiejskiej do siedziby Bellony na Grzybowskiej 77 i z powrotem. Godzić się i zwodzić. W rezultacie na przeprosiny Nicola Grauso zaprosi cały zespół na Sycylię.

Było wesoło. Najbardziej, gdy opadający już nad lotnisko Cagliari samolot z kilku metrów nad ziemią poderwie się z powrotem w górę, gdyż jak się potem okazało mgła była taka, że pilot nie widział pasów lądowiska. Wysiedliśmy za drugim podejściem, uspokojeni odbezpieczoną bezzwłocznie przez Mirka Chojeckiego butelką J&B. I w stanie upojenia radością powrotu do żywych udaliśmy się do willi pierwszego adiutanta Berlusconiego czyli Nicoli Grauso. Ten oczekiwał nas nad basenem, na balkonie pokrytym sztuczną murawą, w otoczeniu rodziny i paziów i wszystkim nam przygrywał na fortepianie.

Cóż dodać? Może tyle, że gdy moi rodzice w 1971 roku byli we Włoszech, a ja w Warszawie męczyłem się w liceum, oboje mieli metafizyczne wrażenie, że w jakiejś florenckiej knajpce zobaczyli mego sobowtóra... Może i to jeszcze, że

choć we Włoszech byłem ledwie trzy razy, w dodatku nie znam języka, a rozumiałem tyle, ile płynię z podobieństwa do francuskiego – jedyna kuchnia, bez której żyć nie mogę pochodzi z kraju Apeninów. Przecież instynktownie akceptowałem ich sposób pracy, ich bałagan, ich emocje. Głupio mi się nawet było przyznawać co myślę, by nie uchodzić za zdrajcę czy lizusa, gdy słyszałem idiotyczne awantury Wyszyńskiego, który nie wyobrażał sobie pracy na wycofanych już z obiegu maszynach montażowych typu U-matic, żądał by newsy robiono metodą dokumentalną, tzn. komponując obraz, pod który dokłada się komentarz.



Kasia Królak dobija do Malucha

Włosi proponowali i przeforsowali metodę literacką. Czulem to całym sobą: lepszą, szybszą, tańszą, skromniejszą, rzeczową. U nich najpierw pisze się komentarze, potem dziennikarz osobiście je nagrywa, wreszcie montażysta dokleja do tekstu obrazki. Telewizja to ilustrowana informacja, nie żadne kino. Kompozycja jest tu logiczna, nie plastyczna. Plastyczność właśnie łatwo może zwieść do przeinaczeń. Operując kadrem można dla samej zabawy ze światłem wykonać słynne polecenie wydawane PRL-owskim operatorom: – gdy na pochód pierwszomajowy przyszło mało, pokazywać trzeba było wielu, a w Boże Ciało na odwrót – wielki tłum w relacji obrazowej miał zdawać się grupką znudzonych obywateli.

Włoska metoda sprawiała, że po pięciu godzinach reporterskiego wojażu wracało się do stacji z trzema materiałami, które po kolejnych trzech godzinach poświęconych na napisanie półstronicowego komentarza, nagranie go i oklejenie obrazkami były gotowe do emisji. Dziennik wydawaliśmy po południu – o piątej.

Na Sardynii spędziliśmy tydzień.



Nicola Grauso



*TeK z Mirkiem
Chojcekim w Cagliari*

Włoscy koledzy przekazali nam to, czego ich nauczyli Amerykanie z małej komercyjnej stacji w Atlancie. Mieliśmy więc naprawdę dobrą szkołę i z nią rozpoczęła się praca. Jedna jej część była polityczna inna merytoryczna.

Panowie bowiem podzielili się. Mirek został w Czytelniku jako legalista z NTP. Szef Czytelnika czyli Komar przywdział piracką opaskę Nowej Telewizji Warszawa. Wyszyński objął funkcję bosmana, reszta to byli marynarze. Wśród nich moja skromna osoba, spychana przez bosmana do pozycji czyszczącego podłogi majtka, który jednak (nie bez dyskretnego wsparcia Komara) uwziął się zająć pozycję na bocianim gnieździe.

Okręt ruszył, lecz zewsząd piętrzyły się rafy. O naszym starcie było głośno w prasie i w mediach. W towarzystwie huczało, bo wszak szef Czytelnika to zarazem dusza kawiarni na Wiejskiej, a i Chojceki w środowisku osadzony. A tu naraż z za węgła startuje zupełnie inna stacja lokalna. Dowodził tą instytucją niejaki Jacek Żelazik. Wiadomo jednak, że w tle tej antreprzyzy kryła się dużo poważniejsza postać: funkcjonariusza SB i byłego rzecznika prasowego generała Kiszczaka, Wojciecha Garstki.² Poznałem go kiedyś. W 1987 roku, gdy wykładałem

² Matematyk i filozof, doświadczony manager w jednostkach administracji publicznej, w prywatnych firmach i korporacjach oraz jako szef własnej firmy. Wykładowca kilku wyższych uczelni (logika i metodologia). Aktywny konsument i uczestnik życia kulturalnego (teatr, muzyka, poezja). Dziennikarz i prezenter, człowiek wielu profesji. Służył w MSW i UOP, zajmując się „białym wywiadem”. Współorganizował w Warszawie pierwszą prywatną telewizję „Top Canal”. Pracował jako manager i konsultant w UNISYS, Rank XEROX, Compaq, PROKOM, doradzał Computerlandowi, TelEnergó oraz kilku komisjom parlamentarnym i Krajowej Izbie Gospodarczej oraz kilku prywatnym przedsiębiorcom polskim i zagranicznym. Ostatnio doradca Głównemu Geodecie Kraju w zakresie IT i prowadzi projekty PHARE w ramach budowy Zintegrowanego Systemu Katastralnego. Równocześnie jest ekspertem „ad hoc” europejskiej agencji ENISA



Cieliste Logo

N (J. Koskowski,

A. T. Kijowski,

K. Królak)

T (K. Wyszynski,

G. Stryzowska)

W (G. Piekarski,

M. Donimirska,

M. Cbojecki, J. Zadura)

estetykę w Szkole Teatralnej szef mój, jak go już raz scharakteryzowałem dobry partyjny Polak, choć komunista niezbyt szczerzy, Henryk Hintz, wyznał mi pewnego razu, że choć prawie nikt z pracowników o tym nie wie, nasz Zakład Filozofii jest częścią Międzyuczelnianej Katedry Instytutu Marksizmu-Leninizmu (czy jakoś podobnie) dla Szkół Artystycznych. To taka zewnętrzna czapka, która do niczego nie służy, tylko się nazywa, więc też zatrudniając nawet nikomu o tym nie mówił. Ale teraz poprosił mnie nieśmiało bym odrobił pańszczyznę i zaniósł się w lennie Leninowi. To znaczy poświęcił niedzielę na indoktrynującą gadkę jakiegoś majora z MSW, rzecznika prasowego Kiszczaka.

Płk. MSW na GoldenLine dziś, czyli: T Consulting, Reengineering Change Management

– Tylko panie Andrzeju, na Boga! – westchnął marksista – niech pan podpisze listę, wepchnie się w kąt i przypadkiem nic nie gada.

Udałem się do Akademii Sztuk Pięknych, gdzie spotkałem same szpetne dziewczyny zajmujące się filozofią, socjologią i innymi artystycznymi teoriami. Tłok był niespotykany. Na biurku siedział przystojny czterdziestolatek w blue jeansach i ... wyrzekał na system. Że partia to matoly, wszystkim i tak rządzi „Solidarność”, że stan wojenny zdegenerował gospodarkę. Mówił nie raz odwołując się do Kaczmarek, którego jak mi relacjonowano podśpiewywał w bardziej intymnych okazjach. To był już rok 1987. W Sowietach szalała „głasność” i „piestrojka”, na którą zresztą Hinz pamiętam zwracał mi uwagę. Po pięciu godzinach tej indoktrynacji nie wytrzymałem. Wypowiedzi majora nikt nie komentował. Pytań też nie było. Widać wszyscy otrzymali od swoich szefów instrukcje podobne do moich. Garstka dwoił się i troił, by rozruszać dziewczyny. Więc wreszcie z kąta sali zadałem tylko jedno konkretne pytanie.

i uczestniczy jako ekspert w projekcie SUPHICE (dedykowana szyfrowana transmisja danych na żądanie pomiędzy podmiotami państw UE). Certyfikowany Projekt Menadżer (PRINCE2), IT security Manager, wykładowca ITIL. Nalógowy opowiadacz pięprzonych kawałów. Szanuje intelektualistów i ludzi z fantazją, nie cierpi fanatyzmu pod każdą postacią. (za: http://www.e-administracja.org.pl/baza_wiedzy/osoby/wojciech_garstka.html)

– No dobrze, panie majorze – zwróciłem się do rzecznika Kiszczaka. – Pan tu tak sobie opowiada i opowiada, a na system z samego jądra jego ciemności wyrzeka. Ale przecież z tego co pan mówi wynikałoby, że pierwsze co należałoby zrobić, to ten PZPR rozwiązać. Zapadła cisza, a Garstka uśmiechnął się kokieteryjnie i powiedział:

– Ależ oczywiście. Właśnie nad tym pracujemy. Tylko widzi pan, PZPR jest w tej chwili osiã, na której trzyma się cały aparat państwowy. Gdyby go w jednej chwili usunąć, zawaliłoby się państwo i rozpoczęła anarchia nieporównywalna nawet z karnawalem „Solidarności”. My pracujemy nad tym, jak ten chory twór rozmontować i zrobić to bezpiecznie.

Zapadła cisza. Koleżanki, bo chyba nie było tam poza Garstką i mną żadnego faceta, patrzyły na mnie ze współczuciem jak na kompletnego wariata, który dał się podejść prowokatorowi. Jednak prowokacji w tym nie było. Właśnie zaczynał się proces rozrzedzania, czy ściślej przepoczwarzania i przejmowania niewydolnego systemu. Wszyscy rozeszli się nie pojmując, o co facetowi chodzi. A on... on prawdopodobnie wprost od nas pojechał do swego szefa, do Magdaleny...

Tacy ludzie mają słuch na swoje czasy i ... nos mutamur in illis. Wystarczy przeczytać aktualną notkę pana majora na portalu internetowym *Goldenline*, by poważnie się zastanowić, dokąd to wszystko zmierzało i nadal zmierza. I przez co prowadzi. A droga wiedzie rzecz jasna przez pieniądze, o których Komar z Chojeckim, że o sobie nie wspomnę, nazbyt poważnie nie myśleli. Mniej może więc od innych zdumiała mnie informacja o tym, że ludzie Żelazika utworzyli stację, ale dopiero dziś rozumiem, że nie było w tym żadnego szatańskiego spisku. Ot, proste załapanie się na finansową okazję. Dla nas korsarstwo było cnotą. To była wolność wyboru, ale rzetelność finansowa. Ludzie służb wewnętrznych możliwość jego uprawiania wykorzystali z całą dosłownością. Do głowy nie przychodziło Komarowi czy Chojeckiemu, a tym bardziej Włochom, by naruszać czyjekolwiek prawa autorskie. Mieliśmy zresztą swoje niemałe zapasy. Mirek dysponował ogromnym archiwum filmów zrobionych przez Kontakt w Paryżu. Komar porozumiał się z Filmoteką i Zespołami Filmowymi, zdobywając prawo do emisji polskich filmów przez żadną stację wówczas nie wyświetlanych.

Dla Garstki i Żelazika piractwo to znaczy dorobić się szybko i bez podatku. Zapewne to się im udało. Top Canal wszedł bowiem pierwszy w Warszawie na częstotliwość odbieraną przy pomocy szerokopasmowej anteny i równolegle z emisją pirackich kaset wideo uruchomił dystrybucję anten wraz ze specjalnym

wzmacniaczem. Na samym handlu tym sprzętem można było dobrze zarobić. (...)

Co jednak ciekawe, i chyba dowodzi, jak głębokie i różnorodne łączyły ludzi w owych czasach powiązania, pozyskał Top Canal do swego programu nie kogo innego, lecz profidenta pierwszej radiowej koncesji nadanej przez Drawicza dla Radia Zet, Andrzeja Woyciechowskiego. Tak, Pierre Vodnik, pod którym to pseudonimem Woyciechowski pisywał dla „Le Monde” i „Liberation”, współpracownik francuskiej agencji prasowej AFP i RFI francuskiego radia polskojęzycznego, Radia Wolna Europa i polskiej sekcji BBC nie zawahał się udzielić poparcia ludziom pierwszego adiutanta Człowieka Honoru, którym to tytułem Adam Michnik obdarzył generała Kiszczaka...

Gdy więc nasz statek ruszał, w porcie grasowała już postesbecka fregata. Pierwsze cumy oddaliśmy 11 listopada 1992 by... zamilknąć po kilku minutach. Nadajnik umieszczony na legalnie wynajętym przez włoską spółkę kawałku iglicy Pałacu Kultury w kilka minut po rozpoczęciu przez Magdę Donimirską dziennika został zablokowany. (...)

Start NTW – M. Komar z dwoma ministrami kultury: I. Cywińska (rząd Mazowieckiego), A. Siciński (rząd Olszewskiego). 6.XII.1992

Między 11 listopada a 6 grudnia toczyć się będą rozmowy, w których zresztą (zmieniwszy nieoczekiwanie rolę z majtka na armatora) jako dobry znajomy wojewody wraz z Robertem Smoktunowiczem będą uczestniczył. Złośliwy jak zwykle Wyszyński powitał mnie po którejś fazie rozmów ironicznym „witamy panów z administracji”. Ja jednak z Włochami dogadywałem się już coraz lepiej. Po konsultacjach ustaliliśmy, że Pałac Kultury jest zbyt trefny, nikt się jednak nie przycepi, gdy nadajnik przeniesiemy nieopodal – na eksterytorialny administracyjny, bo należący do zagranicznego właściciela dach Mariottu. Hotelu, w którym notabene wszyscy włoscy przyjaciele mieszkali.

Co się nie stało w Dniu Niepodległości, przynieśliśmy Warszawie na świętego Mikołaja. Z udziałem dwóch byłych Ministrów Kultury, Izy Cywińskiej i Andrzeja Sicińskiego, w przytomności Andrzeja Wajdy i innych znakomitości słońce przebiło się przez zasłony. Ruszyła Nowa Telewizja Warszawa.

VII

WELLMAN I INNI
czyli filozofia zmiany

Drwina, wyższość, zadufanie – te trzy zaprawione gombrowiczowską, ironiczną pozą cechy charakteryzują bodaj najlepiej zespół stworzony przez Chojeckiego i Komara. Zespół fajnych ludzi, ambitnych i uczciwych, którzy w znakomitej większości potwierdzili przez minione 15 lat trafność pierwszej selekcji. Lecz była to także grupa, której zabrakło dwóch atutów: autorytetu i poczucia misji.

Miał to poczucie niewątpliwie Michał Komar, intelektualista o aparycji chłopca, ironista, kokiet, człowiek grzeczny i bardzo pracowity, jednak niezbyt wytrwały. Znakomity negocjator – przecież nie dyktator. Miał i Chojecki, bardzo czytany, wciąż nie potrafiący się pogodzić ze stratą powabnej czupryny ani do końca wejść w rolę przywódcy, do jakiej półgębkiem aspirował. Obydwaj panowie chcieli władzy, lecz nie byli skłonni położyć na jej ołtarzu tego, czego ona bezwzględnie wymaga. Niezależności.

– Słuchaj! – zwracał się do mnie coraz bardziej obcesowo Urbański, z im wyższych stołków do wyżej postawionego, tym bardziej brutalnie.

*Młody Chojecki*

– Słuchaj. Bo jak nie będziesz słuchał – mówił zza któregoś ministerialnego biurka – nigdy za takim nie siądziesz.

Najprostsza reguła władzy. Doprawdy niezależna od systemu. Problem naszego ustroju polegał wyłącznie na tym, że po latach fałszywej selekcji według klucza partyjnego i antynarodowego, nagle do władzy doszli ludzie bez zaplecza, pozbawieni instynktu czy choćby treningu administracyjnego.

Pewnie można się było jeszcze ratować. Wyszyński rozumiał mało, ale miał fotograficzne oko i słuch absolutny na quote – jak nazywał powiedzonka. Całą walkę, w czasie gdy w sierpniu i wrześniu 1992 roku obrażeni na Grauso Chojecki z Komarem szukali zastępczego polskiego kapitału, podsumował krótkim:

– Wszyscy byli za mali. Tacy jesteśmy piękni i wspaniali. Każdy przysłany wprost z kancelarii prezydenta biznesmen miał niedobre korzenie, był zbyt mało elegancki. Wszystkim słoma wyglądała z butów. Fakt. Tyle, że pieniądze nie rodzą się na salonach. One pozwalają salony budować, dla dzieci i własnych krótkich chwil wytchnienia. Noszący się na wzór Łęckich nie umieli dogadać się z rodzimymi naśladowcami Wokulskich.

A była taka szansa. W końcu przed Markiewiczem to właśnie Mirkowi Chojeckiemu prezydent Wałęsa proponował, by stał się jego przedstawicielem w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji. Miał zbyć udziały i załatwić koncesję Komarowi, Mirek z wysoka propozycję odrzucił. A Michał Komar, który po wycofaniu się ze współpracy z Grauso przystąpił już sam do procesu koncesyjnego z projektem lokalnej telewizji, jeszcze dziś się dziwi, iż mu wtedy Marek Markiewicz powiedział: – Dałbym panu, panie Michale, tę koncesję, gdybym miał wolne ręce.

No cóż. Ja też się dziwię. Ale nie temu, że urzędnik miał powiązania. Dziwię się, że w ogóle proces koncesyjny uznano, że sam Chojecki go bronił, że prawie wszyscy ludzie nowej władzy akceptowali zapisy mówiące o prewencyjnym koncesjonowaniu mediów elektronicznych¹. Chociaż kiedy startowała Nowa Telewizja Warszawa „wszyscy”, tzn. całe „Krakowskie Przedmieście” z Tadeuszem Konwickim na czele, byli za. Były już poseł Zbigniew Bujak, legenda opozycji, człowiek który nie zdecydował się kandydować do sejmu kontraktowego, a wówczas poseł na Sejm I i II kadencji, na wieść, że 11 listopada 1992 „nieznani sprawcy

1 Do dziś obowiązujący, a zaproponowany jeszcze w 1989 roku zapis art. 36 ust. 2 ustawy o radiofonii i telewizji: „Koncesji nie udziela się, jeżeli rozpowszechnianie programów przez wnioskodawcę mogłoby (sic!) spowodować:

1) zagrożenie interesów kultury narodowej, dobrych obyczajów i wychowania, bezpieczeństwa i obronności państwa oraz naruszenie tajemnicy państwowej;

2) osiągnięcie przez wnioskodawcę pozycji dominującej w dziedzinie środków masowego przekazu na danym terenie.”

został podpisany w roku 1989 przez: Jana Ryszarda Błachnio, Juliusza Brauna, Teresę Czarnik-Sojkę, Danutę Grabowską, Józefę Hannelową, Zbigniewa Janasa, Jarosława Kapsa, Józefa Kowalczyka, Tadeusza Kowalczyka, Jana Króla, Dobrochnę Kędziarską-Truszczyńską, Barbarę Labudę, Lesława Lecha, Andrzeja Łapickiego, Jacka Merkla, Henryka Michalaka, Adama Michnika, Janusza Okrzesika, Piotra Polmańskiego, Jana Rokitę, Jerzego Ruseckiego, Ireneusza Skubisa, Hannę Suchocką, Jacka Szymanderskiego, Jana Wróbla, Jerzego Zdradę, Wiesławę Ziółkowską, Zenona Złakowskiego i Stanisława Żurawskiego. (Druk Sejmowy 1193).

W roku 1991 ta sama treść została kontrasygnowana przez: Wojciecha Arkuszewskiego, Włodzimierza Błajerskiego, Piotra Czarneckiego, Ryszarda Czarneckiego, Barbarę Frączak, Wojciecha Kwiatkowskiego, Tadeusza Lewandowskiego, Marka Markiewicza, Stefana Niesiołowskiego, Sławomira Panka, Sławomira Roguckiego, Stanisława Wąsika, Stanisława Węglarza, Marka Zielińskiego i Marię Żółtowską. (Druk Sejmowy nr 50).

i jednocześnie właściciele wizji w Polsce zdjęli moc² z naszego nadajnika, tak to skomentował: *Bo wciąż zbyt wielu polityków nie może się oderwać od tej myśli, że środki przekazu, a szczególnie radio i telewizja pozostaną poza ich kontrolą. A jak powiedziałem, to jest dopiero warunek praworządności i demokracji.*

Ile razy jeszcze natknę się w życiu na słowa o wolności, o prawie do krytyki, o swobodzie wypowiedzi, które są tak długo aktualne, póki nie nas dotyczą? W wypadku walki o wolność prasy, jeden dyktat tak bardzo chciano zastąpić tym drugim, „naszym”, że nie zauważano nawet, iż jest na to po prostu zbyt wcześnie. Pewność zwycięstwa zaślepiała i wszyscy zgodnie powtarzali do dziś upowszechniane przez czołowych ekspertów medialnych Karola Jakubowicza i Juliusza Brauna cyniczne kłamstwo, iż „Rynek mediów elektronicznych inaczej niż rynek prasowy wymaga uregulowań nie tylko ze względów prawnych i politycznych. Przyczyną obiektywną jest ograniczony zasób częstotliwości, którym dysponuje państwo i konieczność uzgadnianego międzynarodowo administrowania tym zasobem. Częstotliwości są – jak się często mówi – dobrem rzadkim, wymagają więc wyjątkowo racjonalnego gospodarowania i zarządzania”.³ Zwyczajny fałsz! Częstotliwości jest dziś do syta, a i wówczas ich nie brakowało. W szczególności tych lokalnych, których nie wykorzystywało wojsko, jak kanał 44, który w Warszawie finansował Grauso.

Dobro limitowane to nadal powtarzana, choć wyszana z palca bajka dla grzecznych dzieci. Szczególnie od momentu wprowadzenia techniki naziemnej telewizji cyfrowej i związanego z nią pionowego podziału każdego pasma na pięć – sześć kanałów. Taki pakiet kanałów nazywany jest multipleksem i już zaczyna być przez Urząd Komunikacji Elektronicznej reglamentowany. Tak jak po 1989 roku okazało się, że papiernie nie mają kłopotu z wyprodukowaniem reglamentowanego dotąd papieru, tak w dzisiejszej dobie cyfryzacji – częstotliwości ci u nas dostatek. Pytanie jest o to, kto się pierwszy obłowi w tym cyfrowym lesie.

Pierwszeństwo gra tu bowiem niebagatelną rolę. Toteż, gdy już po wypadnięciu Komara i Chojeckiego z włoskiej gry, Mariusz Walter nieoczekiwanie, przynajmniej publicznie, ofiaruje Mirkowi 10% akcji w TVN-ie, ten, w każdym razie werbalnie, z propozycji nie skorzysta. Było, jak kiedyś próbował mi wyjaśniać faktycznie za późno. Po likwidacji Polonii 1 i związanej z nią reklamowej Publi-Polska, rynek reklamowy został podzielony.

2 P. Banasiak, S. Christow: „Wizjonerzy” Polska Kronika Filmowa XI-1992

3 J. Braun, Potęga czwartej władzy, WSiP Warszawa, 2005, s. 138



Michał Komar – 1993 (Gadające Głowy)

Istnieją bowiem dwie niewole. Podległość militarna i uzależnienie finansowe. Militarna niewola, którą nam zafundował Jaruzelski nie była jednak skuteczna, gdyż jego mocodawców nie było stać na to, by utrzymywać zniewolony naród. Wszystko wskazuje na to, że szatański plan bezpiecznego unicestwienia PZPR, z którym w 1987 roku odsłonił się przede mną Wojciech Garska, przedstawiający się dziś jako specjalista od „Change Management” czyli filozofii zmiany, polegał na tym, by oswobodziwszy rynek otworzyć go na zewnętrzny kapitał, a następnie, posługując się metodami siłowymi, korzystając z posiadanego doświadczenia, opanować spółki nomenklaturowe i przy wsparciu zagranicznych kont, gdzie np. PZPR eksportowało swe zasoby, zająć na nim uprzywilejowaną pozycję.

Zasady były kapitalistyczne. Znaczący ucziwe. W końcu zdecydowanie bardziej cywilizowane niż gilotyna wykuwająca kapitalizm francuski, czy sześciostrzałowy colt, w którego bębenkach rodził się amerykański. Do tej nowej gry mieli prawo przystąpić wszyscy. Nie wszyscy tylko czuli jej reguły. W miarę ich poznawania nie każdy był skłonny na wszystkie przystawać. Michnik załamał się na poziomie Rywina. Zapłacił za to srogą, zarówno finansową jak i mentalną cenę. Faktycznej utraty rządu dusz, a co za tym idzie nakładu. No, ale Michnik ma kolegów, czyli zespół, który go szanuje. Tłum wyznawców, który uznaje w nim szefa. Zdobywanie władzy to zaś po pierwsze gra zespołowa. Po drugie – z kapitanem. Nie można się też obyć bez treningu. Tylko ten trzeci element zaakceptował Zespół Nowej Telewizji Warszawa.

Zespół jak już wspomniałem powstał bardzo ciekawy. Nasze dalsze losy wskazują, że każdy poradził sobie zawodowo. Zajmujący się w stacji sportem oraz muzyką Grześ Kalinowski jest dziś prezydentem, a nawet kandydatem na gwiazdę „Tele Ekranu” w TVN-ie.

Wiele firm medialnych, radio a nawet telewizję publiczną przewędrował pracujący dziś w TVN-Warszawa Janusz Zadura. Dorotę Wellman znają wszyscy widzowie TVP, gdzie w dwójce długo prowadziła programy. Dziś także ma swój cykl w TVN-ie.

Z Polsatu do telewizji publicznej przeszła bardzo długo niedoceniana w NTW Ula Rzepczak, iranistka która przed naszym spotkaniem na Grzybowskiej pracowała krótko w „Tygodniku Solidarność”, a dziś jest korespondentką TVP w Rzymie. Jacek Koskowski i Grzegorz Piekarski pochodzili z rodzin biznesmeńskich i obydwaj wrócili w te światy, wykorzystując w mediach nabytą w młodości wiedzę. Piekarskiego odnajdujemy jako dyrektora zarządzającego „Mastiff Media Polska”, Koskowski jest dziś dyrektorem pionu kanałów tematycznych Polsatu.



Urszula Rzepczak w NTW

Jak widać, nie było w tym zespole opozycjonistów. Doświadczony paryskim piekielkiem Chojecki nie miał dość siły, by wzorem Michnika tworzyć firmę z kolegów. Obawiał się, pewnie słusznie, polskiego sejmikowania. Nie docenił też może szacunku, jakim wielu z nas skłonnych go było obdarzyć. Najdobitniej świadczy o tym fakt, że największy sukces polityczny odniósł Chojecki tworząc Stowarzyszenie Wolnego Słowa, gdzie jego pozycja jest niekwestionowana.

W NTW dobrowolnie zrezygnował z tej szansy. Wycofał się na Wiejską, zdawszy redakcję Komarowi. Ten jednak zajęty pracą i negocjacjami, nie miał czasu na codzienną harówkę z zespołem. Oddał więc życie codzienne stacji w pacht Krzyškowi Wyszyńskiemu. I tak naprawdę w stacji zabrakło pana. Każdy biegł samopas. Wyszyński znał się na wizji i montażu, i na szczęście nie wtrącał się do publicystyki. Nie miał jednak pojęcia o „spieglu” czy planowaniu na makiecie. Pracowaliśmy na żywiol. Bez żadnej metafory: wydaniem rządził ten dziennikarz, który wcześniej wstawał. Newsa robił ten, kto złapał wolnego



Michał Komar, Jan Rulewski, A. T. Kijowski

operatora i kamerę z naładowanymi bateriami. To zresztą pozwoliło mi wybić się na niepodległość, w czym Michał zdecydowanie mnie wspierał.

Właściwie całe moje merytoryczne związki z telewizją związane są z Komarem, który nawet patronował memu debiutowi, gdy w lutym tego samego 1992 roku, jeszcze związany z TVP zaprosił mnie jako redaktora kulturalnego z „Nowego Świata” do programu zatytułowanego „Wokanda Historii”. Teraz też poprosił mnie – jako przedstawiciela redakcji NTV – do dyskusji nad emitowanym w naszej stacji po raz pierwszy filmem Bogusława Sulika na temat generała Jaruzelskiego. To było 13 grudnia 1992 roku. Pamiętam lekką irytację bardziej wizyjnych zdaniem Wyszynskiego kolegów. Jednak ten sygnał wystarczył, by zrozumiano, że w telewizji Komara wdzięk wdziakiem, lecz to co się mówi ma większe znaczenie. Odtąd też nikt nie protestował, gdy zgłaszałem (oczywiście nigdy nie honorowane finansowo, co emocje studziło) kolejne cykle programów: „Rozmowy o sztuce” (3 montowane odcinki), blisko godzinną „Debatę Warszawską” – poprowadziłem 44 programy, 45 odcinków też trwającego godzinę bez mała otwartego studia nazwanego „Kto pyta niech przyjdzie”, wreszcie cykl nadawanych na żywo wywiadów z luminarzami sztuki i polityki. Powstało w tej formule 66 rozmów pod tytułem „A Teraz Konkretnie”, a 108 jeśli doliczyć dalsze programy, które już po odejściu Michała ze stacji negocjował będę wprost z Włochami. W sumie od 9 grudnia 1992 roku do 28 czerwca 1994 zrealizowałem w NTV i w Polsce 1 710 newsów, 21 montowanych teatralnych transmisji i 236 przeważnie półgodzinnych programów publicystycznych.

Ten pierwszy czas wspominam jako morderczy „zasuw” i ciągłą awanturę. Zatrudniony byłem jako newsman, co było podstawą etatu. Nikt oczywiście nie wyznaczał normy. Nie istniało też nic takiego, jak wierszówka. Można więc było zrobić jeden materiał. Ja codziennie nagrywałem przynajmniej trzy felietony. Szybko też okazało się, że lepiej bym nie tykał się sportu, co robiłem jedynie wtedy, gdy Kalinowski zdecydowanie zaspał lub był zaziębiony.

Z kolei innym wyraźnie oporniej szły relacje z wystaw plastycznych, koncertów, spektakli czy nudziarstw samorządowych, w których najlepiej się orientowałem. Tak minęło ponad 400 dni, w trakcie których przygotowałem ponad 700 newsów. Dwa–trzy razy w tygodniu wchodząc na wizję i prowadząc a to otwarte studia, a to nagrywane na żywo debaty.

Nigdy przedtem ani potem nie czułem się tak wolny. Również od pieniędzy. Zarabiałem ich dosyć, by starczyło na życie. O luksusie z dwojgiem dzieci nie mogło być mowy. Emilka była już w drodze, a „rozejrzała się po świecie w trakcie Balcerowicza”, z którym w piątkowy wieczór nagrywałem rozmowę na żywo. Dla mnie wolność była darem niebios. Ale czy tylko dla mnie?

Najbardziej w stacji nienawidzono Piotрка Radzymińskiego. To raczej normalne, gdyż to on rządził finansami. Z niewiadomych nikomu przyczyn, Grauso musiał mieć doń zaufanie i mianował go dyrektorem finansowym firmy. To był pewnie główny punkt niezgody i uzasadnionej urazy Mirka oraz Michała. Oni wyobrażali sobie, że inwestor da im pieniądze do ewentualnego rozliczania. Grauso inwestycję w stację rozumiał po swojemu. Chciał dokładnie wiedzieć, za co płaci. Na straży swoich pieniędzy postawił swojego człowieka. Któryś z Sardyńczyków zawsze był w stacji. O każdym wydatku decydował, zresztą najczęściej bardzo miły, jakiś włoski plenipotena temat Sardyńczycy bronili jak niepodległości każdej kasety. Strzegli całości klawiatur. Poskąpili nam nawet myszek do komputera. Twierdzili, że są drogie, będą psuły się i spadały. Jednak program „Works for Dos” gdy go raz zainstalowałem – sprawdziwszy, że istotnie optymalną wybrałem ofertę – zalegalizowali. Tyle, że trzeba się było nauczyć wszystkich poleceń z klawiatury. W zamian nie wtrącali się nikomu do programu. Nie protestowali też przeciw publicystyce, która była główną kością niezgody między Komarem a Grauso. Właściciel Videoliny uważał, że na początek wystarczą nam same programy informacyjne. Tu jednak ustąpili. Wykonano dekorację. Jednak



Gadające Głowy – 1993



Gadające Głowy – 1993

pracę tę zarówno emitujący jak i prowadzący wykonywać musieli w ramach etatu. Goście czy komentatorzy z zewnątrz też nie dostawali grosza.

Dotyczyło to, jeśli się nie mylę, zarówno redaktora naczelnego czyli Michała, który swoimi „Gadającymi Głowami” wyrabiał sobie coraz wyższą pozycję w rankingach, jak i wszystkich moich talk-showów. Jednie Dorota Wellman była uprzywilejowana. Miała etat jak wszyscy, lecz jej wyłącznym zadaniem było prowadzenie publicystycznego programu. Dużo później dopiero się przyznała, że stała za tym przywilejem „cud boski”, czyli Komar, który zatrudnił ją poza redakcją dziennika, gdy mu wyznała, iż jest w błogosławnym stanie. Dziecko tak dyskretnie donosiła na wizji, że do siódmego miesiąca nikt się nie zorientował. Z okazji zaś urodzin Kuby nagrała „Fotele” na zapas i nie opuściła bodaj ani jednego programu.



*Dorota Wellman
w programie ATK –
– „TV w Pokoju”*

Ja też rodziłem – acz nie osobiście. Miałem przy pasku pagera na numerki i było wiadomo, że gdy się wyświetli jedynka, to znaczy, że matka Emilki wybiera się do szpitala. Gdy pager zadzwonił, skończyłem akurat komentarze i czekałem pod kabiną by je nagrać. Wrzasnąłem – O rany, rodzi! Usłyszał to Eryk

Dankwa, najwspanialszy nasz czarnoskóry montażysta. Przerwał pracę w pół sklejki, wyrzucił jakiegoś niedojdę. W minutę uruchomił studio, na które od dłuższego czasu czekałem. Usłyszałem krótkie – Wskakuj, AteK! – bez moich trzech newsów nie byłoby jednej czwartej dziennika. W pięć minut nagrałem bez zająknięcia trzy półtoraminutowe, gotowe już komentarze. W kwadrans później (okrzykiem „rodzi!” pozbywszy się nawet policji, która próbowała ucałować mnie na Placu Bankowym) wiozłem przyszlą mamę Emilki po jakiejś wojskowej

protekcji do szpitala na Szaserów. Może mniej znanej, acz bardziej komfortowej warszawskiej kliniki położniczej, od tej, w której urodzeniem szczyił się też, wcinając w jednej z naszych reklam schaboszczaka, hebanowy Eryk. Patrząc ze wstrętem na banany z dumą oświadczał, że się nie urodził pod żadną palmą, lecz w Warszawie na samej Karowej.

Słowem, jakoś tak naturalnie zaczynaliśmy wychodzić z prowincjonalnego nadwiślańskiego opłotka. Bez wielkich słów w praktyce spełniały się wartości równości, niepodległości, braterstwa, a nade wszystko swobody. Kiedy się nie miało szaleńczych wymagań, sprawy drobne szło z Włochami i ich polskimi reprezentantami załatwić. Jako że miałem już pewne nabyte w Sejmiku doświadczenie, nauczyłem się rozumieć i szanować ludzi „księgowych”. Toteż w rozmaitych sprawach technicznych z pogardzanym przez kierownictwo Radzymińskim dogadywałem się bez problemu. Wykształcony w Japonii Piotr Radzymiński, wbrew negatywnej aurze jaka go otaczała, naprawdę znalazł się na swoim produkcyjnym fachu.

Pamiętam jego spotkanie ze zbuntowaną z jakiegoś powodu Redakcją. Zespół jak każdy, chciał wyższych zarobków, lepszych warunków pracy i prawa do robienia dodatkowych, oczywiście płatnych programów. Mój przykład był naturalnie Włochom na rękę. W gruncie rzeczy uprawiałem dumping. Co zresztą jeszcze nie raz w przyszłości będzie moją główną wadą. Na całe jednak zawodowe i produkcyjne późniejsze życie zapamiętam tę rozmowę Piotra z zespołem. Jego pytanie:

– Wiecie co produkuje telewizja komercyjna?

– Przecież wiadomo, program! — *odpowiedział* Piekarski.

– Nie byle jaki, tylko wartościowy, który się dobrze sprzedaje. — dorzucił Koskowski.

– Otóż nie. *Wy produkujecie OGLĄDALNOŚĆ*. Produkujecie taką sytuację, w której przed odbiornikiem siądzie tak dużo widzów, by reklamodawca zapłacił maksymalną cenę za szansę dotarcia do wielu osób. *Cała filozofia!*

Podniósł się krzyk i lament i zębów zgrzytanie. A Radzymiński na to: — Na wszystko przyjdzie czas. Wiadomo, że o każdej porze, aby utrzymać widzów, trzeba emitować co innego. W telewizji komercyjnej, jeśli nie chce się stracić ambitnego widza, będzie czas na wszystkie programy, ale za nie, w szczególności na dorobku, nikt nie zapłaci. Tu dostajecie i tak skarb ogromny. Wolny czas antenowy.

— Na razie — tu trzydziestoparoletni generał sardyńskiego Cesarza z jakąś niezwykłą u ekonomisty refleksją popatrzył na skupioną przed nim młodzież,

a może i na swoje przeszłe, a także przyszłe życie. — Na razie korzystajcie z wolności. Nikt jeszcze takiej jak wy nie miał, i nie wiadomo jak długo będzie trwała.

Święte słowa. Kimkolwiek jest czy był późniejszy pracownik i producent Polnatu, dziś szef Fremantle Polska i producent wykonawczy takich seriali jak „Brzydula” czy „Na Wspólnej”, Piotr znał swoje miejsce i rozumiał swoją rolę. Podobnie jak większość osób w tym nie do końca świadomym swej niezwykłości zespole. Z tym, że każdy rozumiał świat przez siebie. Michał Komar jest mistrzem wdzięku i intelektualnej ironii przed kamerami. Krzysztof Wyszyński wie wszystko o kadrze i montażu. Od Piotra Radzywińskiego też warto się uczyć – filozofii zmiany.

VIII

I BONI NAS NIE OBRONI

Tysiąc bez mała pięknych, swobodnych dni minęło mi jak jeden. Wierzyłem w ludzi. Kochałem swój kraj. Dwa i pół roku żyłem w przekonaniu, że oto na białym koniu odbijamy wolność.

„A gdy konia już z chaty wywiedli”, gdy nadchodzi już „ksiądz z Panem Bogiem”, gdy przychodziło brnąć pieszo, błąkać się od podwórka do podwórka z teatralną trupą, gonić po Europie w poszukiwaniu czarodziejskich Ogrodów – do dziś nie jestem w stanie uwierzyć, żeśmy się pomylili, że jednak po raz kolejny zmarnowaliśmy, straciliśmy i nadal tracimy szansę: tę małą, jaką była lokalna telewizja i tę wielką, którą zdawała się odzyskiwana godność przez wieki ciemnego narodu.

Jakie siły sprawiły, że same opowiadam dziś klęski? Jakiej mocy potrzeba, by przegrane bitwy odmienić w zwycięstwo? Minionego czasu nic nie powróci, choć niemal wszyscy aktorzy mojej telewizyjnej sceny, większość z nich przynajmniej jest jeszcze w grze i czasem ze zdumieniem odkrywam, że w kolekcji próżności ciągle nie brakuje mi żadnej fotografii z przyszłymi premierami i niezgłoszonymi jeszcze kandydatami na prezydentów Najjaśniejszej RP.

Skoro zatem tak było, jeśli mimo oporu materii tyle publicznych osób indywidualnego udzielało naszej inicjatywie wsparcia – może nie wszystko stracone? Może te moje „zadumy” skoro jeszcze nie na paryskim bruku pisane, dziś gdy nad naszą niepodległością nowe kłębią się chmury, posłużą jakiemuś twórczemu działaniu? Jedenastego grudnia 1981 w sali Teatru Dramatycznego Senior mówił tak: Stan dzisiejszy polskich obyczajów i polskiego myślenia przypomina czasy saskie. Literatura musi zdobyć się na okrucieństwo takie, do jakiego zdolni byli pisarze, którzy wówczas postawili narodowi zwierciadło przed oczy. I zdolali go tym wizerunkiem przerazić.[...] model reformatorski, model literatury zygmunto-wskiej i stanisławowskiej czeka dziś na spełnienie w literaturze współczesnej, która

powinna znaleźć w sobie siłę Modrzewskiego i Skargi i Konarskiego, Reja i Kito-wicza aby poddać krytyce nie tylko sposób rządzenia Polakami lecz sposób życia i myślenia Polaków.

W 1992 roku nie mieliśmy problemu z władzą. Co najwyżej sami ze sobą. U steru państwa był rząd Suchockiej. Nie była to już wprawdzie działaczka opo-zycji, jak Tadeusz Mazowiecki, Jan Krzysztof Bielecki czy Jan Olszewski, ale mimo stażu w Stronnictwie Demokratycznym o agenturalność posądzać ją było nie sposób. Wkrótce zresztą po ujawnieniu kolejnych list Macierewicza, Milcza-nowskiego, Wildsteina, wreszcie Raportu WSI okaże się, że ci, którzy prezento-wali się jako arbitrzy elegancji politycznej, jak np. Andrzej Szczypiorski czy Dra-wicz, mieli życiorysy bardziej od niejednego komucha delikatnie mówiąc – skom-plikowane.

Tak dziś powiem, choć wypowiadam to z podobną nadzieją na „błądzenie” jak wtedy, gdy głoszę kasandryczne wizje dla naszej niepodległości. Tak dziś mó-wię, bo coraz więcej wiemy, a mnie (czemu już parokroć dawałem wyraz) bardziej od Wildsteina do autentyczności tych wszystkich „kwitów” przekonał dopiero Michał Boni i to w piętnaście lat później.



A. T. Kijowski i Michał Boni 18.VI.1993

I nie dlatego, że zbłądził czy się przestraszył. To można było wybaczyć. Lecz dlatego, że nie poczuł skruchy. Piętnaście lat kłamał, a gdy się już nie dało dla kontynuacji kariery, dla możliwości wyprzedania resztki majątku polskich szpi-tali, stoczni i mediów publicznych – w rządzie zdrady narodowej i korupcji już ostatecznie po dymisji szefa CBA przez premiera Tuska zalegalizowanym nie za-wahał się uwiarygodnić wszystkich jakże nieestetycznych zdawało się wtedy ge-stów Macierewicza, historycznych, jak sądziłem, zawołań Jana Olszewskiego.

Rozmawiałem z Bonim w telewizji jako jednym z pierwszych. Kiedy się pierwszy raz na niego natknąłem? Chyba dopiero na polonistyce, gdzie studiował



w jednej z ościennych grup. Razem chodziliśmy do magister Witort na łącę. Michał do klasyki miał spory talent i pamiętam, że chętnie pomagał mi w tłumaczeniach. Na początku wszyscy żyliśmy teatrem. Michał oglądał nasz studencki spektakl pt. „Meteor”, a potem całe towarzystwo wciągnęło nas (to znaczy Andrzeja Urbańskiego i mnie) do realizacji *Bram rajy* Andrzejewskiego. Próby odbywały się w nieotynkowanym budynku ekonomii na Długiej albo w akademiku na Lewartowskiego. Urbański szybko się wycofał, do premiery i tak nie doszło. Za to dyskusje były potężne.

Boni szybko otrzymał propozycję asystentury, co powstrzymało go przed podpisaniem listu w sprawie Pyjasa. Podpis na nim był swoistym testem odwagi i opowiedzenia się po stronie opozycji. W opozycję byłem już wówczas zaangażowany współpracując z KOR-em. Wciągałem osoby godne zaufania. Choćby Marka Karpińskiego, który te podpisy zbierał. Asystentura synowi dysydenta marzącemu o reżyserii też nie groziła – list więc podpisałbym bez wahania. Tylko że się jakoś Karpiński po mój podpis nie zgłosił. Nie wiem czemu. Tym trudniej jednak potępić mi Miśka, że wówczas odmówił. Nie poszedł przecież tak ostro, jak późniejszy emigrant i moralny autorytet Krzysztof Rutkowski, autor Paryskich Pasaży. „Szefer”, zwany tak ze względu na fakt, iż przewodniczył Kołu Polonistów, stał się wszak w 1975 roku jednym z ostatnich PZPR-owskich nabytków na tym wydziale. Ale kto dziś takie niuanse pamięta.

Miałem (ba, do dziś mam w głębi duszy) wiele dla „Miśka” sympatii. Rozmowę prowadziliśmy na pan. Michał w przeciągu dwóch lat wystrzelił w górę w sposób trudny do pojęcia. A przecież początkowo przedstawiał się jako teatrolog. Gdy zmienił specjalizację na krytycznoliteracką, ofiarował mi w spadku pierwszy tom antologii tekstów teatrologicznych Janusza Deglera, którego mi brakowało. Pamiętam debiut Boniego w literaturze. II rok studiów, 1975.

Artykuł nosił tytuł Skąd ten szum o boom. Dotyczył literatury iberoamerykańskiej i pisany był z perspektywy zdecydowanie już socjologicznej. Michał debiutował jako pierwszy na roku i to zauważalnie. Artur Międzyzrzecki zapytał mnie natychmiast, kto to jest ten Boni – czuło się dobre pióro.

Kiedy więc udało mi się jakoś zręcznie podejść Wyszyńskiego i zaproponować półgodzinne „A Teraz Konkretnie”: zanim się zorientował, jak mam zamiar własne inicjały spożytkować. W dążeniu do niepostrzeżonego przebiccia się z lokalnego na poziom krajowy, w pierwszym odruchu zwróciłem się do Boniego.

Rozmawiałem niemal wyłącznie o sprawach zatrudnienia. Był już po epizodzie zaskakującego awansu na szefa Regionu Mazowsze, gdzie zastąpił legendarnego Zbyszka Bujaka, potem został ministrem pracy w rządzie Bieleckiego, teraz wiceministrem przy po raz drugi kierującym tym resortem Jacku Kuroniu. Wszystko zdawało się bajką. Wolna telewizja, przywoici ludzie i oczywiście wolność krytyki, w ramach której ja dopuszczałem „oszołomów” pytających wprost Drawicza czy Szczypiorskiego, Boniego albo Najdera o tajemnice ich agenturalnych powiązań, a ci bez mrugnięcia powieką zaprzeczali, odwzajemniając się w zamian zapewnieniem, że są za wolnością prasy, mediów, szanują słuchaczy i jak powiedział Michał – nie mógłby odmówić mi udziału w programie, skoro tak wielu wyborców go ogląda.

Obywaliśmy się bez dekoracji. Czarne tło niczym w CNN. Początkowo w tym „żywcu” wspomagała mnie Ula Rzepczak w centrali i Grzegorz Piekarski siadając koło mnie na wizji. Odbierali telefony od słuchaczy. Szybko jednak zaczęły się schody, gdyż Włosi zdecydowanie odmówili jakiegokolwiek dodatkowej płacy. Uważali, że jak dają studio, obsługę techniczną i czas antenowy – to jest to naprawdę wiele, a o resztę, czyli sponsora, musimy zadbać sami.

Obrotna Ula wspomagana przez oddanego męża znakomicie sobie z tym poradziła, tworząc sponsorowany przez wiele firm kobieco-live stylowy program „Bez maski”. Początkowo z jej pomocą, potem już sami zdobywaliśmy punkt po punkcie: meble do studia, dekoracje, z czasem nawet charakteryzatorów. Nie było tylko środków dodatkowych na opłacenie pomocników. Do stacji jednak dołączył właśnie Jarek Kret, którego przelotnie poznałem jeszcze gdy kręcił się wokół dodatku niedzielnego w „Nowym Świecie”.

Jarek z wykształcenia jest egiptologiem. Jego pasją są podróże, dla których sprzedaje duszę wraz z przyległościami. Ale nade wszystko kocha występować na wizji. I z wzajemnością. Pewnie znacznie bardziej ode mnie „lubi” go kamera.



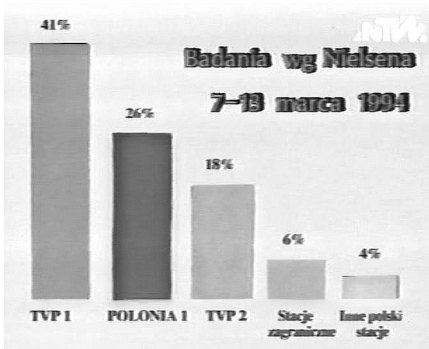
A. T. Kijowski i Jarosław Kret – grudzień 1994

No i jest Jarek nade wszystko dobrym kolegą. Zgodziliśmy się na współpracę z nadzieją, że to się w perspektywie opłaci. Jarek nagrywał mi zapowiedzi. W trakcie rozmów asystował odbierając na wizji telefony. Czasem dodając własne, często przekazując w imieniu widzów pytania. Pomagał mi także wraz z moją ówczesną żoną przy organizacji i obsłudze widowni w trakcie otwartego studia z udziałem publiczności.

Stacja przecież była cały czas zagrożona. Minęły trzy lata wolności. Kagańcowe ustawy nie funkcjonowały, jednak na rynku telewizyjnym formalnie nic się nie zmieniło. Panował stan zawieszenia no i... nie było pieniędzy. Przynajmniej w kręgach, które uznawały siebie za „przyzwoite”. Gdy 6 grudnia 1992 roku ruszyła nasza stacja, *W pierwszym dniu emisji "Nowej Telewizji Warszawa" przez piracką stację przewinęło się tak dużo znanych postaci, że telewizji państwowej trudno byłoby tyle naraz zgromadzić* – komentowała „Gazeta Wyborcza”. Stację uruchamiali Mirek Chojecki z Gabrielem Meretikiem i Michałem Komarem. Jednak Meretik zrezygnował jeszcze zanim wyemitowaliśmy pierwszy program. *Pokłóciłem się z Rossettim o reklamy* – wyznał Gazecie Wyborczej. – *Mówiłem mu, że nie zgadzam się na reklamowanie w NTW alkoholu i tytoniu, on – że mają doświadczenie z Sardynii, płacą mało, symboliczne grzywny i reklamują dalej. Widziałem też, jak skromne środki chce przeznaczyć na telewizję, i uznałem, że nie interesuje mnie „telewizja-paźelnia” odtwarzająca cudze programy.*

W styczniu 1993 wycofał się także Chojecki. Zorientowawszy się, że choć piratów się nie ściga, jednak mają być – jak stwierdził kiedyś Juliusz Braun – w procesie koncesyjnym gorzej traktowani, postanowił pozostać legalistą. Było to logiczne. Tu mieliśmy się uczyć, a potem albo otrzymać koncesję z Włochami, bądź też abordować się na legalną Mirkową fregatę.

A uczyć było się czego. Funkcjonował mit, że na uruchomienie telewizji potrzebne są miliony, sięgające miliarda dolarów do momentu zrównoważenia kosztów. Takie bajki opowiadali zachodni biznesmeni. Dość bezkrytycznie powtarzała je prasa. Włosi jednak pokazali nam, jak to się faktycznie robi. W marcu 1993



roku wszystkie stacje lokalne finansowane przez Grauso otrzymały wspólne logo Polonii 1. Zostały też zjednoczone finansowo przez agencję reklamową Publi Polska. W siedzibie na Marszałkowskiej pojawił się zaimportowany z Włoch „mistrz od ramówki” – Renato Guzzo. Program wspólny wypełnił nikomu jeszcze w Polsce nie znany sensacyjny „McGyver”, telenowe-

la „Maria”, ostre japońskie kreskówki dla dzieci. Popularność stacji rosła z dnia na dzień. Wkrótce oglądalność sięgnie 26% przekraczając w najlepszych godzinach 8 milionów widzów. Technika była genialnie prosta. Grauso przetrzynał to w Italii. Niepotrzebna mu była koncesja ogólnopolska. Mając udziały w kilkunastu stacjach lokalnych, wspólny blok programowy wypełniał nagraniami dystrybuowanymi na kasetach. W głównej siedzibie Polonii 1 czyli dawnej redakcji kupionego przez Grauso „Życia Warszawy” na Marszałkowskiej przy samym placu Unii Lubelskiej zainstalowano dużą maszynę kopiującą. Na niej z profesjonalnej kasy Beta na równie profesjonalne choć wychodzące już z użycia kasy U-matic, powielano nadsyłane z Włoch filmy, kupowane seriale czy nagrywane w pierw przez Michała Komara, a potem przeze mnie publicystyczne programy. Dwanaście kopii brali w swe ręce kurierzy firmy DHL i rozwozili po Polsce, gdzie z dokładnością zegarka emitenta, ale zasadniczo o tej samej porze, wyświetlano identyczną zawartość. To pozwalało bez koncesji ogólnokrajowej zawierać kontrakty na emisje reklam w całej Polsce. Zdaniem Grauso, którego będę na ten temat 45 minut na wizji przepytawał, to jedyna szansa funkcjonowania stacji w małym ośrodku, gdzie z lokalnych reklam telewizja nigdy się nie utrzyma

Strasznie narzekano na tę jakość. Prasa i dziennikarze zachłystywali się krytyką włoskiej taniocy. Wyszyński o mało nie dostał zawału, gdy się dowiedział, że newsy mamy montować na U-maticach. Włosi zaś patrzyli nań jak na wariata.

– Oczywiście – mówił Rosetti. – Można jeździć samochodem z automatyczną skrzynią biegów, ale mechaniczna też ma swoje zalety. Ma! Świadczę własnym przykładem. Gdy w nawale pracy zapragnąłem uniezależnić się od leniwych pobratymców, montować nauczył mnie Eryk Dankwa na tychże

U-maticach. Fakt, ślizgały się o ramkę, czyli 1/24 sekundy. Trzeba się było wprawić we wcześniejszym wciskaniu klawisza. Dzień treningu... A oszczędność? Na jednej maszynie rzędu 3–4 tysięcy dolarów. Na stu maszynach – przynajmniej pół miliona złotych. Uwielbiam Włochów, mnóstwo się od nich nauczyłem. Mimo wszystko w jedno absolutnie nie wierzę. W to, że zainwestowali w Polsce 40 milionów dolarów. Tu rozliczono ich prawidłowo. Jak wydali na wszystkie telewizje dwa miliony, to dużo. I raczej nie stracili na interesie. Z Grauso, nawet gdy podle i oszukańczo go stąd wyrzucano, emanował pełen spokój. I chwala mu za to.

Jakie bowiem znaczenie może mieć liczenie emisyjnych „dropów” czyli skaz na najwspanialszych nagraniach, pieczołowicie wyłapywanych przez kontrolę techniczną w TV publicznej na Woronicza, gdy wypieszczone nagrania i tak na ekranach 90% telewizorów pojawiają się pełne „śniegu” i zakłóceń?! Taka jakość ma znaczenie przy filmach, przy produkcjach, które mają szanse być emitowane w studiach czy dziś w systemach cyfrowych. Przecież nie wtedy, gdy gra się na żywo ulicznego „newsa” czy nawet literacką debatę!

Co dobry technik potrafi, dowiedziałem się zresztą po roku, gdy już nagrywane przezemnienażywow Warszawierozmowybyływ tygodniuremitowanewałymkraju. 18czerwca 1994rokuzTadeuszemMazowieckim rozmawiałem głównie osytuacji w Bośni i Hercegowinie, gdzie w latach 1992–1995 pełnił funkcję specjalnego wysłannika ONZ-u. Mówiliśmy też o nadchodzących wyborach samorządowych no i o telewizji.

– Czy zamykanie takich stacji jak nasza, wolnych komercyjnych, uważa pan za właściwe, czy ich kontrolowanie uważa pan za dopuszczalne? – spytałem

– No nie, gdybym uważał zamykanie tej stacji za właściwe to bym tu nie był. Myślę, mam nadzieję, że nikt nie myśli o zamykaniu tej stacji.

To było powiedziane już w rok po wejściu w życie ustawy. W pół roku po tym, jak Krajowa Rada nieoczekiwanie odmieniła system przyznawania koncesji – miast wpieryw rozdawać lokalne, najpieryw przekazała wszystkie nadajniki



dla sieci ogólnopolskiej Polsatowi. To było w miesiąc po ostatecznej odmowie koncesji dla Nowej Telewizji Warszawa, w której pracowałem i na tydzień przed spotkaniem z urzędującym prezydentem RP w Belwederze! Skoro więc i Mazowiecki i jego ówczesny polityczny konkurent, Lech Wałęsa nas popierali, kto sprawił, że już za chwilę nas nie było?

Na razie jednak byliśmy i przygody mieliśmy jak na prawdziwych korsarzy przystało. Opowiadałem już, że program taki jak z Mazowieckim, nagrywany na żywo w Warszawie, był rejestrowany na kasecie Beta (z całej sieci jedyna NTW miała taki rekorder). Następnie, lekko czasem przeze mnie podmontowywany, trafiał na Marszałkowską, gdzie był powielany w maszynie kopiującej. Nie wspominałem jednak, że w stacji panował ogólny, polski psychiczny dyskomfort. Bodaj czy nie byłem jedynym zadowolonym. Nie płacono mi wprawdzie za dodatkowe programy, lecz nagradzała mi to satysfakcja sukcesu. Takiej satysfakcji nie dzielili ze mną ani asystenci, ani operatorzy czy realizatorzy, którzy opłacani byli etatowo. Pracując zaś ze mną w godzinach według grafiku jaki im opracowywałem, bardzo byli niezadowoleni, że poza przygotowaniem „Wiadomości” muszą jeszcze coś robić zamiast popijać herbatę. Szefa nie było. Pojęcie „zakresu obowiązków” nie istniało. Włosi zakładali, że każdy kto chce pracować, robi to, bo szanuje siebie i „operę” – czyli dzieło...

Musiałem więc pamiętać by studio otwarto, meble wniesiono. Zdarzyło się nawet, że na pięć minut przed żywym nagraniem musiałem wypaść ze stacji, wskoczyć w malucha i gnać do pobliskiego sklepu elektrycznego by kupić baterie, których zabrakło w studyjnym mikrofonie. A jak bym nie dostał? No cóż, najwyżej nie odbyłoby się nagranie – wypalił któryś z tych zbuntowanych młodzieńców.

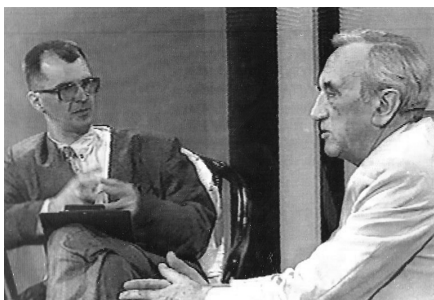
Tym razem na początku wszystko grało. Program z Mazowieckim przeszedł bez wydarzeń. Usłyszałem uspokajające deklaracje i pełen „sily spokoju” wkroczyłem po nagraniu do realizacji po kasetę. Chłopcy byli serdecznie rozbawieni. Jeden tylko siedział z lekka osowiały.

– Jak tam, AteK – zagadał Wojtek Walkiewicz – Masz zdaje się w planie na jutro powtórkę Mazowieckiego w Polonii.

– Przecież wiadomo – stwierdziłem. – Gdzie jest kasetą?

– No właśnie i w gazetach już zapowiedziano – ironizował Artur Twardo.

– A przecież wiadomo, że prasa kłamie – parsknął któryś.



Beta czy VHS – dość że jest (Tadeusz Mazowiecki w ATK – 18. VI.1994)

– Co się stało? – spytałem, blednąc.

– Ka-kas-kaseta mi nie zapętlila – odezwał się w końcu debiutujący pomocnik emisjonisty.

Nogi się pode mną ugięły.

– Spokojnie ATeK – odezwał się wreszcie wyzbyty czysto polskiej schadenfreude Eryk Dankwa. – Trzy minuty masz w plecy, będziesz musiał przyciąć początek.

– Jak mam to zrobić? – myślałem głośno. – Bez powitania, bez prezentacji.

– Dobra, mówię. – Właściwie prezentację to mógłbym dograć jeszcze raz.

Do tego mi nie jest potrzebny gość w studio.

– Co, chcesz nas tu jeszcze godzinę trzymać? – poderwali się „solidarni” operatorzy. – Mowy nie ma. Teraz jest przerwa i... już ich nie było. Zostaliśmy z Erykiem.

– A „szpiegi”? – pytam. No tak, szpieg (czyli aktualny rejestrator całego programu) był, lecz nagrywany na VHS z „ekonomiczną prędkością” miał jakość zblakłej fotografii.

– Ale, ale – mówię nagle do Eryka. – Przecież na moim VHS w domu powinienem mieć zaprogramowane nagranie w normalnym tempie, zrobione na sprzęcie też dość przyzwoitym. Taki bowiem miałem odruch, dzięki któremu dziś mogę po latach porządkować wspomnienia. Rejestrowałem wszystko. Mam zachowane z tamtych czasów ponad 220 godzin nagrań. Pognałem na Długą. Tu wszystko grało. Przywiozłem VHS, Eryk siadł do maszyny i... pokazał co potrafi. Czyścił, balansował, rastrował, nasyczał. Nagle okazało się, że pogardzane włoskie maszyny mają cały szereg funkcji, których nikt poza Erykiem (mającym filmowe doświadczenie) nie używał. Po godzinie skleił tak trzy minuty

amatorskiego nagrania domowego z profesjonalną bęą, żona odbiornik uniższej klasy prawie nic nie było widać.

A miało być tak pięknie. Byliśmy tacy solidarni, zjednoczeni i wszyscy nas popierali. Czemu jednak pracować szło tylko z przejętymi polską szansą Włochami i z urodzonym wprawdzie na Karowej, lecz czarnoskórym Polakiem?

IX

Z MATKĄ TERESĄ I KSIĘCIEM KAROLEM
– dziel i rządź!

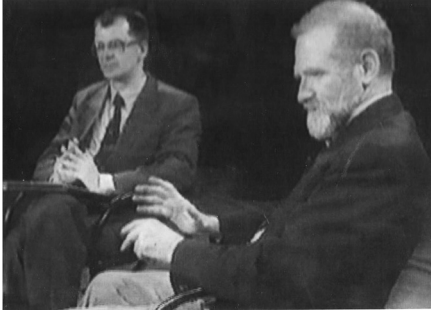
„A Teraz Konkretnie” zyskiwało renomę. Bez oporów zaproszenia przyjmowali aktualnie sprawujący urząd ministrowie jak Boni, wojewodowie jak Bohdan Jastrzębski czy bohaterowie zasłużeni w budowaniu tego, co lubilem określać mianem „młodej demokracji”. Odwiedzili mnie wszyscy nasi herosi przemian: Zbigniew Bujak i Leszek Balcerowicz czy Bronisław Geremek, a także „nasi” premierzy od Jana Krzysztofa Bieleckiego, poprzez Jana Olszewskiego, Hannę Suchocką na wspomnianym Tadeuszu Mazowieckim nie porzestając.



A. T. Kijowski z Bohdanem Jastrzębskim

Nie zauważyłem jak minął rok. Codziennie trzy newsy, trzy razy w tygodniu debata. Zasadniczo wszyscy mieli robić wszystko. Nie było więc materiału, jakiego bym nie robił. I – miasto, i ekonomia, i kultura, nawet sport, lecz jak już wspominałem, tylko w ostateczności. „Wiadomości Warszawskie” podzielone były na takie cztery średnio pięciominutowe bloki przedzielone reklamami. Gdy ustawa zabroniła wkładania reklam z takim natężeniem, części programu dzieliłiśmy znakomitymi muzycznymi wideoklipami.

No, a poza tym nikt nie bronił organizować debat. Początkowo to były „Rozmowy o Sztuce” i „Debata Warszawska”, odwiedzana przez artystów,



A. T. Kijowski z Bronisławem Geremekiem



*A. T. Kijowski z Janem Olszewskim
– A Teraz Konkretnie*

urzędników, architektów. Ludzi tak związanych z Warszawą, jak choćby Władysław Szpilman, z którym nie znając jego życiorysu Pianisty, przez lata jadałem obiady w Związku Literatów. Nawet z jego synem Andrzejem dziś stomatologiem gdzieś w Niemczech, zbieraliśmy się w latach siedemdziesiątych do wspólnego pisania piosenek. Miałem podpisywać się Dichter, żeby się ze Szpilmanem komponowało. Odwiedziłem wtedy dom pana Władysława. Zrobił na mnie wrażenie fortepian i dedykacja Rubinsteina na fotografii. Potem od ojca usłyszałem, że to autor stalinowskich szlagierów i koniunkturalista, ale także przyzwoity kameralista grający z zespołem „Kwintet Warszawski”.



*A. T. Kijowski z Władysławem Szpilmanem
(„Pianistą”) - w Nowej Telewizji Warszawa*

Rozmawiałem ze wszystkimi i o wszystkim: o Warszawskiej Operze Kameralnej z Ryszardem Perytem, a o łażeniu po górach ze świetnym

alpinistą i znakomitym historykiem, dziś członkiem Kolegium IPN-u – Andrzejem Paczkowskim.



A. T. Kijowski z Ryszardem Perytem

Otwarte studio poświęcone było a to miłośnikom zwierząt domowych, a to homeopatom, rowerzystom, strażakom czy tajemnicom Pałacu Kultury. Kilkadziesiąt powstało takich rozmów zatytułowanych „Kto pyta niech przyjdzie”, początkowo stricte lokalnych, z czasem stających się fragmentem ogólnopolskiego magazynu emitowanego w całej sieci Polonia 1, zatytułowanego „Telewizja w Pokoju”.

Z dnia na dzień jednak coraz mniej osób zostawało na pokładzie. Koncesji wciąż nie było. Trudno było marzyć o stabilizacji. Koskowski odszedł do Canal Plus, gdy ten otrzymał koncesję na (sic!) – program kodowany. Co lepsi operatorzy teleportowali się do telewizji publicznej i Polsatu.



A. T. Kijowski z Andrzejem Paczkowskim

Przypomnijmy kalendarium wydarzeń:

Kiedy 6 grudnia 1992 wystartowaliśmy, Gabiego Meretika już nie było z nami, w styczniu 1993 odszedł też Mirek Chojecki. Został Michał Komar, który w marcu 1993 zaakceptuje włoski pomysł spinającej stacje Polonii 1 i wkroczy do tego programu ze swoimi „Gadającymi Głowami”. Jest nieźle. Dwudziestego maja pojawił się nawet w stacji zaproszony przez Michała Adam Michnik. To znaczy, że wszystko jeszcze zmierzało w dobrym kierunku.

Ja szalałem z newsami. Właśnie tego dnia drwiłem z Księcia Karola spóźniającego się do Centrum Zdrowia Dziecka z żenująco skromnym darem.

Punktualność jest grzecznością królów. Ale książąt nie zawsze to dotyczy. Do Centrum Zdrowia Dziecka jego Królewska Wysokość księżę Walii raczył się spóźnić 20 minut. Wszystko dlatego, że przedłużyło się spotkanie z mieszkańcami Domu Sue Rader z Konstancina, które odbywało się w księżęcej rezydencji.

Personel szpitala czekał i czekał na „królewski” dar. Wagę do ważenia niemowląt, których przynajmniej pięć winno znajdować się na każdym z dziesięciu pięter. I znajduje. Ich wartość nie przekracza przecież trzynastu milionów (1 300 PLN) złotych. Ale od przybytku głowa nie boli, a darowanemu koniowi itd. Gdyby jednak ktoś naprawdę chciał zrobić przyjemność dyrektorowi Centrum, powinien kupić lub wpłacić na Gammę kamerę do badań izotopowych, na której brak narzeka dyrektor Centrum Zdrowia Dziecka. Ale to już około 10 mld złotych (1 mln PLN) – O ty Karol! – podsumowałem relację.

Jako jedyna kamera w mieście miałem okazję spotkać się z Matką Teresą z Kalkuty odwiedzającą warszawskie więzienie. O wolnej telewizji dane mi było rozmawiać z byłym premierem Francji Raymondem Barre. Zapytany o stosunek do wolności mediów, powalił mnie trafnością i głębią zaimprovizowanej kilkunastosekundowej wypowiedzi:



– Jestem za wolnością prasy i swobodą informacji – usłyszałem. – Sądzę, że nie ma nic niebezpieczniejszego od budowania mechanizmów jakiegokolwiek kontroli czy cenzury. Osobiście jestem jednak najgłębiej przekonany, że środki przekazu są dziś często zdominowane przez aktualne wydarzenia. Może to wywierać negatywny wpływ na kształtowanie opinii społecznej. Trzeba to z całą otwartością powiedzieć: coraz bardziej istotne jest dziś, by środki przekazu zdawały sobie sprawę z roli, jaką pełnią w społeczeństwie informacji.

W słowie informacja nie jest bowiem zawarty jedynie przedrostek dotyczący rozprzestrzeniania nowości, lecz in-formacja zawiera także rdzeń, którym jest

formacja, czyli kształtowanie. To znaczy kształt, sposób w jaki pojmuje się dany problem. Bez zniekształceń, bez dezinformacji.

Będę używał tej wypowiedzi już wkrótce, gdy zacznie się włoska walka o wolność mediów Polski. Pierwszego lipca 1993 wejdzie bowiem w życie Ustawa o KRRiT. Wkrótce rozpocznie się proces koncesyjny. Komar „brzęczy” w Polonii 1, ja „zawracam” i „mieszam w NTW”. Włosi robią co w ich mocy, by spełnić oczekiwania koncesjonodawców. Toteż gdy tylko pokażę im podwóreczko Lapidarium, z radością rozpoczną stamtąd teatralne transmisje. Oczywiście nikomu za nic nie płacąc, traktując spektakl niczym mecz piłkarski. Angelo Palla przyjeżdżał małym transmisyjnym wozem, zabierał trzech, czasem nawet czterech operatorów, kierowca pełnił zarazem funkcję elektryka. Marco Ghia, szef ekipy technicznej zajmował się akustyką. Angelo – na żywo realizował. Realizował tzn. wybierał, z której kamery obraz jest przekazywany na wizję, dobierał efekty montażowe, operował dźwiękiem. Efekt był taki jakby przedstawienie grano „na żywo”.

Sytuacja była komfortowa. Wtorkowy spektakl emitowany miał być dopiero w niedzielę. Miałem czas przyjść na Marszałkowską, usiąść z Massimo o akuratnym nazwisku Demontis i podczyścić, podmontować, wyciąć kixsy kamery, dorobić tyłówkę i początkowe napisy. I tak – stawał się teatr, o którym się naszym specjalistom od teatru telewizji nie śniło. Teatr prosty, niedrogi. Realizacje jak moje spektakle – dla ludzi, nie dla cmokierów.

Grauso naprawdę bardzo chciał tu działać. W ostatnim okresie pobytu w Polsce porozumiał się z Andrzejem Żuławskim, otworzył firmę Aion Polonia Film, przeznaczając na produkcję filmową na początek milion dolarów. Nie są to może zbyt wielkie pieniądze, ale Polsat ani TVN przecież przez 15 lat nie wyprodukowały ani jednego filmu artystycznego – jedynie kilka polskich seriali.

Przyszedł wrzesień. Jako newsmen udałem się na konferencję do Krajowej Rady, która pod przewodnictwem Marka Markiewicza mieściła się jeszcze w kancelarii prezydenta na Wiejskiej. Mówiono o tym, co będzie z telewizjami. Kiedy doczekamy się koncesji. Kto może, a komu indoktrynować nie wolno.

Prezes Rady Marek Markiewicz opowiedział o wizycie w Moskwie i zapowiadanych odwiedzinach we Włoszech. Chodziło o to, by silne nadajniki wykorzystywane w Warszawie przez Rosjan, a w Krakowie przez Włochów mogły być użyte przez lokalne telewizje publiczne. Czyli, żeby warszawski WOT używał moskiewskiego nadajnika. Chodziło również o to, by w zamian za emisję programu rosyjskiego Ostankino na innej częstotliwości, można było kierować na

wschód polskie antenty telewizyjne. Memorandum w tej sprawie zostało podpisane. W zamian za retransmisję telewizji Ostankino w Warszawie, wielkie skupiska polonijne na wschodzie powinny mieć możliwość odbioru polskiej telewizji publicznej. Prezes Markiewicz nie ukrywał jednak, że lepiej niż o telewizji rozmawiało się na tematy radiowe.

Prezes Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji omówił przebieg kampanii wyborczej w telewizji państwowej w roku 1993 ogólnie krytycznie ją oceniając i zarzucając dziennikarzom, iż w okresie wakacyjnym zawieszono emisję produkcji czysto publicystycznych, które w obiektywny sposób winny były informować o programach wyborczych. O mnie naturalnie, choćby o moim spotkaniu w A Teraz Konkretnie z komisarzem prezesem Sądu Najwyższego Adamem Strzemboszem czy ze stołecznym komisarzem wyborczym, a potem krótkotrwałym prezydentem Warszawy Mieczysławem Bareją – w ogóle nie wspomniał. A przecież całe lato nagrywałem trzy programy publicystyczne tygodniowo.

W ogóle na ten oglądany program funkcjonował rodzaj prasowego „zapisu”. Poza wymienianiem „A Teraz Konkretnie” w programie TV, nie wiem czy trzy razy wspomniano o nim w gazetach.

Mówiono też na tej konferencji o parytecie produktu polskiego w telewizji publicznej i prywatnej. Krajowa Rada dążyła tu do podwyższenia produkcji rodzimej ponad ustawowych 30%. Najmniejsze wymagania stawiała przy tym emittentom lokalnym działającym dla zbiorowości mniejszych niż 3 miliony. Program krajowy nie musiał tu docelowo wypełniać więcej niż od 35% czasu antenowego. Gdy stacja przekraczała 3 miliony odbiorców, winna już mieć 40% krajowego produktu. Regionalne stacje publiczne powinny mieć w swym programie połowę, a ogólnokrajowa telewizja publiczna aż 60% produkcji krajowej.

30 września 1993 upływał termin składania wniosków o koncesję dla prywatnych stacji lokalnych. A za dwa miesiące dla stacji ogólnopolskich. Dowiedzieliśmy się, że z całego kraju złożono 17 wniosków o nadawanie prywatnych programów lokalnych. Spytałem wówczas prezesa Markiewicza, ile takich wniosków złożono z terenu Warszawy i województwa warszawskiego oraz jak długo Rada ma zamiar je rozpatrywać.

Oświadczył nam, że ani jednego, co go jednak nie dziwi, bo takie wnioski najczęściej składane bywają w ostatnim momencie. I tu nastąpiło coś dziwnego. Jak najpierw odłączył się Chojecki by walczyć o koncesję dla NTP, tak we wrześniu 1993 zorientowawszy się zapewne, że Włosi przeznaczeni są „na odstrzał”,



odchodzi z NTW także i Michał Komar, przystępując do procesu koncesyjnego oddzielnie z projektem lokalnej TV Wisła. (Żeby było trudniej zgadnąć, nazwa był podobna do ubiegającej się o koncesję na południu Polski telewizyjnej sieci).

W rezultacie do procesu koncesyjnego na telewizję lokalną przystąpi: Polsat Solorza, Canal-Plus i NTP-Plus Mirka Chojeckiego, o którym – co najdziwniejsze – będzie się mówiło, że koncesję dostał. Tylko, że jakoś tak mu ją dano, że nigdy tego nie zrealizowano, a częstotliwość summa summarum w drugim procesie koncesyjnym w roku 1996 zagarnie Walter z TVN-em. O pozostały, czwarty kanał starać się będą: nasza NTW Nicola Grauso, Top Canal Jacka Żelazika, TV Niepokalanów ojców franciszkanów oraz wspomniana TV Wisła nieoczekiwanie stworzona przez Michała Komara. W rezultacie częstotliwość zajmą franciszkanie.

No cóż – historia jak ze złej bajki bez morału. Kto nie potrafi się łączyć, dogadywać, wspomagać – przegrywa. Fakt, że Chojeckiemu, Grauso i Komarowi zabrakło woli współpracy, obróci się przeciw nim i przeciw polskim interesom. Uważali się za tak potężnych, że każdy uważał się za najważniejszego. Tak pewni siebie, że w momencie zagrożenia każdy stawiał tylko na siebie. Razem z Grauso mieli szansę podbić telewizyjnie nie tylko Polskę lecz pewnie stworzyć konsorcjum medialne ogarniające wschodnią i południową Europę. W rozproszeniu musieli polec. Musieli zostać rozegrani.

X

SOLORZ I GRAUSO

– wojna o kasę

Zostałem praktycznie sam. Stacja rosła w siłę. Oglądalność mierzona przez instytut Nielsena sięgała 8 840 000. Stawiało to stację na drugim miejscu w kraju po programie pierwszym TVP, a przed publicznym programem drugim. Szczególną popularnością cieszyła się nasz telewizja wśród dzieci i młodzieży; – w godzinach popołudniowych oglądało nas średnio 761 000 widzów w wieku od lat 4 do 15. Dochody z reklam rosły proporcjonalnie. Publiczna redakcja stołeczna „Telewizyjnego Kuriera Warszawskiego” przekształcanego właśnie w Warszawski Ośrodek Telewizyjny (WOT) przy naszej Nowej Telewizji Warszawa prawie nie istniała.

Konkurencja dostała szału. „Gazeta Wyborcza”, która jeszcze niedawno z sympatią wspominała przedsięwzięcia Komara i Chojeckiego, zaangażowana teraz bodaj najsilniej w projekt Antena 1 Mariana Terleckiego przystąpi do generalnego ataku na Grauso, publikując 13 listopada 1993 kolejny (pierwszy ukazał się 22 maja) paszkwilancki artykuł Anny Bikont na ten temat. Śródtytuły poszczególnych artykułów Gazety były zaiste urocze: „Na początku była chała”, „Z ręką w nocniku”, potem jeszcze w Mikołajki, na jubileusz rocznej działalności mojej stacji: „Mydlane NTW”.

Trzydziestego września upłynął termin składania wniosków o koncesję dla stacji lokalnych, a 30 listopada 1993 – na częstotliwość ogólnopolską. Jednak koncesji lokalnych po prostu wbrew deklaracjom nie rozdzielono, tym samym decydując się na monopol. A przecież wolność to wielość – to decentralizacja. I to Włochów powaliło.

Rozpoczęcie procesu zezwoleń przez KRRiT od przyznania tej



WYSOKA OGLĄDALNOŚĆ WŚRÓD MŁODEJ WIDOWNI (WIEK 4-15 LAT)	
PORA DNIA	OGLĄDALNOŚĆ
RANO	367 000
POPOŁUDNIE	761 000
WIECZÓR	461 000

jednej, bardzo zresztą trudnej do faktycznego zrealizowania (czyli autentycznego pokrycia zasięgiem całego kraju) – częstotliwości ogólnopolskiej, mówiło samo za siebie. Przyznanie jej Polsatowi

Zygmunta Solorza-Żaka, tajemniczego jegomościa od wielu paszportów, stawiła kropkę nad „i”.¹ Gdy inną koncesję otrzymał elitarny, płatny, kodowany Canal Plus, oczy wszystkim stanęły w ślup. Nawet prezydent Wałęsa dostał szalu, falandyzując prawem odwołaniem w marcu 1994 swego przedstawiciela, czyli Marka Markiewicza, ze składu Krajowej Rady. Sardyńscy stawali na głowie. Dwoili się i troili by szukać wsparcia. Próbowali uruchomić włoskiego senatora Jasia Gawrońskiego. Z Rzymu przyjechali zamieszkały tam od lat producent filmowy (m.in. „Intervisty” czyli „Wywiadu” Felliniego) Michał Janczarek oraz Jacek Pałasiński, który spędził niemal cały stan wojenny w Italii, a teraz przyjął posadę rzecznika prasowego stacji. Naczelną redaktorką NTW, ale na kilka zaledwie dni została ósmego stycznia 1994 Małgorzata Spsychalska, scenografka telewizyjna, córka skomunizowanego generała.



Jacek Pałasiński

Ta próbowała przyciągnąć osobę dość ekstremalną – Krysie Gucewicz, dziwną postać o włosach barwnych jak życiorys: teatralną recenzentkę za „czerwonych” (ponad dwadzieścia lat od 1969 do 1991 nieprzerwanie szefową działu kulturalnego „Ekspresu Wieczornego”), poetkę erotyczną, potem w zależności od koniunktury rzeczniczkę prasową Gołdy Tencer i rzeczniczkę związanej z Teatrem Żydowskim Fundacji „Shalom”, to znów współpracowniczkę Akademii Teologii Katolickiej i duszpasterstwa środowisk twórczych księdza Wiesława Niewęglowskiego. Konia z rzędem temu, kto biografię tę zdoła zrozumieć.

1 Zygmunt Solorz – Zygmunt Solorz – agent z przypadku – Rzeczpospolita 21.11.06 Nr 271

Panie jednak postawiły abstrakcyjne żądania finansowe tak, że w kilka tygodni rozstały się ze stacją. I wtedy rannym świtem zadzwonił w moim domu telefon – w aparacie głos poznanego jeszcze w Cagliari Alberto. Zgodziliśmy się co do tego z Komarem, że nieżyjący już niestety Alberto Rodriguez był tą osobą, która do współpracy z Grauso wpierw Michała, a potem mnie faktycznie przekonała. Z biegle mówiącym po francusku filozofem i doktorem nauk, humanistą z intelektualnej rodziny w mig nawiązałem jakieś organiczne porozumienie. W koncernie Grauso podlegał mu departament prasy z jego ukochanym dzieckiem, czyli dziennikiem „Unione Sarda” na czele. W Polsce widywaliśmy się okazjonalnie, Alberto bowiem zajmował się zasadniczo „Życiem Warszawy”. Telewizja zaś była w gestii Rosettiego. Teraz jednak zwierano szyki.



Alberto Rodriguez

Było wiadomo, że trzeba się ratować, organizując lobbing w środowisku politycznym i medialnym. Okazało się, że Włosi mimo, iż merytorycznie w nic się nie wtrącali, bardzo uważnie analizowali moje programy i teraz zaproponowali mi poprowadzenie w sieci Polonia 1 cyklu publicystycznego, który przynosiłby na arenę ogólnopolską moje rozmowy z politykami, a jednocześnie ukazał, że naszą telewizję stać na ambitne dziennikarstwo. I tak z dnia na dzień zwolniony z newsowego kieratu, poczułem się czeladnikiem wyzwolonym. W czwartek 3 lutego 1994 zrealizowałem ostatni, 710. news. Od startu stacji 6 grudnia 1992 roku minęły 424 dni.

Włosi byli w potrzebie. Jeszcze tego dnia zjechał do stacji Grauso. Zamknęli się w gabinetach, gdzie burzliwa odbywała się narada. Ja jak zwykle obdzwaniałem gości do któregoś z planowanych programów. Tymczasem w sali powstała koncepcja i przybyły na jeden dzień z Sardynii Grauso postanowił przedstawić się osobiście widzom swoich telewizji. Zdecydowano skorzystać z możliwości prezentacji stanowiska Włochów wobec całej wielomilionowej sieci. W kilkanaście minut wszystko było gotowe i Palla wpadł do mnie, który niczego się nie spodziewałem, z pytaniem, czy zgodnie z sugestią Alberto zgodzę się na poprowadzenie programu z szefem. Przystałem naturalnie. W kwadrans przygotowałem pytania. Pomny nauk Meretika, po stacji biegalem w dzinsach, jednak w szafie miałem ukryty jeden z ofiarowanych mi przez sponsorującego już moje ubiory Bernarda Hanaokę garnitur. Zmieniłem zatem image i wkroczyłem na wizję.



*ATK z Nicola Grauso w asyście tłumaczki
Małgorzaty Łozińskiej*

Grauso, z którym podaliśmy sobie ręce godzinę wcześniej, gdy jeszcze w ich głowach nie zrodził się pomysł improwizowanego programu, z lekka przytknęło (Bernard jak chce to potrafi) i myślę, że na późniejsze negocjacje finansowe nie pozostał ten efekt bez wpływu.

Rozmowę przeprowadziłem w swoim już wypracowanym, nerwowym, nawet nieco napastliwym stylu. Nie ominąłem żadnego zarzutu podnoszonego przez konkurencję. Jednak tak samo jak naszym agentom z listy Macierewicza, podobnie najbliższemu współpracownikowi Berlusconiego stawiałem ostre pytania – jednak nie robiłem tego złośliwie i dawałem szansę się wybronić.

Uczciwie powiem. Mnie ten włoski magnat przekonał. Oczywiście nie co do wysokości zainwestowanych kwot. Nawet gdy mi opowiadał, że zainwestował 40 mln dolarów, ja pytałem o tysiące. Grauso mnie natychmiast poprawił. Kasę się przecież zawsze chowa w skrzyni. Nie da się natomiast ukryć nieczystych intencji. Udawać znajomości wymagań publiczności i pozorować swobody twórczej, pozostawianej dziennikarzom rozumiejącym ramy finansowe w ramach jasno określonej ekonomicznej niewoli. Oszustwa nie było!

Reguły Grauso były ostre lecz czyste. Odwrotnie od tych, jakie stawiała Krajowa Rada, która zmieniawszy tryb wprowadzania koncesji kompletnie zburzyła finansowy plan właściciela stacji. W rozmowie ze mną podkreślał, że cztery lata wcześniej przyjechał do Polski namawiany przez przedstawicieli rządu Mazowieckiego do inwestycji w odzyskującym niepodległość kraju. Nie było wtedy mowy o ograniczeniu zagranicznego kapitału w spółkach medialnych ani nawet o parytetach produkcji krajowej. Jednak te wszystkie wymogi przyjmował i starał się im podporządkowywać. Dał pracę 1500 osobom zatrudnionym w 12 lokalnych stacjach. Wraz ze współpracownikami powiązаныmi ze stacjami tworzyło to rynek pracy na poziomie 5000 osób. Dał Grauso godziwą, pozbawioną agresji i pornografii, nieco sentymentalną lecz religijną i popularną rozrywkę milionom widzów, pierwszy raz stykającym się z komercyjnym stylem telewizyjnym. (Pamiętam, że zwracał na to uwagę wspierający duchowo naszą stację duszpasterz

środowisk twórczych wyspecjalizowany w dziedzinie mediów, ksiądz Wiesław Niewęgłowski).

Pytany o jakość programu, Grauso odpowiedział mi:

– Jeśli o mnie chodzi, też przeczytałem w życiu parę książek i oglądanie telewizji nie jest bynajmniej moją główną pasją. Lecz robiąc telewizję trzeba właśnie pamiętać o tych, których jest większość, a dla których telewizja jest jedynym oknem na świat. I nie jest to takie samo okno, przez które spogląda mający do dyspozycji tysiące atrakcji kulturalnych intelektualista z Rzymu czy z Warszawy.

Twierdził Grauso, że zainwestował w naszym kraju 50 mln dolarów. Pytałem go, jakich ma zamiar żądać odszkodowań. Tu był rzecz jasna dużo mniej konkretny. Starał się trzymać twarz nie tracąc nadziei, że jeszcze się wszystko dobrze skończy. Jednak jego plan scalenia w sieć tych lokalnych stacji z Krakowa, Warszawy, Lublina, Olsztyna, Łodzi, Gdańska czy Szczecina, dla których uzyska częstotliwości lokalne, zawiódł. Dziś już wiemy, że w rezultacie nikomu się nie udało. Ani Chojcecki, ani Komar, ani opuszczony przez nich Grauso nie dostali ani częstotliwości lokalnej ani krajowej. Czy trzeba się było trzymać razem? Mnie nie pytano, ale tak właśnie uważałem. Wytoczony „Gazecie Wyborczej”, proces wyceniony w rezultacie przez Roberta Smoktunowicza na 40 mln dolarów, przegrany zostanie przez Grauso ostatecznie po 13 latach. W 2006 roku polski sąd stwierdzi, że Gazeta krytykując naszą stację miała prawo do krytyki.

Miała czy nie miała, z pewnością więcej na tej działalności straciła swoboda rynku medialnego w Polsce, najeżonego później aferami Rywina i marginalizacją środowiska „Gazety Wyborczej” – niż ucierpiały interesy znakomicie liczącego swoje inwestycje Włocha. W rozmowie z 5 lutego 1994 roku spytałem jeszcze, czy Grauso jako wydawca polskiej gazety i właściciel kilkunastu stacji TV uważa, iż prasa w Polsce jest wolna.

– Od czego wolna? – zapytał.

– Od ingerencji zewnętrznych, cenzury i politycznych nacisków – doprecyzowałem.

– Odpowiedź na tak ważne pytanie wymaga pewnie całego cyklu programów – usłyszałem.

I taki cykl pod tytułem „Telewizja w pokoju” już od następnego tygodnia poprowadzę. Jednak zanim do tego dojdzie, po dżentelmeńskich rozmowach na porannym śniadaniu w hotelu Bristol z Alberto i salonowym starciu z właścicielem, trzeba było jeszcze rozwiązać sprawy finansowe. Nastąpiły zatem twarde,

cudownie histeryczne negocjacje finansowe z włoskimi skąpcami. Do stacji przybył Alberto, tłumaczka, kierujący techniką programów Angello Palla oraz odpowiedzialny w tym momencie za finanse Giacomo Serroli. Był krzyk, płacz i zębów zgrzytanie. Jednak Alberto miał widać specjalny nakaz od Capo di Tutti Capi. Ja w zamian za zrealizowanych już 120 programów i transmisji z II Konkursu Teatrów Ogródkowych żądałem całej wyspy Capri wraz z przyległościami. Włosi rwali włosy z głowy i krzyczeli, że to przecież był mój obowiązek, za który byłem wynagradzany. Ja dowodziłem, że moim obowiązkiem było robienie newsów. Włosi, że przecież za darmo się kreowałem, a oni umówili się jeszcze z Komarem, że publicystyka nie będzie dodatkowo płacona. Ja na to, że się dla nich poświęcam, że spalam swój telewizyjny image (nie do końca miałem świadomość, ile proroczej prawdy ukryłem w tych słowach). Było rozkosznie. Capri nie dostałem, ale na małe siedlisko w Ołtarzach-Gołaczach nad Bugiem starczyło. A gdy już zakończyliśmy awanturę, a ja dawałem im do podpisu odręcznie spisany protokół uzgodnień, powiedziałem jeszcze:

– Va bene, ma c'è ancora un assistente – myśląc o niezawodnym Jarku Krecie.

– Si assistente. Quanto? Podąłem 25% wynegocjowanej sumy. Przystali już bez targowania. Aż mi się zrobiło wstyd i szkoda. Tak bez targu?! Czy tak uczciwie trafiłem, czy może powiedziałem za mało? Pewnie gdybym zaproponował 30%, też by się zgodzili – żalowałem. Wtedy zrozumiałem, po co ten cyrk z targowaniem – jego brak osłabia smak zwycięstwa. Sukces jednak był pełen i Jarek też szczęśliwy.

Uzyskałem program, który nazywać się będzie „Telewizja w pokoju”. Otrzymałem nawet budżet. Odtąd niektórym z częściej zapraszanych gości mogłem płacić skromne honoraria. Słowem – wyrwałem kasę.

XI

OD RELIGI PO WAŁĘSĘ
– hipokryzja elit

Moje telewizyjne programy z wszystkimi możliwymi tego świata podzielić wypadnie na trzy części. Pierwsza trwała rok z okładem. Od grudnia 1992 do początku lutego 1993 roku działałem całkowicie swobodnie, pracowałem za darmo. Dla pieniędzy robiłem newsy. Potem, jedynie z akceptacją Michała Komara, wkraczałem do otwartego studia lub realizowałem program na żywo. W tym trybie nagrałem 120 programów. Na żywo rozmawiałem z 66 osobami. Tydzień w tydzień: od 21 maja 1993 do 28 sierpnia 1994. Nazajutrz do NTV wkroczył prokurator.

Spotykałem się m.in. z ekonomistami: Leszkiem Balcerowiczem, Ryszardem Bugajem, Jerzym Eysymontem czy Hanną Gronkiewicz-Waltz. Z politykami takimi jak Zbigniew Bujak,



A. T. Kijowski i Zbigniew Bujak (2.VII.1993)

Bronisław Geremek, Lech Kaczyński albo Janusz Onyszkiewicz. Z byłymi premierami Janem Krzysztofem Bieleckim i Janem Olszewskim. Z wybitnymi prawnikami Adamem Strzemboszem i Andrzejem Stelmachowski. Ludźmi biznesu takimi jak Piotr Büchner, Zbigniew Niemczycki czy Sobiesław Zasada. Także, choć najrzadziej, z zaangażowanymi politycznie artystami, jak Izabella Cywińska czy Jacek Kaczmarski. Wreszcie z publicystami takimi jak Dariusz Fikus, Zdzisław Najder czy Konstanty Gebert. W tym samym dniu co Grauso, moim go

ściem była Małgorzata Niezabitowska. Teraz jednak uzyskałem to, co Komarowi chyba nie było dane. Skromny, ale jednak budżet. Rozpocząłem cykl rozmów o telewizji. Wkrótce było wiadomo, że koncesji z rąk Markiewicza nie dostaniemy.

Przecież jednak wszyscy, słownie wszyscy nas popierali. Po przyznaniu koncesji ogólnokrajowej, Polsat – jako naturalne uzupełnienie prawa emitowania w całym kraju – otrzymał też wszystkie wolne częstotliwości regionalne, co umożliwiło spięcie lokalnych stacji w ogólnokrajową sieć.

Była to zasadnicza zmiana polityki. Odejście od zasady regionalnej ku centralizmowi. A mówiąc językiem ekonomii, zahamowanie naturalnego procesu konkurencji i koncentracji kapitału poprzez przyznanie jednemu podmiotowi dominującej pozycji monopolisty. No, ale skoro przeciw temu zaprotestował nawet prezydent...

Drugi etap mojej działalności to czas od lutego do sierpnia 1994 roku. W czerwcu było już wiadomo, że NTV nie otrzyma koncesji, także i lokalnej. Wtedy jednak „Gazeta Wyborcza” pisała: NTV pracująca w sieci Polonia 1 Nicolì Grauso najprawdopodobniej nie dostanie koncesji (jak wszystkie pozostałe stacje Polonii 1). Ale grać będą nadal. Nadają na częstotliwościach wojskowych, a tam władza Rady Radiofonii nie sięga.”. Kończę z newsami, poza „A Teraz Konkretnie” prowadzę więc rozmowy z cyklu „Telewizja w pokoju”.



A. T. Kijowski i Aleksander Małachowski



Poświęcenie Studia Nowej Telewizji Warszawa przy ul. Grzybowskiej 77 przez Ś.P. Jana bp. Chrapka (1948–2001) – 2.IV.1994

Rozmawiamy o ładzie medialnym. Moimi częstymi gośćmi – współpracownikami staną się w tym czasie Andrzej Drawicz, Lech Falandysz, Jacek Szymanderski, Jan Winiecki, Krzysztof Wolicki. Mówić będziemy o ramówce, o produkcji ekranowym, o ładzie w eterze. Jednocześnie zapraszam gości – nikt mi nie odmawia. Politycy walą drzwiami i oknami. Przybywa Aleksander Smolar i Jarosław Kaczyński, Zbigniew Religa i Aleksander Małachowski.

Rozmawiam z księżmi: był już u mnie od lat zaprzyjaźniony, wybitny katolicki humanista i współautor wielu papieskich wypowiedzi, dominikanin ojciec Jacek Salij. Teraz pojawił się zaangażowany w pomoc dla narkomanów kamilianin Arkadiusz Nowacki. Z uważanym za jednego z bardziej obiecujących hierarchów, wybitnym specjalistą w dziedzinie mediów, księdzem biskupem Janem Chrapkiem w sobotę wielkanocną roku 1994 poświęciliśmy studio Nowej Telewizji Warszawa. Wokół stacji zaczynają się pojawiać nowi dziennikarze. Janczarek szuka sprzymierzeńców. Poza Jackiem Pałasińskim, który jako rzecznik prasowy emituje jakieś materiały ze studia na Marszałkowskiej, dostają do mojego magazynu materiały przynieszone przez Stefana Truszczyńskiego, byłego szefa I programu TVP, współtwórcy Warszawskiego Ośrodka Telewizyjnego, który w tym momencie najpewniej też szukał sobie miejsca na rynku.

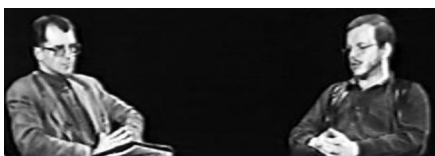
Zaangażowałem się w obronę stacji i sieci. Sieci Polonia 1, z którą nie wszyscy w stacjach lokalnych chcieli się utożsamiać. Jednak oglądalność robiła swoje. Tak jak Michał Komar emitował swoje gadające głowy w czasie wspólnym Polonii 1, podobnie robili inni: Andrzej Kałuszko, który realizował program filmowy, Tadeusz Tarkowski z Gdańska produkował program motoryzacyjny, Katarzyna Turaj-Kalińska robiła w krakowskiej TV Krater program „Barbakan” – z Dorotą Wellman podzieliłem się kolejnym zdobytym czasem antenowym, reemitując w Magazynie „Telewizja w pokoju” jej rozmowy zatytułowane „Fotel”.

Poświęciłem sprawie osobny program, którego głównym bohaterem okazał się będący chyba najciekawszą osobowością z pozawarszawskich współpracowników Grauso twórca Telewizji Niezależnej Lublin, Jerzy Krzysztof Czerwiecki wsławiony tym, że cały swój majątek, mieszkanie i samochód postawił do dyspozycji stacji.

Późniejszy rzecznik prasowy ministerstwa kultury, szef polskiego radia w Rzeszowie, dyrektor programowy OTV Lublin i szef ekonomiczno-programowy oddziału TVP w Łodzi, który w 2009 roku obejmie stanowisko szefa Agencji Informacyjnej TVP SA, emitował w sieci Polonia 1 swoją „Kronikę Wydarzeń Tygodnia”.. Kto pyta niech przyjdzie do Polonii 1



*A. T. Kijowski z Krzysztofem Czerwieckim
– 6.III.1994 w siedzibie Nowej Telewizji
Warszawa*



A. T. Kijowski z Jackiem Kaczmarem

Przychodzi na spotkanie Marian Krzaklewski. Jedyne Adam Michnik mi odmówił twierdząc, że występowanie w tym samym programie, co piękny Maniek, uwłacza jego godności.

Tuż przed objęciem przewodnictwa w Krajowej Radzie spotkam się też z Januszem Zaorskim. Przybywają kolejni byli premierzy: Hanna Suchocka. Popierające w całej rozciągłości naszą działalność spotkanie z premierem Mazowieckim już opisywałem.

No i wreszcie, pamiętam – to było na basenie. Najlepiej myśli mi się w wodzie. Nagle olśnienie. Prezydent. Skoro wszyscy – to czy prezydent też odwiedzi pirata?... Zadzwoiłem i ... poszło jak po maśle. W gabinecie Lecha Wałęsy pracowało kilku moich studentów jeszcze z wydziału wiedzy o teatrze, m.in. Tomek Szymchel i Piotr Żrebiec. Złożyłem propozycję i ... na drugi dzień odzwonił sam Drzycimski.

Krótko i na temat. Prezydent przyjął zaproszenie. Nie wskazując jeszcze daty i sugerując, że jednak lepiej by spotkanie odbyło się u niego, czyli w Belwederze. Pobiegłem do Janczarka. Producent Felliniego, bywalec kasyn i konsument pokus wszelakich popatrzył na mnie spod swych zawsze półprzymkniętych powiek nadzwyczaj żywo.

– Ułowiłem prezydenta – mówię.

– No to jest wiadomość, trzeba to będzie zalegalizować. Mówię, że program powinien odbywać się w Pałacu.

– To jasne, rzucił Michael i .. ruszył z kopyta do Włoch. Po kilku dniach wrócił z pełnymi plenipotencjami od Grauso. Prezydenta nie można emitować na pograniczu legalności, a poza tym jak live to live. Sprawa wypadła z moich rąk. Włosi z Janczarkiem wzięli się do pracy. W kilka dni wynajęli transponder satelitarny i tym samym systemem, którym nadawał Polsat, przygotowali się by sygnał z Belwederu trafiał poprzez satelitę do Londynu, tam odbijał w przeciwnym kierunku, by pobierające go z znów z satelity stacje lokalne mogły go, jako program niekodowany, wprowadzać na zajmowane częstotliwości naziemne. Michał mimo, że wiele lat w Polsce go nie było, znał tu wszystkich co trzeba. Przyjaźnił się też z opisywanym już wcześniej Adamem Kinaszewskim. Adamem czyli drugą połową Jana Mura, której pierwszą część stanowił Andrzej Drzycimski – aktualny rzecznik prasowy.

Panowie wzięli się do pracy. Powstał budżet. Legendy potem krążyły w stacji na temat kwot, jakie na tej transmisji zarobili. W każdym razie znalazły się jakieś stawki dla personelu technicznego, a i dla moich kolegów: Uli Rzepczak, Grzesia Kalinowskiego oraz Jarka Kreta, którzy mieli na żywo selekcjonować telefonny i wprowadzać do rozmowy.

Michał widział to jakoś inaczej. Jednak nie protestował długo, gdy wraz ze mną pojawiła się wyfiokowana, przystrojona we wszystkie możliwe leasingi biurowo-kreacyjne, moja ówczesna małżonka. Nie chcąc też brać na swoje sumienie tego, o czym i tak wszyscy poza mną wiedzieli, że spełnić się musi, poprzestawiano mebelki – byśmy tradycyjnie razem mogli zaistnieć na wizji.



A Teraz Konkretnie z Lechem Wałęsą

Program trwał trzydzieści minut i nie spełnił niczyich oczekiwań. Prezydent nie poczuł się dopieszczony. Nie pozwoliłem mu na palnięcie żadnego powtarzanego potem przez tygodnie lapsusa. Na dodatek zdaniem Agnieszki Kublik



A. T. Kijowski i Piotr Kołodziejczyk

na koniec Kijowski strzelił gafę. „Widzowie mają już dosyć gadających głów” – oświadczył i nim prezydent zdążył zareagować, zaprosił widzów do oglądania szmirowatego serialu..¹

Trochę to grzeczniej było powiedziane, ale dokładnie tyle znaczyło i ani mi w głowie się wstydić, że tak zrobiłem. „Maria” istotnie była szmirowata, ale jej oglądalność biła rekordy w dziejach. Włosi bardzo inteligentnie osadzili prezydenta przed ostatnim odcinkiem serialu dla gospodyń domowych, które w życiu z dobrej woli ani głowy państwa, ani mojej facjaty by nie oglądały, a już z pewnością nie dłużej niż te kilka minut, o które jednak przedłużyłem spotkanie. Uznałem więc, że oddawszy co cesarskie cesarowi nie wolno zapominać o tym co boskie, czyli, że to vox populi jest w telewizji – vox dei.

Pytałem prezydenta chyba o wszystko, co było ważne w tym momencie. O BBWR, prywatyzację, bieganie z siekierką. O to przede wszystkim, czemu tak przetraca swoją charyzmę tysiąclecia na małe utarczki. Kilka razy połączyli się też widzowie, choć jakość techniczna transmisji: telefon do studia, ze studia na satelitę, z satelity na polski odbiornik, z odbiornika na nadajnik – musiała pozostawiać sporo do życzenia. Jednak w dotyczącej nas sprawie i z tych najwyższych wydawałoby się ust usłyszałem to, co pragnęliśmy usłyszeć.

– Dlaczego występuje pan prezydent w prywatnej telewizji, a nie w państwowej? – zapytała jedna z połączonych słuchaczek.

– Otóż nigdy nie odmówiłem telewizji publicznej – stwierdził kolokwialnie Wałęsa, – ale jak widać nie ma ochoty albo nie jest na takie rozmowy przygotowana.

– W sporze o radio i telewizję po której jest pan prezydent stronie – spytałem pod koniec programu. – Publiczności, która chce mediów całkiem wolnych

1 Gazeta Wyborcza nr 147, wydanie z dnia 27/06/1994, str. 2

od polityki, czy tak samo jak parlamentarzyści, chciałby pan aby rząd i Belweder także miały na to jakiś wpływ?

— Jestem za tym, żeby było dużo, jak najwięcej kompletnie wolnych niepolitycznych stacji. Ale jest nieprawdopodobne, aby odpowiedzialni ludzie, którzy kierują państwem, nie mieli żadnej możliwości mówienia, co się dzieje w kraju w różnych sytuacjach – czasami niebezpiecznych. Żeby byli niedopuszczani do telewizji. To jest nieprawdopodobne – stwierdził Lech Wałęsa.

Rzeczywiście nieprawdopodobne! Za tydzień w trakcie programu z Piotrem Ikonowiczem, który odbywał się jak zwykle w należącym do wojskowych budynku przy ulicy Grzybowskiej 77, w siedzibie naszej stacji nagle siadł prąd, co uniemożliwiło komunikację między nadajnikiem znajdującym się na szczycie naszego budynku a tym umocowanym na dachu hotelu Marriott, który wzmacniał sygnał. Pierwszy raz od 6 grudnia 1992 stacja zamilkła na godzinę. Czy był to przypadek czy tylko techniczny balon próbny – nigdy się nie dowiem. Program z Ikonowiczem nagramy zatem już bez telefonów.

Po tym socjalistycznym polityku z dobrego i zasobnego domu, spokrewnionym z Janem Józefem Lipskim, a także rodzonym bracie Magdy Gessler, która w latach 90. zbudowała w Warszawie istne imperium kulinarno-restauracyjne, goście byli lepsi jeden od drugiego. W lipcu spotkam się z Aleksandrem Hallem. Po nim z aktualnie urzędującym – notabene dwukrotnym – ministrem obrony narodowej Piotrem Kołodziejczykiem.

Z ust aktualnego ministra obrony narodowej usłyszałem: Sytuacja w jakiej jest pańska telewizja zdarza się i w innych większych aglomeracjach miejskich. Nie wprowadza, mimo, że pracuje rzeczywiście na częstotliwościach wojskowych, żadnych zakłóceń, bowiem podczas pokoju samoloty nie latają nad wielkimi miastami. *Ja zaproponowałem, żeby dokonać pomiarów w Poznaniu, w Gdańsku, w Krakowie, we Wrocławiu, w Katowicach, i gdzie jeszcze potrzeba, w Warszawie również. W jakim promieniu po prostu jest to nieszkodliwe. I dopuścić na częstotliwościach wojskowych emisję tych stacji. Cóż dodać?!*

Po tym spotkaniu zaproszony zostaną do Krakowa, gdzie wobec spotkania z prezydentem wywiadu nie zdoła mi odmówić nawet aktualny prezes Trybunału Konstytucyjnego, a przyszły Rzecznik Praw Obywatelskich, Andrzej Zoll. Odbędę też w Krakowie przemiłą rozmowę z profesorem Jackiem Woźniakowskim. Krytykiem sztuki, erudytą, a zarazem pierwszym samorządowym prezydentem mego rodzinnego miasta.

Niby nie mamy koncesji. Lecz wszyscy nas akceptują. Przyjdzie jeszcze Tomasz Wołek i Janusz Korwin-Mikke. Gdy pojawi się także Andrzej Celiński, były senator, a naonczas poseł Unii Wolności skłaniający się już ku liberalom z SLD – gazeciarkom z „Wyborczej” puszcza w końcu nerwy. 22 sierpnia 1994 w tekście Agnieszki Kublik czytamy: *Piraci z poparciem. Telewizje bez koncesji nie chcą się wyłączyć.*

Mimo piątkowego apelu wszystkich odpowiedzialnych za obowiązywanie prawa w eterze, by przedstawiciele państwa nie występowali przed kamerami pirackich stacji, w sobotę u piratów gościł poseł Unii Wolności i sekretarz generalny Episkopatu.

W Warszawie nadaje dwóch piratów. NTW – jedna z 12 stacji sieci Polonia 1 należącej do Włocha Nicoli Grauso, i Top Canal.

Będą ścigać

Prokurator generalny, Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, przedstawiciele wojska, MSW i resort łączności w piątek oficjalnie przyznali, że ci, którzy nie mają koncesji podpisanej przez Krajową Radę są piratami. A za piractwo w eterze grozi kara. Ustawa o radiofonii i telewizji mówi o pozbawieniu wolności nawet na dwa lata. Ani Polonia 1 ani Top Canal koncesji nie mają.

Jednak wszystko wskazuje na to, że prokuratorzy będą musieli sięgnąć po najbardziej drastyczne środki i konfiskować piratów nadajniki. Ci bowiem nie mają zamiaru wyłączyć ich sami.

Nie boją się

W kontynuowaniu zaś tego procederu wspomagają ich osobistości życia publicznego. W sobotę w NTW – w programie na żywo – wystąpił senator RP Andrzej Celiński (UW)



*A. T. Kijowski z Andrzejem Celińskim
– 20.VIII.1994*

A przecież dzień wcześniej Krajowa Rada i prokurator generalny zaapelowali publicznie, by „przedstawiciele państwa nie występowali przed kamerami pirackich stacji”. Tymczasem NTW zapowiada, że w następną sobotę pojawi się były

marszałek Sejmu i minister sprawiedliwości Wiesław Chrzanowski. Poza tym cały czas reklamuje swoją jesienną ramówkę.

Wczoraj w NTW dowiedziałam się, że nikt tam nie ma zamiaru wyłączyć nadajników. – Nie robimy niczego zabronionego – powiedział nam pragnący zachować anonimowość pracownik działu emisji. – Nie mamy przecież zakazu działania.

Stwierdził też, że cała Polonia 1 ma prawo legalnie nadawać do 20 września. – Skąd ta data? – pytam. – Tak twierdzą szefowie – słyszę.

Jak się nieoficjalnie dowiadujemy, Grauso liczy, że Naczelny Sąd Administracyjny wyda w połowie września wyrok, że koncesja dla pierwszej prywatnej telewizji ogólnopolskiej Polsat została przyznana niezgodnie z prawem. Wtedy będzie można się upierać, że proces koncesyjny nadal trwa, a więc nie ma nielegalnych nadawców.

Grauso pierwszy

Tymczasem Marek Markiewicz, b. szef Rady, zapowiada, że piraci z Polonii 1 będą ścigani w pierwszej kolejności i zamilkną „góra w ciągu tygodnia”.



*ATK z Wiesławem Chrzanowskim
– 28.VIII.1994 (ostatni program na żywo)*

Sam nie zamierza wyłączyć się także Top Canal. Nadal przyjmuje reklamy, a w sobotę gościł sekretarza Episkopatu Polski bp. Tadeusza Pieronka. Także tu szeregowi pracownicy nic nie wiedzą o tym, by szef stacji Jacek Żelezicki planował wyłączenie nadajników.² Jedyłą osobą, która posłuchała wspomnianego apelu był Jan Rokita, z którym umówiony już program niemal z godziny na godzinę zdołałem zastąpić na Korwina-Mikkego.

Celiński przyszedł, marszałek Chrzanowski też. Ale i ten dzień w końcu przyszedł też. Gdy do stacji wkroczone rano 29 sierpnia, jeszcze mnie w moim gabinecie nie było. Prasie, PAR-owcom z Państwowej Agencji Radiokomunikacji i policji stawiał czoła pełniący tego dnia dyżur Grześ Kalinowski.

2 *Gazeta Stołeczna nr 194, wydanie z dnia 22/08/1994, str. 1*



*Studio NTW
na Grzybowskiej 77
w Warszawie*

Tym razem piórem Jacka Rakowieckiego „Gazeta Wyborcza” triumfowała: POLONIA 1 Z PLOMBAMI³

(P) Całą akcję zamknięcia i zaplombowania stacji Polonii 1 nadających na częstotliwościach wojskowych przeprowadzono w sześciu miastach Polski według tego samego scenariusza: policja, prokurator i nakaz rewizji.

W piątek szefowie zamkniętych wczoraj stacji dostawali pisma z prokuratury, żądające zaprzestania nadawania. Nikt tego nie zrobił. Dlatego w poniedziałek wkroczyły specjalne ekipy: prokuratorzy, policjanci, pracownicy techniczni Państwowej Agencji Radiokomunikacyjnej. Na ogół najpierw odcinano prąd lub od razu rozmontowywano nadajniki albo anteny.

Najostrzej było w Opolu, gdzie policjanci zablokowali drzwi, schody i windy w wieżowcu, w którym mieści się telewizja Telepol.

W Warszawie dziennikarze NTW o zamknięciu stacji dowiedzieli się od widza, który zadzwonił z pytaniem, co się dzieje. Gdy uspokajali go, że to tylko jakieś chwilowe problemy techniczne, do redakcji wkroczyło pięciu policjantów w mundurach, czterech po cywilnemu i prokurator z nakazem rewizji.

– Niczego tu nie dotyczyli – przyznali dziennikarze. Ale kamerzyscie, który próbował filmować całe wydarzenie, odebrano taśmę.

– Jedno jest pewne: będziemy dalej nadawać, tylko nie wiemy kiedy – deklarowali dziennikarze. Obawiają się jedynie, że mogą być bez pracy i z pół roku. Liczą jednak, że Nicola Grauso będzie im w tym czasie płacił.

Podobnie optymistyczni starają się być w Szczecinie. – Mam nadzieję, że ta sytuacja długo nie potrwa i wkrótce znowu zaczniemy emitować programy – powiedziała szefowa Morza, Małgorzata Rewczuk. Jej dziennikarze nadal pracują i robią materiały filmowe.

3 Gazeta Wyborcza nr 201, wydanie z dnia 30/08/1994, str. 3

– *Być może jutro zorganizujemy pikietę lub happening – ostrzegł Piotr Sławiński, redaktor naczelny poznańskiej TV-ES.*

– *Każdy spodziewał się tego wcześniej czy później – przyznał operator kamery, jeden z 29-osobowego stałego zespołu lubelskiej TNL. Jego koleżanka z dzienników mówiła, że odczeka i zacznie szukać innej pracy. Część dziennikarzy już od kilku dni pracuje w telewizji publicznej.*

W krakowskim Kraterze, gdzie podczas całej akcji w studiu świeciła się tabliczka: „Cisza! Nagranie”, wszyscy odmawiali komentarza. Tylko szef policjantów stwierdził: – Cóż robić, taka służba. Ale rodzinie się narażę.

** Przypomnijmy, że w trwającym ponad rok procesie koncesyjnym Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji przyznała 16 koncesji telewizyjnych: jedną ogólnopolską dostał Polsat, kodowaną – Canal Plus, a ponadregionalną – telewizja Wisła. Pozostałe 13 koncesji przypadło stacjom lokalnym. Wśród przegranych znalazła się Polonia 1. Za nadawanie bez koncesji „Ustawa o radiofonii i telewizji” przewiduje do dwóch lat więzienia.*



A. T. Kijowski & Zbigniew Religa (23.IV.1994)

I tak zakończył się drugi etap mej polsko-włoskiej przygody. Jeszcze nie ostatni. Przy takim wsparciu nie traciłem nadziei.

Jak do tego mogło dojść? Do dziś nikt nie umie odpowiedzieć na to proste pytanie. Kto był silniejszy od prezydenta Wałęsy i byłego premiera Mazowieckiego, a także szefa narodowych sił zbrojnych. Jak można było znieść wolność mediów elektronicznych, wpieryw fizycznie, a następnie w rok później usankcjonować to w 54 artykule Konstytucji?

Czy zdecydował o tym fakt, że władzę wzięli postkomuniści z Waldemarem Pawlakiem i dzisiejszym pseudo-liberałem Włodzimierzem Cimoszewiczem w roli prokuratora generalnego?

Ten, który podpisał wyrok...

Z pewnością ten fakt miał zasadnicze znaczenie, dlatego wszystkich przed tym groźnym typem ostrzegam. Jednak nie przed nim jednym. Być może przed całą polską klasą polityczną, która niczym stan szlachecki w I Rzeczypospolitej na sejmach i sejmikach Rzeczypospolitą kupczy!

Ostatnio miałem okazję spytać o to wprost Jarosława Kaczyńskiego: nie tylko byłego premiera lecz i szefa kancelarii prezydenta Wałęsy, w okresie poprzedzającym naszą batalię.

— *Pan po prostu nie docenia stopnia hipokryzji tych ludzi* —
usłyszałem w odpowiedzi.

XII

KWAŚNIEWSKI CZY BLIDA,
a Cyfra nadchodzi

Nadzieje na wznowienie nadawania okazały się jednak płonne. Dziennikarze zatrudnieni w Nowej Telewizji Warszawa stracili pracę. Ja też byłem zatrudniony w NTW lecz praktycznie już jako dziennikarz całej sieci. Co dalej?

– Co dalej?, zastanawiał się nie pomału zdumiony rozwojem wydarzeń Michał Janczarek. Włosi nie mogli wycofać się z dnia na dzień. Mieli jednak podpisane kontrakty reklamowe i by je zrealizować musieli wynająć transponder. A zatem przesiadliśmy się na satelitę. Tego, na którym stacja ta – pod zmienionym już logo i w całkowicie innym układzie programowym – do dziś dnia nadaje. Było już zresztą kupione i właśnie urządzone przez Włochów studio na Podskarbińskiej w budynku dawnego kina „1 Maja”.

Było wciąż „Życie Warszawy” osadzone przez Włochów w dawnej siedzibie Kina Klub przy Armii Ludowej. Decyzja o zrezygnowaniu z inwestycji do prostych nie należała.

Przez Janczarka czułem się w tym momencie nieco oszukany finansowo.



*ATK przed Studiem
na Podskarbińskiej*

Wymyśliłem Wałęsę, odbyłem spotkanie. Jak twierdzili wtajemniczeni, Michał z Kinaszewskim zarobili na tym krocie. Ja – ani grosza. Serio! Gdy mi bowiem Janczarek zaproponował honorarium bodaj dwa czy trzy razy większe niż otrzymywali asystenci, czyli nie więcej niż kilkaset złotych za wejście na wizję – po prostu parsknąłem śmiechem.

– Wiesz – powiedziałem. – To jest mój pomysł, żniwo dwuletniej pracy i szansa. Nasza szansa na koncesję, pozycję na rynku i miliony. Nie zrezygnuję z programu dlatego, że proponujesz mi grosze. I ty świetnie wiesz, że zrobię to



A. T. Kijowski i Stefan Niesiołowski

„pro Grauso bono”. Ale wolę by było jasne, że robię to darmo niż przyjmować ochłapy. Mam nadzieję, że jak program wyjdzie wrócimy do sprawy.

– Jak sobie chcesz – powiedział Michał jeszcze w czerwcu przed audycją, a gdy wróciłem do tematu po nagraniu, westchnął teatralnie.

– No i co ja z tego mam? Grauso wydał setki tysięcy dolarów na transponder, prezydent wkurzony, budżet skończony. Nawet nie skomentowałem. Uznałem, że musiałem zapłacić frycowe. Zresztą to był lipiec 1994. Przed rozmową z Kołodziejczykiem czy Zollem jeszcze nie wierzyłem, że nas zamkną.

W skali życiowej chyba mi się w jakiejś mierze opłaciło. W skali zawodowej spalałem się przecież na całe telewizyjne życie.

Dość, że we wrześniu, gdy wydawało się że wszystko stracone i spytałem Janczarka, czy mam odwoływać zaprojektowane do końca miesiąca spotkania, ten poprosił bym się wstrzymał, a następnie oświadczył, że Grauso się jeszcze nie poddaje. Nadawać będziemy z satelity, a ja mogę nadal, tyle że w studio na Podskarbińskiej, prowadzić programy. Poprosił mnie też bym zarejestrował firmę. (Nazwałem ją Media-ATaK).

Trzeba przyznać, że Janczarek w sumie zachował się jak facet z klasą. Najpierw pokazał mi, gdzie moje „finansowe” miejsce przy producencie, a następnie zaczął uczyć producenckiego fachu. Brał moje amatorskie faktury, pokazywał czego się nie uwzględnia, gdzie można doliczyć zysk, a gdzie wykazać koszty. Te dwie szkoły, pierwsza z Cagliari, gdzie nauczono mnie techniki telewizyjnego zawodu i druga menedżerska, udzielana przez producenta „Intervisty” Felliniego, starczyła za dobre honorarium.

Odtąd, jak żartowałem, do studia wkraczałem dźwigając dekoracje jako pracownik swojej firmy, która za tę czynność wystawiała fakturę. W drodze do dawnego pokoju kierownika kina, gdzie czekał komputer a nawet podręczny U-matcowski zestaw montażowy, zamieniałem się w researchera, który na

umowę o dzieło organizował gości i przygotowywał materiały do programu. A stamtąd w wypożyczonym kostiumie wychodziłem już jako etatowy pracownik Polonii 1 do studia na spotkanie z zaproszonym gościem. Moje zarobki w trakcie tego ostatniego roku, gdy Grauso deportował się już z naszego kraju, wzrosły trzykrotnie. Majątek to nie był, jednak starczyło na urządzenie kupionego już na wsi domu, a nawet na samochód. Były to bowiem jedyne większe pieniądze, jakie w życiu zarobiłem. Potem przyszło obcować już tylko z polaczkowatymi naciągaczami, którzy kiedy nie muszą – zobowiązań nie płacą. Włosi w końcu odeszli, lecz pozostawili po sobie jak najlepszą pamięć.

Zanim to jednak nastąpi, walka jeszcze będzie trwała. Początkowo w „Krótkich spięciach” będących aranżacją ostrej wymiany zdań między politycznymi antagonistami.

Odbyło się ledwie parę – jeszcze na Grzybowskiej w formule „A Teraz Konkretnie” już bez asystenta rozmawiałem z mecenasem Edwardem Wende i Krzysztofem Czabańskim, ze Stefanem Niesiołowskim, Waldemarem Kuczyńskim, z Antonim Macierewiczem, a nawet, uproszony przez Andrzeja Urbańskiego (tak, tak!), z reprezentantem gdańskich cwaniaczków z upadającej partii



A. T. Kijowski i Waldemar Kuczyński



A. T. Kijowski i Antoni Macierewicz

liberałów. Był on, jak twierdził Jędrsek, miłym kompanem podczas ich amerykańskich wojaży, a na dodatek człowiekiem ciekawym medialnie jak na polityka bo... alpinistą przemysłowym. Nazwisko tego „kamikadze” brzmiało ciut z kasszebska. Nazywał się Donald Tusk.



A. T. Kijowski i Donald Tusk

Szukałem formuły. Dodawałem komentarze i sondy uliczne rozmawiając o ładzie prawnym z poznanym jeszcze w połowie lat 80., gdyśmy razem próbowali organizować pierwsze związki zawodowe odradzającej się „Solidarności”, Piotrem Łukaszem Andrzejewskim – zasłużonym senatorem niemal wszystkich kadencji Senatu.



Jacek Hugo-Bader

A. T. Kijowski i Piotr Ł. J. Andrzejewski

Odbyłem też bardzo ryzykowne, ale bodaj czy nie najciekawsze ze wszystkich zrealizowanych, spotkanie poświęcone nacjonalizmowi. Rozmawiałem z patro-nem skinheadów – Bolesławem Tejkowskim. O pojęcie nacjonalizmu i jego na-cechowanie pytałem Stanisława Podemskiego z „Polityki” i Jacka Hugo-Badera z „Wyborczej” oraz przechodniów pod dworcem Wschodnim w Warszawie.

– Myśmy wprowadzili – powiada Tejkowski w rozmowie – bardzo



A. T. Kijowski i Bolesław Tejkowski

zasadny termin polityczny, że narodowość rozpoznaje się po zachowaniu politycznym. Ja będę głośno krzyczał, że jestem Polakiem, ale będę robił wszystko by Niemcy zajęli Polskę. To jest zasadne posądzenie o narodowość niemiecką.

Nie zawracałem sobie głowy pytaniem, czy Polak nie może być po prostu gorszym od cudzoziemca zaprzańcem. Ostrzej polecałem.

– Szanuję prezydenta, jestem pełen podziwu dla Unii Europejskiej, bardzo podziwiam USA, z całego serca życzę Polsce by znalazła się we Wspólnocie Europejskiej i w NATO. Czy na podstawie takiego oświadczenia, osobistego i szczerego, jest pan w stanie domniemywać, że jestem pochodzenia innego niż polskie?

– W odpowiedzi usłyszałem:

– Na pewno reprezentuje pan zespół poglądów politycznych żydowskich – poczułem się w końcu uszczęśliwiony, że mnie to zabezpieczy przed kłatwą Adasia Michnika i „Wyborczą” vendettą przez omertę. Na koniec zagoniłem wręcz Tejkowskiego w kozi róg, gdy ten powoływał się na wzór Chińczyków i Palestyńczyków, którym nieobcy jest nacjonalizm. Stwierdziłem, że istotnie to ciekawe u polskiego nacjonalisty, by miast nawiązywać do tradycyjnej dla naszego narodu tolerancji, wzory czerpać z innych kręgów kulturowych.

Chociaż... Gdy dziś już nie ma Tejkowskiego na politycznej scenie, inaczej zabrzmiały mi w uszach jego ostrzeżenia przed skutkami, jakie przyniesie Unia Europejska. Gdy grozi mi pod koniec życia eksmisja z kwaterek mieszkania, gdy córka pyta co mi przyszło z uczciwości i pewnej politycznej poprawności, – skoro i tak „Wyborcza” górą... Gdy po Gronkiewicz-Waltz w Warszawie i Tusku w kraju samobójcze myśli coraz częściej krążą po mej głowie – inaczej brzmi ta prosta informacja Tejkowskiego.

– Czy pan wie, że piętnaście tysięcy osób popełniło w tym (1994) roku samobójstwo z głodu... Przez Balcerowicza!

„ATaK Show” rozpocząłem reklamowanym szeroko nawet w „Życiu Warszawy” ATaKiem na Kwaśniewskiego, który stał się pierwszą próbą konfrontacji



Anatol Lawina w ATaKu na Zofię Romaszewską

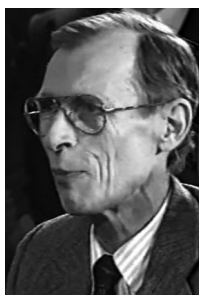
A. T. Kijowski i Aleksander Kwaśniewski

z aktualną, lewicową ekipą rządów wpierw Pawłaka, a po 7 marca 1995 roku także Oleksego.

Ze stacji NTW ocalała poza mną jedynie Ula Rzepczak, której kobiecy program „Bez maski” miał już sponsorów. Także i ATaK Show miał szereg firm, które nas wspierały. O moją prezencję dbał pan Wiśniewski i firma Stangierscy, Małgosia Malendowska pracująca dziś dla TVP publicznej dbała o charakteryzację występujących. Firma pana Wojciecha Urbana udzielała praw do wykorzystywanych nagrań. Rozwiązana została też kwestia dekoracji. Zapraszałem do studia młodych malarzy wraz z obrazami. Warunek był jeden – by były na tyle duże, aby kilka było w stanie wypełnić przestrzenie scenicznego horyzontu.

Słowem – to wszystko czego idealista Chojecki żądał od razu i na wstępie, w drodze normalnej ewolucji można było osiągać etapami.

Formuła nowego programu była połączeniem dotychczasowej rozmowy na żywo z zasadą otwartego studia. W „ATaKu” wspierał mnie zawsze jakiś wybitny publicysta, gość miał prawo zaprosić swoją publiczność oraz wspierającego go sekundanta. Nie sposób wymienić wszystkich, ale przy tej okazji dane mi było poznać i skorzystać z pomocy wielu wybitnych dziennikarzy, że wspomnę jak występowali w tym programie Jacek Maziarski, Ernest Skalski, Bronisław Wildstein.



Jacek Maziarski

Pojawił się też zmarły przedwcześnie i w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach, zacięty tropiciel afery FOZZ Anatol Lawina. W ataku pojawiali się

Marcin Gugulski, Piotr Skwirowski, Jan Bazyli Lipszyc. W programie z Witoldem Modzelewskim Krzysztof Leski grał na obronie.

Do jednego z ostatnich programów poświęconych adwokaturze i mecenasowi Bednarkiewiczowi niejako dla



Michał Komar (jako redaktor naczelny „Sztandaru Młodych”)

*A. T. Kijowski z K. Leskim
- Po ATaKu na Podatki i Witolda Modzelewskiego*

ATK z K. Leskim - Po ATaKu na Podatki i Witolda Modzelewskiego domknięcia i swoistej cody zaprosiłem Michała Komara i pełnomocnika stacji Roberta Smoktunowicza.

No a potem i przedtem był jeszcze czas na prywatne rozmowy przy kieliszku wina z zasobów „Klubu Pod Galerią” Włodka Frenkla sponsorującego, jak już wspominałem, towarzyską część spotkania.



A. T. Kijowski i Czesław Bielecki

Ta trzecia, finalna część telewizyjnej przygody z Włochami potrwa cały sezon 1994/1995. Pierwszy program z cyklu „ATaK Show” nagrany został z Aleksandrem Kwaśniewskim 7 grudnia 1994 – równo w dwa lata od uruchomienia NTW. W ATaKu wspierał mnie Krzysztof Czabański, na obronie zasiadł Dariusz



*Z Bronisławem Wildsteinem w ATaKu
na Władysława Frasyniuka*

Szymczycha. Ostatni program to był ATaK na powołany właśnie przez Czesława Bieleckiego „Komitet Stu”. Nagrany został 28 czerwca 1995 roku. Czesławowi sekundował przyjaciel i architekt Zygmunt Stępiński. W mojej drużynie grał Lech Falandysz.

W sumie nagrałem 29 spotkań z tego cyklu. Atakowałem warszawskie salony w osobie Jacka Kurczewskiego, Węgry, które reprezentował od 30 lat zamieszkały w Polsce, nieformalny reprezentant węgierskiej opozycji, uczestnik powstania w 1956 roku, a wtedy ambasador tego kraju w Polsce, Akos Engelmayr.

Atakowałem prywatyzację uosabianą przez Janusza Lewandowskiego i ZChN, z którym kojarzono wówczas bodaj największego kameleona polskiej sceny politycznej czyli Ryszarda Czarneckiego. Osobny program poświęciłem przywódcy Unii Wolności, Władysławowi Frasyniukowi.

Znanemu jeszcze z okresu współpracy w „Tygodniku Solidarność”, polskiemu sędziemu Europejskiej Komisji Praw Człowieka, Markowi Antoniemu Nowickiemu. Spotkałem się z Krzysztofem Kozłowskim, kojarzonym niegdyś głównie z rewelacyjnymi przeglądami politycznymi tygodnia publicystą „Tygodnika Powszechnego”, który po roku 1989 przyjął odpowiedzialność za weryfikację oficerów Służby Bezpieczeństwa, a następnie, ale dopiero 6 lipca 1990 roku z rąk generała Kiszczaka przejął stanowisko ministra spraw wewnętrznych.

O służbie zdrowia rozmawiałem z Markiem Balickim, o podatkach z Witoldem Modzelewskim, spotkałem się z wcieleniem próżności doskonałej, czyli Michaelem Jacksonem polskiej ekonomii, Grzegorzem Kołodką. O mediach i sprawach kultury rozmawiałem z Janem Juliuszem Braunem, a o Biurze Bezpieczeństwa Narodowego z Henrykiem Goryszewskim.

Wiele wpływowych kobiet bywało gośćmi tego programu: pani Zofia Kuratowska reprezentująca społecznych liberalistów i uosabiająca wszelką kontrolę Zofia Romaszewska, lekarka i marszałek Sejmu Olga Krzyżanowska, ówczesna rzeczniczka rządu Oleksego Aleksandra Jakubowska, znana jeszcze



A. T. Kijowski i Krzysztof Kozłowski

z czasu studiów bohaterka słynnej torebki, z którą opuściwszy studio postkomunistycznych „Wiadomości” wróciła na pierwsze strony gazet jako wiceminister kultury i „zworniczka” grupy trzymającej władzę pazurami Lwa Rywina.

Były kobiety biznesu z Danutą Piontek. Te, które jego wolność miały chronić w osobie szefowej urzędu antymonopolowego Anny Fornalczyk, a także optująca za prawem do eksmisji lokatorów na bruk, zajmująca wówczas fotel ministra budownictwa reprezentantka lewicy, która ani ideałom sprawiedliwości społecznej, ani jak czas pokazał, kulom też nie była skłonna się kłaniać. Słowem – Barbara Blida.

Jedni goście przybywali niemal sami. Inni zaskakiwali mnie czasem towarzyskim oparciem. Spore wrażenie wywarł wtedy na mnie Waldemar Dąbrowski, który karierę zaczynał w ruchu studenckim jako szef „Klubu Remont”, później jako menedżer teatralny, w stanie wojennym z ramienia PAGART-u zajmował się również eksportem polskich artystów za granicę. Potem zarządzał kinematografią,



A. T. Kijowski i Aleksandra Jakubowska

A. T. Kijowski i Barbara Blida





A. T. Kijowski i Waldemar Dąbrowski

dwakroć Teatrem Wielkim, a był także ministrem kultury. Z tym wszystkim zainteresował mnie szczególnie, gdy po odwołaniu ze stanowiska szefa Zarządu Kineematografii został powołany na szefa PAIZ, czyli Państwowej Agencji Inwestycji Zagranicznych.

Chciałem z nim rozmawiać o finansach i komercjalizacji. Ale te, jak się okazało, pięknego Waldiego najmniej interesowały. Wśród zaproszonych gości nie było biznesmenów. Sami wdzięczni artyści – Piotrowie Łazarkiewicz i Szulkin pod przewodnictwem Izy Cywińskiej z moim imiennikiem (ale ani bratem ani swatem) reżyserem filmowym Januszem Kijowskim w roli adwokata. Okazało się, że wytrawny specjalista od PR-u znakomicie wiedział, co czyni. Wnet bowiem po piątkowej bodaj późnonocnej emisji, spotkany na Marszałkowskiej Renato Guzzo od ramówki złapał mnie na korytarzu. (...)



A. T. Kijowski i Bogusław Liberadzki

– ATeKa – spytał – chi è che Waldemar Dąbrowski?. Okazało się, że na tym programie oglądalność nagle wzrosła o 30%. Guzzo zareagował natychmiast wprowadzając dodatkową powtórkę mojego programu w niedzielne przedpołudnia, w czasie wysokiej oglądalności.

Były więc i łżejsze tematy, jak próba powołania polskiego TUI czyli zrzeszenia biur podróży, której patronował Jerzy Piotr Pronobis. A także spotkanie

z Bogusławem Liberadzkim, z którym rozmawiać miałem o autostradach, ale i on jak się okazało, zamiast urzędnikami postanowił się bronić na wizji artystami. Tu wśród gości obok Janusza Zaorskiego pojawiła się nawet... Maryla Rodowicz.

Wszystko ponoć dla tych biletów lotniczych czy rejsowych, którymi jakoby dla wybranych dysponuje minister transportu. Ten ostatni etap byli to więc nie tylko bohaterowie, nie tylko ludzie sukcesu osobistego, lecz także towarzyskiego.

Mnóstwo ludzi. W sumie w ciągu tego niespełna tysiąca dni (od 6 grudnia 1992 do 28 czerwca 1995) przed kamerami rozmawiałem z bez mała tysiącem osób. Wybitnymi indywidualnościami, pasjonatami, a także – w tym ostatnim etapie – z może najciekawszym i najrzadszym w Polsce gatunkiem ludzi, którzy zdecydowali się przyjść, aby wspierać przyjaciół.

Nie wszyscy chcieli ich pokazywać. Lecz czasem poznawani w cieniu bohatera goście okazali się nie mniej interesujący od samej jego osoby. Do takich z pew-



*A. T. Kijowski w Tomaszem Łubieńskim
w ATaKu na Zofię Kuratowską
z Markiem Edelmanem w roli obrońcy*

nością należało spotkanie z gośćmi zaproszonymi do programu przez Zofię Kuratowską. Na widowni zasiedli m.in.: Marek Balicki, Andrzej Celiński, Izabela Jurga-Nowacka a nawet Irena Kirszensztajn-Szewińska czy sam Marek Edelman.

W gronie mniej znanych zwrócił moją uwagę i w te pierwsze piętnaście sekund nawiązałem z nim nić porozumienia Jan Krzysztof Frąckowiak, ówczesny szef Komitetu Badań Naukowych, któremu dedykuję też osobny program poświęcony nauce.

Tam z kolei pojawi się kwiat polskiej Akademii. Przybędzie m.in.: rektor Politechniki Warszawskiej Władysław Findensein i twórca NASK Tomasz Hofmokl, wybitni historycy i rektor Uniwersytetu Warszawskiego Henryk Samsonowicz, a także Andrzej Wyczański, którego poznałem jeszcze w czasie strajków roku 1980, gdy pracowałem jako adiunkt w Białymstoku.

Dzięki temu programowi poniekąd wróciłem do swych własnych źródeł, dawnych naukowych korzeni, a następnie już po ostatecznym upadku stacji, prze-trwam najbliższe dwa sezony dzięki współpracy z KBN-em.

Stację bowiem zamknięto. Ostateczną decyzję podjął Grauso w połowie roku 1995. „Życie Warszawy” sprzedał Zbigniewowi Jakubasowi. Jednak znaku Polonia 1 nie pozwolił spostponować. Stacja istotnie zamieniła się w „telepatelnię” w dzień emitującą teledakty, wieczorem pornosy. Ale tego nie firmował już Grauso ani Alberto, lecz jacyś inni Włosi. Pierwszego nabywcę zapamiętałem. Nosił takie samo nazwisko jak często wspomniany przez znajomych pisarzy neapolitańczyk i tłumacz literatury włoskiej na polski – Verdiani.

Na pożegnanie uścisnął mnie serdecznie Andrea Palla, mówiąc:

– Non ti inquietude, Andrea – cifra arriva.

To było w lipcu 1995 roku. Zaczynam się jednak niepokoić – gdy piszę te słowa, mija przecież już piętnasty rok...

XIII

W OBROTACH SFER WOLSZCZANA

Przecież ja jestem w czepku urodzony. Naprawdę! Wyszedłem ponoć z łona po wielogodzinnej walce około czwartej po południu, owity w tę nienaruszoną, fartowną błonę. Więc się nie lękam, jak prosił Angello i nie mam zamiaru narzekać. I tak wiem, że dał mi Bóg zdrowie, wiele wskazuje na to, że przeżyję Seniora. Nigdy nie wyjechałem z kraju „dla chleba”, by dziś ciężko pracując na obczyźnie pod nickami i pseudonimami spowiadać się z anonimowej nostalgii do kraju. Nie było mi dane zarobić jakichś ciężkich pieniędzy, które sprawiałyby dziś, że jak niektórzy „ustawieni” koledzy, miałbym teraz brzuch dziesięć razy większy od głowy lub jak inni, z wyciętą połową trzustki musiał robić za rządowy zderzak.

– Dla chleba, panie, dla Chlebowskiego chleba...



*A. T. Kijowski – Krótkie śpięcie z Andrzejem
Urbańskim w Polsce 1*

Nigdy nie musiałem wstawać świtem ani wykonywać ciężkiej, nielubianej pracy. Zresztą w życiu w ogóle nie zachęcano mnie do pracy, a już tym bardziej nie widziano mnie w roli współpracownika. Z tysiąca osób, które „dopieszczałem” na wizji czy w ogródkowym plenerze ani jeden, słownie ani jeden z dziesiątków „przyjaciół”, nawet tych opłacanych i wielokrotnie komplementowanych możliwych ogródkowych jurorów czy telewizyjnych komentatorów, nie wpadł na pomysł by spytać, co się u mnie dzieje. Nigdy nikomu nie skojarzyłem się jako pracownik czy współpracownik. „Och, ty w życiu” – mam ochotę zaśpiewać z Młynarskim

*Ty w życiu jedyna,
Och ty dolo, och dolo ty mojaż
Sympatyczna, liryczna dziewczyno*

Skojarz ty mnie sobie, wreszcie skojarz...

A jednak mam szczęście. A nawet dwóch, trzech przyjaciół. Jest Urbański, któremu najmniej mogłem dać w telewizji, ale który zawsze wiedział i wiedzieć musi, że się na mnie nie zawiedzie.

W najmniej oczekiwanych zawodach, miejscach Polski, kręgach Internetu gdzieś w ostatniej chwili pojawi się pomocna choćby i jałmużną dłoń. Tak jest dziś. A wiem, że będzie lepiej. Bo dobiega kresu cykl siedmioletnia, a ja jak ten Kubuś Fatalista wiem, że wszystko jest zapisane w gwiazdach.

A w gwiazdach było zapisane ... spotkanie z Wolszczanem.

A raczej z Frąckowiakiem. Janem Krzysztofem zresztą. Bo tak to jest, że inwestujesz w jakichś Drawiczów, Wolickich, Walterów czy innych Snopkiewiczów, oni cię olewają, aż tu nagle gdzieś z drugiego rzędu pojawia się „błysk”. I taki „błysk” nastąpił, gdy po programie z Zofią Kuratowską, jak już wspominałem ludźmi błyszczącym, gdzieś między Ireną Kirszensztajn–Szewińską a Markiem Edelmanem wypatrzyłem szefa Komitetu Badań Naukowych. Od słowa do słowa okazało się, że instytucja ta miała wielkie kłopoty z przebicciem się do telewizyjnej promocji nauki polskiej. W zamian za „gwarancję emisji” w stacji takiej jak Polonia 1 skłonni byli zawrzeć kontrakt z producentem na sporą liczbę programów, których tytuły i bohaterów sami jednak chcieli wskazywać.

Zwróciłem się do Michała Janczarka, który 4 kwietnia 1995 roku (dobrze, że nie w Prima Aprilis), stosowny kwit mi bez wahania podpisał. Polonia 1 potwier-

działa, że dysponuje możliwością emisji programów naukowych wykonywanych przez firmę „Media ATaK” na zlecenie Komitetu Badań Naukowych.

Zaczęła się zwyczajna urzędnicza walka o umowę, która kosztowała mnie nerwy niewarte jednak obszernego opisywania. Ot, jest umowa i nagle znika. Trzech dyrektorów podpisało, jeden poprawił przecinek, w koło Wojtek i jeszcze raz do koła. Problem był gdzie indziej. Otóż w trakcie tych negocjacji moja telewizja przestała nadawać. W jednym ręku miałem więc promesę potwierdzającą wygranę przetargu z 10.V.1995, jednak faktycznie w lipcu moja oferta straciła moc „gwarantowanej” emisji. Musiałem więc stanąć na głowie, by uzyskać alternatywny kwit. Mając pieniądze na program nie wydawało się to skomplikowane. Udałem się więc do znanego jeszcze z „Tygodnika Solidarność” Roberta Terentiewa. Ten powybrzydzał, ponadymał się, popuszył – ale koniec końców 24 października 1995 po raz pierwszy, a 18 grudnia jeszcze raz po jakichś paranoidalnych, wymaganych przez urzędników z KBN-u retuszach uzyskałem pismo, gdzie napisano, że kierownictwo programu satelitarnego TVP S.A. TV Polonia stwierdza, że jest zainteresowane emisją cyklu programowego promującego na rynkach zagranicznych osiągnięcia nauki polskiej. Zapoznawszy się z propozycją firmy „Media ATaK” przedłożoną Komitetowi Badań Naukowych stwierdzamy, że istnieje możliwość wprowadzenia do programu co dwa tygodnie, w porach dobrej oglądalności programów wyprodukowanych przez tę firmę na zlecenie KBN. Każda emisja TVP Polonia powtarzana jest dwukrotnie. Istnieje możliwość opatrywania ciekawszych programów angielskim teletekstem.

Podpisawszy ten kwit Robert popatrzył mi jednak przeciągle w oczy.

– No dobra, Atek, czy jak cię tam zwać Mediatek. Takich facetów z firmami w teczce, w której jest pieczętka, to ja mam na pięczki. Ty jesteś dziennikarz, ale to jest telewizja publiczna, gdzie ważne jest wszystko: zdjęcia, montaż, potem jest kontrola emisji, gdzie z jednym dropem się nie precisiujesz – musisz mieć wsparcie. I dał mi kontakt – na Kichę.

Kicha to nieżyjący już Janusz Kieszkwicz. Świetny operator kamery, najlepszy kompan i uosobienie lojalności. Zarazem – istota układu. Ale tego od biśiady, polowań i wszystkiego, co cenią panowie z telewizji. Syn wybitnej łódzkiej lekarki, lata siedemdziesiąte spędził w Niemczech. Do Polski wrócił w stanie wojennym jako korespondent niemieckiej telewizji WDR – Westdeutscher Rundfunk. Janusz, wielokrotnie wspomniany Krzysztof Wyszyński, Andrzej Wolf



Janusz Kieszkiewicz (ur. 1948 – zm. 2004)

(o którym jeszcze będzie) należeli do grupy inteligentnych operatorów, będących w jednej osobie komentatorami, którzy w czasie, gdy byliśmy ciekawym krajem, gdzie „Solidarność” lało się pałkami na ulicach, stali na Zachód nieocenzurowane zdjęcia. Krótko mówiąc – fachura.



A. T. Kijowski z profesorem Ciburowskim

Janusz miał akurat przestój. Sam bowiem występując jako producent dla swojego „Studia K” starał się o zlecenie na program ekologiczny. Taki, w którym pokazuje się orlika w locie pod nieboskłonem lub motylka zapylającego kwiatek



Ś. P. Most Syreny im. gen. Jaruzelskiego...

w dużym zbliżeniu. Ostra jazda dla operatora. Ale i w moim programie będzie miał co robić.

Mocno już wygłodniały i spięty, zawieszony między odbywanym w lecie czwartym, a oczekiwanym piątym teatrykiem ogródkowym w Dziekance, w pierwszych dniach stycznia 1996 roku podpiszę wreszcie umowę z KBN-em. Będziemy mieli do zrealizowania szereg trudnych filmowo, a i merytorycznie zadań. Osoby, które mi wyznaczono były przecież bardzo wybitne, choć często kompletnie niemiedialne.

Profesor Ciborowski, gdyby urodził się w Stanach byłby pewnie bogatszy od Rockefellera. W latach 50. opracował bowiem technikę produkcji kaprolaktamu, czyli podstawowego surowca do produkcji poliamidu, bez którego nie byłoby... rajstop. Ani wielu syntetycznych ciuchów.

Trzeba było pojechać do Puław, obfotografować azoty, zilustrować jakoś opowieść uczonych o głębi organicznej.

Jeszcze trudniej mieliśmy gdy przyszło opowiadać o profesorze Kazimierzu Sobczyk, problematyce stochastyki i przypadkowych drgań. Siedzieliśmy godzinami pod mostem Syreny oglądając te wariancje.

Trudne zdjęcia laboratoryjne trzeba było wykonać dla programu o Andrzeju Jerzmanowskim, obok Piotra Błońskiego jednym z wybitnych w świecie polskich genetyków.

W końcu moi ulubieńcy, profesorowie Lesyng i Niezgódka z Interdyscyplinarnego Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego opowiadali cuda o krótkoterminowych prognozach pogody czy modelowaniu procesu leczniczego, zapewniali, że zapisy dokonywane „w strukturze krystalicznej ciała stałego” będą niezniszczalne, Janusza zaś zmuszali do stawienia czoła animacjom komputerowym, zrzutom ekranowym i do tego, by to wszystko jakoś wyglądało. Program poświęcony profesorowi Krzysztofowi J. Jakubowskiemu przybliżył

mnie warszawskiej **Skarpie**. Dla Janusza był już czystą poezją fotografowania kobiecych dłoni trzymających motyla drżącego w skamielinie.



Marek Niezgódka i Bogdan Lesyng

Spotkanie zaś z profesor Teresą Michałowską, specjalistką od literatury polskiego średniowiecza, było dla mnie jeszcze ważniejsze poprzez możliwość kontaktu z profesorem Aleksandrem Gieysztozem, występującym w roli laudatora bohaterki programu. Dla Kichy ten program był swoistą kodą czyli zamknięciem. Artystyczne zdjęcia wykonane w medialnych Galeriach Muzeum Narodowego to samo piękno, lecz po zmaganiach z ciekącym polimerem, z zawodowego punktu widzenia dziecinne igraszki.

Na oko sądząc, postępowałem zgodnie ze „sztuką”. Nauczony biznesu przez Janczarka, techniki w praktyce, pamiętałem paryskie lekcje Lutka Stommy czy Marka Tabina. Bynajmniej nie lekceważyłem Gminy, a w każdym razie tego co w niej piękne – rodzinnej solidarności. Zwróciłem się więc do własnej rodziny. Posiadana jeszcze żona pomagała mi już od dawna. Przy tym programie zajęła się głównie organizowaniem barterowych relacji, dzięki którym mogliśmy skorzystać z wnętrza restauracji Jachacego, dysponować malarskimi obrazami Władka Kufki bądź Grzegorza Stachańczyka czy szklanymi rekwizytami z Krosna.

Przede wszystkim jednak odnalazłem „szwagra”. Ten nazywa się Henryk Rozen i poślubił moją stryjeczną siostrę Elżbietę, aktorkę szczególnie wyspecjalizowaną w lektorskim fachu.

Rozen, syn Uszera był, na oko sądząc, partnerem znakomitym. Wieloletni za komuny dyrektor Teatru Polskiego Radia, laureat Prix Italia w kategorii słuchowisk, ale przede wszystkim niedawny jeszcze (w 1996 roku) redaktor

naczelny „Telewizji Edukacyjnej” TVP, był dla KBN-u partnerem, który niewątpliwie wzmocnił moją wiarygodność.

Niestety jednak na tym się skończyło. Elżunia, córka Leszka-Smoka, brata mego Ojca, bardzo fachowo przeczytała wszystkie zawile chemiczne składki.

Jednak Henryczek przyjął wobec mnie postawę, która zapewne najbardziej opłacała mu się w urzędowym życiu: kadził i korzystał. Mimo, że szukałem innej formuły, namówił do kontynuowania tej sprawdzonej już w „ATaK Showach”, czyli stawiającej mnie jako showmena w centrum debaty ilustrowanej filmowym reportażem. Miałem co do tego sporo wątpliwości. Choć oczywiście próżność robi swoje, więc gdy ci mówią, że jesteś najpiękniejszy – chętnie to słyszysz. Najpiękniejszy też byłem, póki płaciłem. Gdy się skończyło, nie było już dalszej współpracy...

Po tych doświadczeniach z dalszymi krewnymi, z żoną i z matką zresztą też, mogę powiedzieć samokrytycznie: szczęście może i mam, sęk w tym, że rodziny nie mam. Pisał Senior: *Widzę tę moją pustkę w stosunku do Jędrka; zaczynam się wprost bać, aby mnie nie prześcignął, przede wszystkim jako mężczyzna, i dlatego nie pomijam żadnej okazji do upokorzenia go i chociaż tak krytykuję Kazię za jej postępowanie z nim, sprzymierzam się z nią we wszystkich jej poczynaniach, znosząc się zarazem z nim potajemnie przeciw niej.* Ani ładne, ani dobre, ani mądre – dobrze tylko napisane, gdyż jak pisał Andrzej Kijowski w innym miejscu *Jakim Bogiem chciałbym być dla Jędrka? – Bogiem samoświadomości.* Czytelnicy „Oskarżonego” więcej rozumieją... Ja jednak dziś wiem tyle, że nic nie wiem o miłości. I kiedy oglądam ludzi sukcesu i słyszę, jakie podziękowania składają najbliższym pełnym poświęcenia żonom i współpracownikom, coraz lepiej rozumiem, iż nie są to adresy konwencjonalne. *Gdybych mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłości bych nie miał, stałem się jako miedź brząkająca albo cymbał brzmiący.*

Pierwszy cykl Logos: przyjęty, wyemitowany, rozliczony. W KBN-ie oceniono go raczej dobrze, zalecając jednak „ewentualną zmianę koncepcji programów, formę reportażu, zwiększenie dynamiki, realizację w laboratoriach, pracowniach, etc.”.

Wziąłem się więc do pracy. Czego efektem były dwa dokumentalne filmy.

Pierwszy poświęcony wybitemu krakowskiemu gastrologowi Stanisławowi Konturkowi. Ten dziekan wydziału lekarskiego i prorektor Uniwersytetu Jagiellońskiego opracował metodę bezinwazyjnego diagnozowania i terapii wrzodów żołądka. Odkrył, że ich źródłem nie są żadne kwasy, jak przez lata myślano, lecz

zakażenie spowodowane przez wirusa *helicobacter pylori*. Dzięki jego testom i zastosowaniu antybiotyków, osoby cierpiące latami mogły zostać wyleczone w ciągu siedmiu dni.

Drugi program z udziałem Jerzego Jedlickiego i Jerzego Szackiego poświęcony został profesorowi Januszowi Tazbirowi i dziejom polskiej tolerancji religijnej.

Umowę na drugi cykl podpisano już tylko na dwa programy. Z zaproponowanych tematów najbardziej interesującym był – w moim przekonaniu – program poświęcony astrofizyce i najciekawszemu chyba współczesnemu polskiemu uczonemu, czyli odkrywcy pulsarów Aleksandrowi Wolszczanowi. Ten jednak, stale zatrudniony na Uniwersytecie Stanowym w Pensylwanii, rzadko bywał w Polsce. Spotkanie z nim trzeba było zapowiedzieć na pół roku wcześniej. Umówiłem się zatem, w czym pomagał mi bliski polski współpracownik Wolszczana, profesor Andrzej Kuś. Umowę na drugi cykl programów miałem jednak podpisaną tylko na dwa programy. Miała określone terminy. Pewny, że materiał o Wolszczanie jest tak interesujący, że nikt go nie zechce pominąć – w pierwszej kolejności postanowiłem zatem zrealizować wspomniane filmy poświęcone profesorom Kon-turkowi i Tazbirowi.

A jednak. Nagle jakby coś tąpnęło. Czy to pierwsze programy stawiające mnie w centrum nie spodobały się specjalnie w telewizji publicznej, czy noszone przez Kichę według jego wiedzy i wycucia gmachu na Woronicza załączniki do kosztorysu nie trafiały do przekonania, dość, że mimo uprzejmego listu ówczesnego szefa KBN-u, a PSL-owskiego ministra Aleksandra Łuczaka do prezesa TVP, zarządzanej przez też PSL-owskiego Ryszarda Miazka, szefujący kanałem satelitarnym Leszek Wasiuta nie zgodził się na dalsze emitowanie mego cyklu.

I znów – kontrakt z KBN-u miałem, ale nie było emitenta. No, ale to nie były już pirackie czasy. Nawet czas antenowy miał już swoją cenę. Z największym trudem udało mi się uprosić Bogusia Chrabotę z Polsatu o wyemitowanie tych programów. Ten zachował się zresztą podobnie do Terentiewa. Tym razem miałem zasugerowanego nie operatora, lecz montażownicę. Z nią wiązała się emisja w ramach programów „Twój Lekarz” i „Czas na naturę”. Firma „Piotruś Pan” Piotra Górskiego (tego, co mnie oświecił, czym są służby Mosadu) też via żonę po-sła Kozakiewicza miała silne PSL-owskie powiązania, a na rynku robiło się ciasno. Miejsce i czas emisji urzędnikom z KBN-u też już się nie spodobały i summa summarum dowiedziałem się 24 lipca 1997 roku, że lepsze jest wrogiem gor-szego, czyli że po pierwsze primo „ze względu na wyczerpanie środków finanso-

wych z przeznaczeniem na promocję osiągnięć nauki w bieżącym roku”, po drugie zaś primo zrealizowane zgodnie z zaleceniami KBN-u filmy o Tazbirze i Konturku „prezentują niski poziom, np. niektóre ujęcia są źle czytelne, występują dłużyzny, słaba jest promocja ludzi nauki w wyprodukowanych filmach”. No cóż. De gustibus – et caetera. Filmy można oceniać jeszcze dziś. Jedno jest pewne – zostałem z ręką w... Wolszczanie.

Umówiony z poważnym profesorem nie umiałem przecież nagle odwołać całej akcji. I nie czekając na przedłużenie kontraktu, jeszcze wiosną zainwestowałem w ekipę, wyjazd, zdokumentowanie Muzeum Kopernika, Planetarium w Toruniu, nocne zdjęcia w obserwatorium w Piwnicach. Spędziłem dzień na korepetycjach astronomicznych u profesora Andrzeja Kusa.

To z jego ust, gdym go spytał o prawdopodobieństwo istnienia innych inteligencji we wszechświecie, usłyszałem zdanie, które po latach udało mi się zapisać poetycko w wierszu „Pulsary”

Nam „cicho siedzieć” rzekł astronom,
 Gdym go o gwiazd zapytał biegi.
 W ziemię spoglądać, krew, i ciało.
 Póki w nas jeszcze żyją wieki.



*A. T. Kijowski
 z Aleksandrem
 Wolszczanem
 w teleskopie
 w Piwnicach k/Torunia*

Nikt nie powiedział tego wprost. Ale z półsłówek, niedopowiedzeń można się było domyślić. No bo po co pan tak z tym Wolszczanem – napomykali urzędnicy. – Czyż nie mamy lepszych, acz nie docenionych, rodzimych uczonych? Tych z grona zasiadających dziś w licznych prywatnych szkołach zawodowych marco-

wych docentów, którzy – jak ironizował przed laty zmarły na paryskim bruku Jacek Bierezin – „wydali skrypt i dwóch kolegów”.

No a teraz... Wolszczan też wydał. I Kus się przyznał. Wszyscy upaprani. Moje zdjęcia butwieją w plastikowych pudełkach. Francuska telewizja „Planete” też ich nie zechciała, nie widząc sensu w promowaniu w Europie polskiego kandydata do Nagrody Nobla, który mógłby zagrozić ich własnym uczonym. Bo jednak Europa Europą. Lecz jest gdzieś także sprawa narodowa.

Ludzie tacy jak Wolszczan są darem niebios. Bez żadnej metafory. Zarówno w swoim anielskim wydaniu jak i szatańskim wcieleniu. Są zakładnikami szczęścia. Lecz ono nie jest raz na zawsze zagwarantowane. Szczęście trzeba cenić. W skrzyni zamykać. Wyciągać z niego korzyści dla siebie i innych. I rozumieć, że naród, który go nie ceni, rodzina, która się nie wspiera prędzej czy później obróci się przeciw sobie samej i nigdy nie przebije się do niebieskiej sfery.

XIV

SNOPKIEWICZ ALBO FALA

Z telewizji wyzuty, z firmą bez zamówień, tylko z tym jednym letnim teatrzykiem, który pozwalał przeżyć miesiące kanikuły i zachować też jakąś namiastkę publicznego istnienia, znalazłem się w roku 1997 w kłopotcie. Od likwidacji Polonii 1 w 1995 przed czwartym aż po szósty (zarazem ostatni związany z Dziekan-ką) Konkurs Teatrów Ogródkowych, coraz większe nadzieje łączyłem z tą działalnością. Jednak dwie zimy przetrwałem dzięki programom kręconym dla KBN-u. W drugiej serii mimo, że pracowałem już sam, na sprzęcie wynajętym od poznanego w Lapidarium Wróbla czyli Mirka Wróblewskiego, za to ze znakomitym operatorem dawnej kroniki filmowej Staszkiem Plewą, zarobiłem już mniej. Na dodatek część pieniędzy straciłem inwestując w realizację dwudniowych zdjęć w Piwnicach z Wolszczanem.



Jeszcze próbowałem trzymać się mediów. W ostatnim etapie Polonii 1 poznałem Stefana Truszczyńskiego, byłego szefa 1 programu TVP zajmującego się w tym momencie archiwami. Ten skontaktował mnie z zaproszonym przeze mnie do programów z cyklu „Telewizja w pokoju” Jackiem Snopkiewiczem. I panowie stwierdzili, że wykorzystają moje umiejętności ta-

niej i szybkiej pracy nabyte u Włochów. Snopkiewicz powiedział mi wprost, że po to, aby posiać trochę paniki w zbiurokratyzowanej Telewizyjnej Agencji Informacyjnej, której właśnie po raz drugi został szefem.

Mianowanego w październiku 2009 roku już po raz trzeci szefem pionów informacyjnych TVP Jacka Snopkiewicza osobiście poznałem bodaj w roku 1994.

Było to w warszawskim hotelu Mariott podczas promocji „Aqua Minerale”. Były szef TAI wciął lunch wraz z Aleksandrą Jakubowską. Ola (tak tak, przecież to koleżanka z mojego, Boniego, Urbańskiego, Marka Karpińskiego roku polonistyki) była już poza TVP. Pracowała ze mną w jednym koncernie. Jako naczelna redaktor afiliowanego przez Grauso przy „Życiu Warszawy” kobiecego pisma „Femina”. Snopkiewicz zmarginalizowany zaczynał tworzyć tzw. Akademię Telewizyjną, z którą ja z kolei byłem związany od 2007 do 2009 roku.

Snopkiewicza obserwowałem jednak od dawna. Zapamiętałem z telewizyjnej transmisji z IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR w czasie karnawału 1981 roku obraz energicznego 40-latka, delegata TVP, organizatora szukających porozumienia z „Solidarnością” tzw. partyjnych „struktur poziomych”. Potem oczywiście kontestatora, pierwszego szefa „Wiadomości” w „naszej” telewizji Andrzeja Drawicza.

Zaproszę go nie raz do mego programu w NTW, gdzie będzie o tych heroicznych czasach opowiadał. Jednak z czasem – coraz mniej swój, o czym boleśnie się przekonałem. Snopkiewicz pracy dla mnie nie miał czy nie chciał mieć, lecz zaproponował bym jako producent zewnętrzny wykonał trzy newsy dla wiadomości. Uzgodniliśmy tematy. Dotyczyły nowych bankomatów, jakichś systemów alarmowych, a także działań osłonowych dla likwidowanych województw w czym (również *con amore* czyli bez kasy) pomagałem Krzyškowi Murawskiemu, który został właśnie wicedyrektorem departamentu struktur państwa w zlikwidowanym przez rząd PIS-u w 2006 roku Rządowym Centrum Studiów Strategicznych. Gdzieś pędziliśmy, gdzieś podwoziłem Truszcza w okolice Otwocka, by w momencie szczerości usłyszeć:

– *Podoba mi się twoja firma, podoba mi się twój samochód, w ogóle ten układ mi się podoba.*



*J. Snopkiewicz, J. Onyszkiewicz, M. Chojceki,
A. Drawicz i A. T. K.*

A układ był najprostszy. Pogonić „kota”! Jeśli sobie taki facecik, co pracował w telewizji u pirata wyobraża, że może być producentem czy choćby pracownikiem wielkiej państwówki, to niech się na własnej skórze przekona, poparzy paluchy – przestanie przynudzać. Na kontaktach z tymi pozał się Boże fachow-

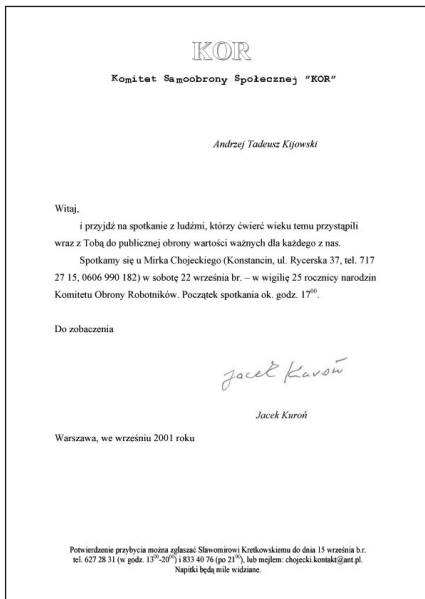
cami, na wynajmie kamery, montażu trzech newsów, których pewnie nawet nie obejrzano, nie mówiąc o skierowaniu do emisji czy zwrocie kosztów, jakichś innych przysługach straciłem dobrych kilka tysięcy złotych, potraktowany jak rekrut przez „fałę”... Z Włoch wyniosłem inne doświadczenia ale – co kraj to obyczaj.

Ten czas poczynając od roku 1997, całe to czterolecie nieprzerwanej aż po rok 2001 kadencji Jerzego Buzka i AWS-u, w pierwszym odruchu potraktowałem jako powrót do władzy formacji obywatelskiej, która wywalczyła wolną Polskę. Ten czas przyjdzie dziś nazwać okresem schyłku. Schyłku wieku, tysiąclecia i początku końca naszych marzeń. Rok 1997 to przecież także uchwalenie 2 kwietnia Konstytucji RP z przypominanym przeze mnie z katońskim uporem artykułem 54 pkt. 2 sankcjonującym koncesjonowanie, a zarazem znaczącym kres wolności mediów elektronicznych w Rzeczypospolitej. Był to zarazem koniec moich związków z mediami. Zdecydowałem się na rolę urzędnika.

Wtedy w 1998 roku wygrałem konkurs na Dyrektora Szpitala Świętego Ducha. Utrzymałem się na stanowisku bodaj z pół roku. Padłem na froncie politycznej utarczki reformowanego samorządu, wchodząc w konflikt z inercją instytucji kultury. Krótka, ledwie trzy miesiące końca roku 1999, dane mi było pracować w niszczonej przez „naszych” Centrum Prasowym Polskiej Agencji Informacyjnej, gdzie poznałem siłę destrukcji, którą wnoszą połączeni w tandem Krzysztof Czabański z wslawionym w walkach z Wałęsą Krzysztofem Wyszkowskim.

Nie wiele dłużej, rok bodaj (na przelomie 2000/2001) dane mi było wykladać w Wyższej Szkole Dziennikarstwa, skąd trzeba było odejść niemal w dzień po zwolnieniu rektora Antoniego Kamińskiego. Ostatnią moją medialną posadą było zarządzanie w tym samym sezonie – po Andrzeju Goszczyńskim i Joli Kessler – Centrum Monitoringu Wolności Prasy przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich.

We wrześniu 2001 lizałem w Ołtarzach finansowe rany po X Konkursie. Nic mi nie przyszło z tych czterech lat rządów, których ideę najlepiej jednak podsumował Jarosław Kaczyński hasłem TKM. (Teraz K..., My). Niestety, choć czasem rzucę grubym słowem, nie byłem się już w stanie z tym zaimkiem utożsamiać. Od Mirka Chojeckiego otrzymałem podpisane przez Jacka Kuronia zaproszenie do Konstancina na 25-lecie KOR-u. Spotkanie odbywało się na dzień przed wyborami, w których na kolejne cztery lata władza została oddana w ręce cynicznych aparatczyków spod znaku baronów Leszka Millera. Stopniowo wyzbywałem się złudzeń.



Chojecki właśnie tworzył ostatnie, jeśli nie jedyne w pełni udane dzieło swego życia czyli neo-ZBOWiD pod tytułem „Stowarzyszenie Wolnego Słowa”. Do organizacji się zapisałem. Kwit Kuronia wśród papierów do przyszłej renty czy emerytury trzymam. Tańczyć i pić na ruinach marzeń o III Rzeczpospolitej nie byłem już w stanie. Zostałem z gęsiami w Ołtarzach-Gołaczach, póki nie zostałem wezwany przez ówczesną żonę Mirka, czyli Jołę Kessler.

Wróciłem do Warszawy by – początkowo jako zastępca dzisiejszej pani konsul w Szwajcarii – kontynuować dzieło Andrzeja Goszczyńskiego, twórcy CMWP. Zaangażowałem się w tym czasie w działania związane z przygotowywaną przez Rząd Millera „Ustawą medialną”. Naturalną, acz nigdy nie artykułowaną konsekwencją uchwalenia punktu drugiego artykułu 54 Konstytucji było wszak dążenie do spetryfikowania mediów. Działania szły trójtorowo. Z jednej strony w kręgach lewicy i ludzi Roberta Kwiatkowskiego pojawiły się głoszone przez Jacka Snopkiewicza, także w moich programach z cyklu „Telewizja w pokoju”, głosy o konieczności ograniczenia dostępu do zawodu dziennikarza. Czyli stworzenia rodzaju zawodowej gildii chroniącej mistrzostwo, lecz także dostępu niepowołanych do środków masowej komunikacji.

Inni, z twórcami Centrum Monitoringu Wolności Prasy: Andrzejem Goszczyńskim i profesorem Andrzejem Rzeplińskim tworząc swój projekt „Ustawy

o prawie do informacji” marzyli sobie urząd wielkiego inkwizytora, zaopatrzonego w kompetencje wykonawcze, którego zgodnie z poetyką ministerstwa Orwella nazwali: Rzecznikiem Wolności Informacji.

Wreszcie, nazwana tak przez Lwa Rywina Grupa Trzymające Władzę dążyła do takich zmian w ustawie medialnej, które ograniczą prywatną własność i zmniejszą konkurencję w mediach.

Z afery Rywina pozostała kwestia „czasopism” i telewizji dla Michnika. Jednak podczas dyskusji nad nowelizacją Ustawy o Radiofonii i Telewizji najważniej trzeba się było też przyglądać zapisom dotyczącym tzw. multipleksu i prób jego koncesjonowania. Przedstawiciele telewizji kablowych słusznie już wtedy zwracali uwagę, że proponowane zapisy dotyczące tej sfery stanowią naruszenie prawa handlowego i ingerencję w zasady gry wolnorynkowej. Przede wszystkim jednak mogą się okazać wstępem do regulacji rynku internetowego. Rynku, który już jest przekąźnikiem radia i prasy, a w coraz większym stopniu także i telewizji, a który wraz z pojawianiem się nowych, niekomputerowych, powszechnie dostępnych i tanich końcówek internetowych (dekodery cyfrowe, czytniki e-book i mp3) staje się dziś praktycznie totalną formą dystrybucji słowa, dźwięku i obrazu.

Rynek internetowy będzie się musiał, co naturalne, skonsolidować i skoncentrować. Jednak tutaj, podobnie jak na rynku cyfrowych częstotliwości satelitarnych, nie można już mówić o jakimkolwiek limicie dostępnych kanałów dystrybucji, które sankcjonowałyby ich koncesjonowanie.

Obrona swobody rynku internetowego, prywatnej własności, zabezpieczenie prawa do swobodnego wyboru informacji i nieograniczonego prawa jej udzielania, odrzucenie jakichkolwiek koncesji na rynku mediów elektronicznych, jest jedyną formą uchronienia demokracji, tego, co własne, czyli – nasze.

Sesję poświęconą Ustawie medialnej z udziałem Roberta Kwiatkowskiego i Piotra Niemczyckiego, współorganizowaną przez kierowane przeze mnie Centrum Monitoringu Wolności Prasy, z Jankiem Skórzyńskim, ówczesnym zastępcą redaktora naczelnego „Rzeczpospolitej” zorganizowałem już z pomocą Kasi Synowiec, którą w pewnym sensie otrzymałem w spadku od premiera Buzka.



Andrzej Goszczyński
(ur. 1957
– zm. 2006)

W trakcie drugiego czy trzeciego pobytu w Częstochowie premier nagle zmienił plany i okazało się, że muszę wracać do Warszawy pociągiem. BOR-owy kierowca odwiózł mnie uprzejmie na dworzec. Wskoczyłem w ekspres niemal w biegu, by w przedziale spotkać kolejne wcielenie Hermiony, czyli przystojną, ambitną, rezolutną Katarzynę Synowiec, jak się po kilku minutach rozmowy okazało, studentkę nauk politycznych w Warszawie.

Pociąg pędził jak burza. Nadzieje wracały – jak fala...

AKT TRZECI

KATASTROFA Z MEDIAMI

XV

STEFAN BRATKOWSKI

czyli nieprzyzwoitość

Najprościej byłoby powiedzieć, że stałem się pierwszą ofiarą afery Rywina, od której genesis, czyli 15 lipca 2002 (notabene daty mych 48 urodzin) dzielą nas w momencie poznania panny Kasi jeszcze jakieś dwa miesiące. Powody są jednak prostsze i mają osadzenie w etyce.

Dyrektorem Centrum Monitoringu zostałem po wyjeździe Joli Kessler, której SDP powierzyło tę funkcję po odwołaniu ze stanowiska Andrzeja Goszczyńskiego.

Ten stosunkowo młody jeszcze, lecz ciężko i nieuleczalnie chory dziennikarz i ekspert w dziedzinie wolności słowa, przy ogromnym udziale profesora Andrzeja Rzeplińskiego z Fundacji Helsińskiej stworzył tę instytucję i wyposażył w spore środki uzyskane głównie z zagranicznych fundacji COLPI oraz Sorosa. Panowie powołali też Radę Programową, która działając jednakowoż pod auspicjami biednego naonczas jak mysz kościelna Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich (czyli tych, co w odróżnienie od SDP-RP, a wcześniej SD-PRL, nie złożyli w stanie wojennym deklaracji lojalności) prowadziła swoją i nie do końca zgodną ze stanowiskiem Stowarzyszenia politykę w sprawie projektu ustawy „O dostępie do informacji”. Jak już wspominałem, Goszczyński lansował dyskusyjny projekt powołania funkcji Rzecznika Dostępu do Informacji, na które to stanowisko profesor Rzepliński (notabene późniejszy kandydat na rzecznika praw obywatelskich) miał sporą ochotę. Wszystko to niekoniecznie podobało się Zarządowi SDP.

Konflikt jak konflikt. Rzecz w demokratycznym kraju normalna. Goszczyński jednak drażnił, gdyż przy skutecznej pomocy Rzeplińskiego umiał zdobywać pieniądze. No i umiał się promować. W latach 1996–2001 o CMWP było głośniejsze i działało ono zdecydowanie skuteczniej od stetryczalego Stowarzyszenia Dziennikarzy Przyzwoitych, jak tę organizację jej honorowy prezes Stefan Bratkowski lubił nazywać.

Można było współpracować. Goszczyńskiemu oczywiście było potrzebne Stowarzyszenie ze swoją marką. Stowarzyszenie mogło korzystać z pasji człowieka, który bez reszty poświęcił się sprawie. To się jednak nie mieści w polskim obyczaju. Tu każdy sobie, a główną motywacją jest zawiść. Znowu trzeba zacytować mistrza Młynarskiego:

*Ja to zwłaszcza się oburzam,
Szajba skręca moją kibic
Kiedy widzę ludzi, którzy
Jak to mówią, chcą się wybić.
Kiedy zauważam to
cały chodzę – o! {...}*

*Dodam jeszcze fakt istotny,
Że z tą szajbą, że z tą zadrą
Nie pałętam się samotny.
My tworzymy zwarte kadry
Wspólna szajba nas jednoczy.
Wspólny cel niezmiennie świeci.
A niech tylko kto wyskoczy –
my go zaraz – sami wiecie...
Czasem dłużej ktoś wyskoczy
trudno dopaść go – Heroda!
Lecz przy dobrej woli krzynie
Zawsze znajdzie się metoda...*

Summa summarum – Andrzej Goszczyński został przez Zarząd Organizacji, w której imieniu skutecznie o środki występował, odwołany. To z trudem ale można zrozumieć. Później jednak oczerniano go, obmawiano w sposób w moim przekonaniu wysoce niesprawiedliwy. Prosta zawiść wobec człowieka-instytucji motywowała Krystynę Mokrosińską pełniącą funkcję prezesa i Stefana Bratkowskiego, uważającego siebie za najwyższy autorytet moralny w tym kraju.

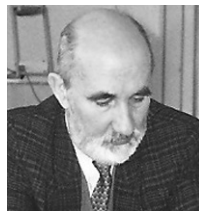
Powołana na miejsce Goszczyńskiego Jola Kessler poprosiła mnie o zastępstwo wiedząc, że mam pojęcie zarówno o księgowości jak i o Internecie, wiem co to promocja – słowem w swoim ogródku nawykłem tak samo działać, jak pan

Andrzej w swoim Centrum. Początkowo jako zastępca Joli, później, gdy wyjechała na placówkę do Berna już jako szef, punkt po punkcie z narastającym szacunkiem oglądałem efekty pracy tego wspaniałego człowieka. Oczywiście było tam trochę bałaganu. Nawet księgowo błędy czy nieformalności, na jakie bym sobie nie pozwolił. No tak, ale ja miałem już za sobą obcowanie z machiną urzędniczą zburokratyzowanego samorządu. Tu wszystko robiono w dobrej wierze. Ale nie wypłacono sobie ani jednej nieuczciwie zapracowanej czy nienależnej złotówki.

To bolało. Bolało tych, co wiedzą, że nie dość zniszczyć. Trzeba jeszcze zatańczyć na grobie. Tylko, że ten grób był już zdecydowanie bliżej. Goszczyński był przecież chorym na stwardnienie rozsiane inwalidą. Poruszał się na wózku. Samochodem dla niepełnosprawnych. Tylko Centrum trzymało go przy życiu.

Nigdy nie zapomnę tego zebrania Stowarzyszenia Dziennikarzy bez przymiotnika, na którym przyjmowano mnie w skład korporacji. Rozejrzałem się po geriatrycznej sali. Jedynymi osobami, które mogłem poprosić o rekomendację byli...Krysia Gucewicz i Stefan Truszczyński. To wystarczająco chyba charakteryzuje zgromadzenie. Gdzieś u szczytu sali miotła się, jak pilna uczennica przy tablicy, aspirująca do Zarządu Agnieszka Romaszewska. Krysia Mokrosińska coś apodyktycznie perorowała do otaczającej ją telewizyjnej grupki nacisku. Andrzej Jonas w odwrocie. Jurek Kisielewski ślał jak zwykle swe piękne uśmiechy. Ot, zwyczajne zebraniowe zachowania stadne. Ani piękne, ani naganne. I w tym wszystkim na mównicę wkracza autorytet, guru, przewodniczący honorowy – Stefan Bratkowski.

W swojej przemowie jak zwykle pełnej paralogizmów, chucpy, buty i niczym nieuzasadnionej autorytatywności, pan Stefan posunął się naraz do trudno powiedzieć czy bardziej moralnie czy prawnie gorszącego stwierdzenia. Oświadczył otóż nawiązując do zmian we władzach Centrum Monitoringu Wolności Prasy, że Zarząd SDP złożyłby na Andrzeja Goszczyńskiego doniesienie do prokuratury, gdyby nie fakt... jego ciężkiej choroby! Takie stwierdzenie publiczne jest oczywistym przestępstwem. I to dwojakiego rodzaju. Albo bowiem się kogoś oskarża narażając na naruszenie art. 212. KK penalizującego obmowę, albo o czym uważający się za prawnika Bratkowski powinien wiedzieć,



*Stefan Bratkowski
w CMWP (2002)*

niezgłoszenie przez organizację społeczną zawiadomienia o przestępstwie narusza § 2 art. 304 KPK.

Cóż, niech to zostanie wyraźnie powiedziana. Pan Goszczyński był istotnie inwalidą. I w jego zachowaniach znać czasem było tego ślady. Jednak badając posunięcia finansowe poprzednika, wraz z biegłymi księgowymi nie znalazłem plam większych niż w życiorysie Stefana Bratkowskiego, któremu się wydaje, że skoro w stanie wojennym wydając swą słynną „Gazetę Dźwiękową” zachowywał się jak 90% społecznych elit względnie przyzwoicie – nikt już mu nie przypomni, iż w latach 60. i 70. zeszłego stulecia należał wraz ze swym bratem Andrzejem do 3% partyjnych karierowiczów!

Był bliskim współpracownikiem „Polityki” i późniejszego współtwórcy stanu wojennego, Mieczysława F. Rakowskiego. Członkiem egzekutywy PO PZPR przy Związku Literatów Polskich. Z PZPR zresztą nigdy dobrowolnie nie wystąpił. Został z niej w 1981 roku dyscyplinarnie wyrzucony, co świadczy wyraźnie, że jego wizja narodowej swobody nie wykraczała poza tzw. partyjny rewizjonizm. Przed narodzeniem „Solidarności” nie było mu też w głowie współpracować z Komitetem Obrony Robotników (KOR) czy choćby Towarzystwem Kursów Naukowych (TKN). współtworzył jedynie infiltrowane przez władzę, legalistyczne i chcące władzę wspierać rozsądną, umiarkowaną krytyką Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”. Korzeni tego ostatniego trzeba pewnie szukać we współtworzonym jeszcze przez tak znakomitych agentów jak Jerzy Urban „Klubie Krzywego Koła”, działającym w październiku 1956 roku. Wszystkie te organizacje nie należały może do najmniej przyzwoitych, jednak miały zdecydowanie więcej cech internacjonalistycznych niż patriotycznych, a o sympatie do zasad wolnorynkowych też trudno je podejrzewać.

Nie sądźcie abyście nie byli sądzeni. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że Andrzeja Goszczyńskiego zaszcuzo. Trudno powiedzieć, czy przyspieszono jego pewnie nieuchronną śmierć. Z pewnością zatruto mu ostatnie lata młodego jeszcze życia. A organizując nagonkę na tego Pamiętnego Człowieka, honorowy prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich zdemaskował się jako człowiek wysoce nieprzyzwoity.

XVI

MOKROSIŃSKA
czyli Ciotka Rewolucji

Z Krysią Mokrosińską było prościej. Pierwszy raz zaiskrzyło między nami już po trzech miesiącach mojej pracy. W dużej mierze polegała ona na kontynuowaniu redagowania świetnie rozpoczętej przez Goszczyńskiego strony internetowej. Pani prezes odkryła ze zdumieniem, że na archiwalnych stronach Centrum znajdują się teksty pana Goszczyńskiego, wywiady, których udzielał jako dyrektor CMWP włącznie z tymi, w których broni się przed stawianymi mu przez Zarząd SDP zarzutami.

Wtedy okazało się, że jednak należymy z Krystyną do innych światów. Dla mnie wycinanie przeszłości, jakkolwiek operacja na historii, jest działaniem w istocie orwellowskim, grzechem pierwotnym, fałszerstwem. Dla niej i pewnie dla większości pobratymców sienkiewiczowskiego Kalego:



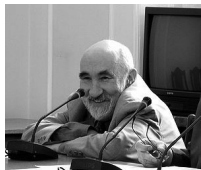
*Krystyna Mokrosińska
w CMWP*

„wolność prasy jest wtedy, gdy my mamy prawo głosu, a naszym przeciwnikom też wolno – ale cicho siedzieć”. Zaszokowani byliśmy oboje. Ja tym, że otrzymałem polecenie służbowe usunięcia inkryminowanych stron. Krystyna, zdaje się, że musiała je wydać.

Moja niezgoda czy raczej opór (polecenie służbowe nolens volens przecież wykonałem) wobec stosowania bolszewickich metod zafalszowywania (choćby instytucjonalnej) historii były pierwszym sygnałem rozdzwięku. Drugi był wtedy, gdy w czasie nieobecności Krystyny bawiącej w Alpach na nartach wybuchły niemal razem kwestia ustawowego zakazu telewizyjnej koncesji dla Agory i paszportu Grzegorza Gaudena. Przygotowałem w tej sprawie łączne stanowisko moje czyli dyrektora, które skonsultowałem jednakowoż z honorowym prezesem SDP i przewodniczącym Rady Centrum, Stefanem Bratkowskim. W odpowiedzi

usłyszałem od tego samoustanawiającego się „sumienia dziennikarstwa polskiego”, że przedstawiciela norweskiej spółki bronię rzecz jasna słusznie, lecz Michnika żebym sobie odpuścił, bo to komunista! I wszystko sobie sam załatwi z Kwachem. Tak powiedział facet, który szlał się z Rakowskim po Komitecie Centralnym PZPR o człowieku, który w tym czasie spędzał lata w więzieniach.

Ręce opadły mi po raz kolejny. Tymczasem kierując Centrum miałem poczucie poruszania się po spalonej ziemi. Dotychczasowi sponsorzy, zrażeni szumem prasowym na temat sytuacji w Centrum, nie byli skorzy do kontaktów. Tym niemniej w ciągu półrocznej pracy zorganizowałem dwie konferencje, z których pierwsza „Sprawy prywatne i sprawy publiczne z GIODO” odbyła się w Sejmie 27 marca 2002, druga „Niezależność mediów, a interes publiczny” zaplanowana została na 11 kwietnia 2002. Współorganizatorem tej ostatniej była „Rzeczpospolita”. Zorganizowałem ją w siedzibie Centrum przy Świętojerskiej, w Sali Instytutu Wzornictwa Przemysłowego. Przy ogromnej pomocy zatrudnionej w Centrum jeszcze przez Jolę Kesler Basi Karczewskiej i praktykującej przy tym zdarzeniu pani Kasi Synowiec.



Stefan Bratkowski

W dyskusji na temat „Nadzór nad mediami: zagrożenie czy rzeczywistość?” wzięli udział: Piotr Niemczycki (Agora), Kazimierz Gródek (RMF FM), Edward Mischak (TVN), Jerzy Baczynski („Polityka”), Robert Bogdański (PAP); na temat „Ustawy o radiofonii i telewizji: nowelizacja czy centralizacja?” wypowiadali się: Robert Kwiatkowski (TVP), Bogusław Chrabota (Pol-sat), Robert Kozyra (Radio Zet), Agnieszka Romaszewska (Centrum Monitoringu Wolności Prasy), Marek Borzestowski (Wirtualna Polska). Dyskusję współprowadzili Janek Skórzyński – zastępca redaktora naczelnego „Rzeczpospolitej” oraz Krystyna Mokrosińska (Prezes SDP).



Basia Karcewska

To właśnie tam i wtedy Kazimierz Gródek zarzucił sekretarzowi KRRiTV Włodzimierzowi Czarzastemu wykorzystywanie władzy do wpływania na strukturę własnościową mediów.

Rozpoczęta została akcja zbierania podpisów pod zgłoszonym przeze mnie w uzgodnieniu z Niemczyckim, Skórzyńskim i mec. Birke tekstem apelu do

posłów, senatorów, prezydenta i premiera RP o nie uchwalanie nowelizacji ustawy o radiofonii i telewizji w zaproponowanym brzmieniu. Wzywaliśmy w zamian o uchwalenie tzw. Małej Nowelizacji Ustawy o Radiofonii i Telewizji. Polegała by ona na wykreśleniu z nowelizacji wszystkich spornych zmian i przyjęciu tylko tych, które:

a) są konieczne ze względu na harmonizację ustawy z przepisami Unii Europejskiej i dokładnie w takiej formie (tzn. definicje europejskości, przepisy dotyczące zawartości europejskiej, lokalizacji i jurysdykcji) i

b) nie budzą żadnych sprzeciwów czy wątpliwości.

Sygnatariusze apelowali też o wyjaśnienie sytuacji zaistniałej w „Rzeczpospolitej”. W sytuacji konfliktu pomiędzy skarbem państwa będącym mniejszościowym udziałowcem i prywatnym, większościowym udziałowcem zagranicznym, trzem członkom zarządu zabrano paszporty, zakazano opuszczania kraju i zastosowano wobec nich dozór policyjny. Działania takie sugerowały, że skarb państwa posiadając pośrednio 49% w „Rzeczpospolitej”, zamierzał uzależnić ten dziennik od władz.¹

CMWP SDP powołane zostało w 1996. W sytuacji diametralnie już różnej od tej, jaką zastałem w roku 2002. Powstało w sytuacji, w której najkrócej rzecz ujmując nie było w Polsce pełnych podstaw prawnych dla funkcjonowania wolnej prasy, *była jednak coraz słabiej ale wyczuwalna atmosfera przyzwolenia na realizację tej wolności.*

Ówczesną (i obecną) sytuację mediów oceniam jako przeciwną. *Istnieją wprawdzie już ustawy składające się na demokratyczny ład medialny, ale wyczuwalna jest chęć manipulowania w tym obszarze.* Sprzyjała temu atmosfera międzynarodowa po 11 września 2001 roku i polska wewnętrzna atmosfera polityczna, która pokazuje iż wszystkie, poczynając od rządu Leszka Millera,

1 Apel podpisali: 1. Krystyna Mokrosińska – Prezes SDP; 2. Jerzy Kisielewski – ZG SDP; 3. Andrzej Tadeusz Kijowski – Dyrektor Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP; 4. Piotr Niemczycki – Agora S.A.; 5. Kazimierz Gródek – RMF FM; 6. Jan Skórzyński – Rzeczpospolita; 7. Jerzy Baczyński – Polityka; 8. Barbara Górka – RMF/FM; 9. Nina Makowiecka – ZG SDP; 10. Jolanta Łopuszyńska – ZG SDP; 11. Senator Krzysztof Piesiewicz – Rada Konsultacyjna CMWP SDP; 12. Marek Borzestowski – Wirtualna Polska; 13. Marek Michalski – Agora S.A.; 14. Janina Dajcz – M&SFDupont; 15. Maciej Tyśnicki – Gazeta Wyborcza; 16. Barbara Rogalska – ZG SDP; 17. Maciej Jankowski – Do Media; 18. Robert Kozyra – Radio Zet; 19. Teresa Bochwic – SDP; 20. Anna Druszcz – Agencja East News; 21. Anna Małcużyńska – Agencja East News; 22. Marian Rosik – Instytut Wzornictwa Przemysłowego; 23. Wanda Nadobnik – TVP; 24. Magdalena Bajer – PR; Rada Etyki Mediów; 25. Robert Bogdański – Polska Agencja Prasowa; 26. Maciej Łukasiewicz – Rzeczpospolita; 27. Adam Wojdyło – Presspublica; 28. Henryk Wujec – Unia Wolności; Rada Konsultacyjna CMWP; 29. Małgorzata Kowalska-Orkla – Rzeczpospolita; 30. Agnieszka Romaszewska – SDP.

ekipy władzy dążyły i dążą do stworzenia silnego, podporządkowanego sobie centrum medialnego.

Zaangażowałem zatem Centrum w prace nad powołaniem Polish Democracy Coalition, która miałaby swoje odpowiedniki w innych krajach unijnych i tych znajdujących się w trakcie procesu akcesyjnego. Podkreślałem, że w szczególności skupić się należy na Internecie – dziedzinie jeszcze nie dotkniętej centralistycznym i koncesyjnym działaniem rządu. Miałem też zamiar działać na rzecz popularyzacji ustanowionej w 2001, a obowiązującej od stycznia 2002 „Ustawy o dostępie do informacji” poprzez realizację dewizy:

JAWNE JEST WSZYSTKO, CO NIE UTAJONE. Służyć miała temu organizacja akcji, którą pragnąłem nazwać: Obywatelska Pajęczyna.

Napsulem papieru. Nagadałem się i nauczyłem mnóstwo w rozmowach z niezwykle kompetentnym znawcą prawa prasowego mecenasem Janem A. Stefanowiczem.

Chodziło mi o decentralizację procesu, a nawet tworzenie alternatywnego ruchu wokół zarządzania informacją. Myślałem o informatyzacji poprzez zapewnienie jej jawności. Chciałem tworzyć równoległe z rządowym BIP-em społeczny – jak go nazywałem – BIS, czyli Biuletyn Informacji Społecznej. W gruncie rzeczy antycypowałem wtedy działania jakie proponuje się obecnie blogerom, dublującym np. działania śledczych komisji sejmowych.

Naiwość polegała na tym, że zwracałem się do środowiska. Środowiska jak się okazuje po prostu nieistniejącego. Dziennikarze czy ci, którzy się za nich uważają, stanowią dziś kolejne pokolenie młodzieży kształconej przez samozwańcze autorytety, często cyników nie rozróżniających moralności politycznej od prostej etyki. Ludzi zagubionych wśród zasad. To pewnie nieunikniona cena życia po wielkim przełomie. Karier zrealizowanych w wyniku dobrego obstawienia politycznego konia. Dzielenia świata na „naszych” i „cudzych” według kryteriów bliżej nieokreślonej lojalności.

W rezultacie jak powszechnie wiadomo, wszelkie zawodowe korporacje służą same sobie i satysfakcji kilku osób, które zyskawszy dzięki nim prestiż i stanowisko, mają na pieczy tylko (nawet niekoniecznie ekonomiczny) interes: często jedynie własne dobre samopoczucie.

W latach 50. zeszłego stulecia ukuto określenie „ciotki rewolucji”. Jak pisze Zdzisław Zblewski² sformułowanie używane głównie w pierwszej połowie lat 50.,

2 Zdzisław Zblewski „Leksykon PRL”, Wydawnictwo Znak, Kraków 2000

przede wszystkim wśród działaczy komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej, na określenie weteranek ruchu robotniczego, legitymujących się stażem rewolucyjnym co najmniej od czasów Komunistycznej Partii Polski, a ówczesnie zajmujących wysokie stanowiska w aparacie PZPR i manifestujących swoje bezgraniczne (i bezrefleksyjne) oddanie dla ruchu komunistycznego. Czołową reprezentantką swoistej dewocji materialistycznej była p.o. kierownika Wydziału Nauki KC PZPR Zofia Zemanek, którą ostatni redaktor naczelny tygodnika „Po prostu”, Ryszard Turski, scharakteryzował w swoich wspomnieniach jako [...] „babę nie znającą pardonu”.

Krystyna Mokrosińska ma niewątpliwe zasługi w dziedzinie telewizyjnej dokumentalistyki, którą przez lata zarządzała. Nie mogę się jednak oprzeć wrażeniu, że powyższą charakterystykę Turskiego do jej wcielenia „Mokrochy” trzecią już kadencję prezydującej Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich można spokojnie odnosić.

Gdy w czerwcu SDP podziękuję mi ostatecznie za pracę, stwierdzi Krysia bez żadnej żenady, że właśnie naprawiła słuchawkę telefonu, którą w trakcie tamtej styczniowej (dotyczącej ocenzurowania stron internetowych CMWP) rozmowy rozwaliała z wściekłości o ścianę.

Szala przechyliła się ostatecznie jeszcze przedtem, nim przyszedł Rywin do Michnika. Moje miejsce zajął zasiadający zarazem w mającym kontrolować CMWP Prezydium SDP Jurek Kisielewski. Ale krótź by się takimi detalami przejmował...

Przemily Jurek długo zresztą też nie wytrwał z Krystyną w symbiozie. Podobnie jak kolejny dyrektor Andrzej Krajewski. Szczególnie, że ten ostatni zaczynał pozyskiwać środki i także pragnął „wybić się na niepodległość”.

XVII

ROK LWA czyli GTW

Najważniejszym rokiem mego życia był niewątpliwie rok 1981. Gdy się skończył 13 grudnia, zaczął się rok 1982 – bodaj najsmutniejszy. Udałem się wówczas do funkcjonującego wciąż pod dyrekcją Hanuszkiewicza Teatru Narodowego na „Pana Tadeusza”. Zofia Kucówna mówiła wstęp do księgi XI. „O roku ów...”. Płakałem rzewnymi łzami. Tak rzewnymi, że od tego dnia po dzisiejszy bywałem u dyrektorów Toronczyka i Skotnickiego na zapleczu, we foyer, ba nawet produkowałem spektakl na Scenie Przy Wierzbowej. Ale progę głównej sali Teatru Narodowego nie przekroczyłem. Jakoś się nie złożyło... Drugim takim czasem, drugą wiosną było opisywane tu piętnastolecie, które zaczęło się po roku 1989 – „dotąd lubią starzy o tobie bajać, dotąd pieśń o tobie marzy”. Kiedy zaczął się zmierzch? Bodaj czy nie w równe dwadzieścia lat później. W roku 2002. Z rokiem Lwa.

Do tego czasu żyłem jakby w natchnieniu. Uszczęśliwiony 4 czerwca 1989 nieoczekiwaną wolnością, paszportem, komputerem. Poczuciem cywilizacyjnego przybliżania się do zachodu. Tak trwało, gdzieś do (licząc mymi datami) końca X jubileuszowego KTO. Który był wielkim (oczywiście w mojej skali) sukcesem medialnym, a zarazem rozpoczął proces ostatecznego rugowania podobnych mi, nie do końca oswojonych „solidaruchów” z życia publicznego. Nie zapominajmy, że po nieudolnych próbach zaimplantowania czterech buzkowych reform, wahadło wyborcze przesunęło się tak zdecydowanie na lewo, że w miejsce nieudaczników i zawistników (warto przypomnieć smutny los wicepremiera Tomaszewskiego) naród wybrał szajkę, którą Lew Rywin nazwał jednoznacznie Grupą Trzymającą Władzę.

Jako dyrektor CMWP byłem w te sprawy dość głęboko wciągnięty. Obserwowałem jak rząd Millera starał się przejąć kontrolę nad „Rzeczpospolitą” (dysponował w niej 49,9% udziałów) posuwając się nawet do próby odebrania

paszportu Grzegorzowi Gaudenowi, prezesowi polsko-norweskiej spółki „Prepublika” wydającej gazetę. Z drugiej strony z zapisów przygotowywanej ustawy prasowej miało wynikać, że wydawca dużej gazety (czytaj Agora wydawca „Gazety Wyborczej”) nie może być właścicielem częstotliwości telewizyjnej.

W ustawie były moim zdaniem dużo gorsze rzeczy. Wspominałem już o tym, że w projekcie nowelizacji „Ustawy o radiofonii i telewizji” przyjętym przez Krajową Radę Radiofonii i Telewizji na posiedzeniu w dniu 14 stycznia 2002 roku uważałem w szczególności przypominający komunistyczną frazeologię zapis, iż:

Art. 36. 2. Koncesji nie udziela się, jeżeli rozpowszechnianie programów przez wnioskodawcę mogłoby spowodować: 1) zagrożenie interesów kultury narodowej, dobrych obyczajów i wychowania, bezpieczeństwa i obronności państwa oraz naruszenie tajemnicy państwowej.

Jeśli ten skierowany w intencji przeciw faszystom i anarchistom zapis, nie stanowi w istocie otwarcia drogi dla cenzury prewencyjnej, to ja nie jestem synem autora Rezolucji Pisarzy z 29 lutego 68 roku opowiadających się przeciw tej instytucji.

Ani jednak poseł Juliusz Braun, ani Stefan Bratkowski, nie mówiąc o zajmującej się „Ustawą” z ramienia ministerstwa kultury Aleksandrze Jakubowskiej, którym na zapis ten zwracałem uwagę nie chcieli dostrzec problemu. Podobnie jak i cała, słownie cała prasa, od „Gazety Wyborczej” poczynając, poprzez w kolejności „Newsweek”, „Wprost”, wreszcie „Politykę” – nikt nie chciał opublikować poniższych wywodów. Przepis ten, też bez jednego słowa protestu, został ostatecznie w 2004 przez Sejm IV kadencji uchwalony i przez ówczesnego marszałka Oleksego wprowadzony. Obowiązuje i nikomu to nie przeszkadza. Nikomu nie przeszkadza, że zniesiona została tym samym wolność mediów. Media oddane zostały w ręce medialnych oligarchów.

Wtedy zrobiono to wprost. Jak się bowiem przekonałem, dostrzeżony przeze mnie dopiero w 2002 roku art. 36 wcale nie był nowy. Towarzyszył wszystkim wersjom ustawy od dnia jej uchwalenia, tzn. od 29 grudnia 1992 roku. Wcześniej nawet. Jak bowiem stwierdził, uzasadniając w tym dniu konieczność uchwalenia przedłożenia poseł Juliusz Braun, było ono „wersją projektu posłów Bieleckiego (Jana Krzysztofa) i Merkla (Jacka) przygotowaną przez Komisję Kultury i Środków Przekazu Sejmu X kadencji z czynnym udziałem przedstawicieli Radiokomiteu reprezentujących Rząd.”. Tych projektów było pięć.

Cytowany zapis pojawił się po raz pierwszy, by wejść do wszystkich kolejnych redakcji, w dniu 17.10.1991. W przedłożonym projekcie podpisanym m.in. przez Juliusza Brauna, Andrzeja Łapickiego, Adama Michnika, Jana Rokitę czy Hanę Suchocką omawiany punkt brzmiał identycznie i nosił numer § 23 pkt. 2¹. Powoli spadały mi łuski z oczu. Nadal lecą... Dopiero ostatnio odkryłem, że zapis punktu drugiego art. 54 „Ustawy Konstytucyjnej” z roku 1997, który zezwalając na koncesjonowanie mediów elektronicznych w istocie znosi wolność mediów, jest zgodny... z Europejską Konwencją o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności. Ta ostatnia poprawia nieco „Deklarację praw Człowieka i obywatela” precyzując w artykule 10 – *Każdy ma prawo do wolności wyrażania opinii. Prawo to obejmuje wolność posiadania poglądów oraz otrzymywania i przekazywania informacji i idei bez ingerencji władz publicznych i bez względu na granice państwowe.*

a. Niniejszy przepis nie wyklucza prawa Państw do poddania procedurze zezwoleń przedsiębiorstw radiowych, telewizyjnych lub kinematograficznych.

Pierwszy raz było mi dane poinformować o tym opinię publiczną dopiero w roku 2008 – w sześć lat po napisaniu tekstu.²

1 Patrz. s. 54

2 A. T. Kijowski, *Papierowa wolność słowa*, „Rzeczpospolita” 17.IV.2008

XVIII

NIESPRAWIEDLIWOŚĆ SĄDU I BEZKARNOŚĆ PRASY

Są tacy ludzie, których życie realizuje się w społeczeństwie. Tyle czujemy się wari, ile znaczą nasze nazwiska. Poklask, publiczne wyróżnienie – wszystkim sądowym, prasowym, administracyjnym osobom często zastępują majątek. Nieważne co, mawiała moja babcia, byle głośno i z nazwiskiem. Gatunek ludzi spełniających się w życiu publicznym na użytek tej anegdoty niech będzie nazwany jastrzębiami. O jastrzębiach wolno wszystko wiedzieć – wynika to wprost z 61 artykułu Konstytucji RP, który głosi:

1. Obywatel ma prawo do uzyskiwania informacji o działalności organów władzy publicznej oraz osób pełniących funkcje publiczne.

Są jednak inni. Tzw. milcząca większość. Dla których upublicznienie może być jedynie karą. Ludzie czysto prywatni, nastawieni na to ogniwo wolności, jakim jest moja swoboda osobista. Bezpieczeństwo jednostki, która nie chce być wykorzystywana przez zinstytucjonalizowaną maszynę współczesnego świata. Nie chcę by mnie nagabywano, kontrolowano mój majątek – obawiam się natrętwów, rozumiem, że szczęście i bogactwo najlepiej dojrzeje w ciszy.

Tak myślą ci, którzy mniej mówią, więcej robią, ci, którzy chcą żyć w wolności i spokoju. Nazwijmy tych ludzi gołębiami.

Konstytucja, a w konsekwencji omawiane dziś uregulowania prawne są w istocie antynomiczne. Adresowane są do prywatnych obywatelskich gołębi i do publicznych jastrzębi. A przecież jastrzęb nie pojmie gołębia, w którego interesie artykułowi 61 Konstytucji przeciwstawiono artykuły 47, 49, 51.

Każdy ma prawo do ochrony życia prywatnego, rodzinnego, czci i dobrego imienia oraz do decydowania o swoim życiu osobistym.

Pewnego razu do Centrum Monitoringu Wolności Prasy przyleciał gołąb. Gołąb był inteligentnym studentem prawa. Przyniósł gazetę, w której opisano jak jego rodzice przez lata pomagali bezdzietnym sąsiadom, rodzeństwu, a po śmierci

brata uzyskali przepisanie na siebie dużego gospodarstwa wartego kilkaset tysięcy złotych w zamian za opiekę nad osieroconą staruszką. Potem następował opis gehenny staruszki: jak była głodzona, podtruwana, jak ją mój gołąb, a syn gospodarzy nawet miał w twarz uderzyć.

Patrzyłem w twarz gołębia, gdy mi tłumaczył ile w tym wszystkim zawiści, obmowy, ludzkiej pazerności (po staruszcze, która uciekła od nich z domu można jeszcze odziedziczyć sporą sumę pieniędzy oraz odszkodowanie za pracę przymusową); patrzyłem w twarz młodego adepta prawa. Budził moje zaufanie.

Artykuł prasowy, którego mój gołąbek był bohaterem, skonstruowany został pozornie bez zarzutu. Nie wymieniono nazwy miejscowości, z której ów student pochodził (teraz rodzice już na niego przepisali inkryminowane gospodarstwo). Zrobiono mu wprawdzie zdjęcie w charakterystycznej kurtce na tle domu, lecz twarz została zamazana. Również i nazwiska nie wymieniono zastępując je inicjałami.

Cóż z tego: za zgodą pokrzywdzonej staruszki podano nazwisko jej i ludzi, którzy się nią teraz zajmują (czy jak chce gołąb czyhają na schedę). Naturalnie, że wszyscy czytelnicy lokalnej gazety natychmiast zorientują się o kogo chodzi.

Winien – nie winien. Trudno wyrokować. Jednak ta sprawa nie ma aspektu prawnego. Nikt tu nikogo nie sądzi. Prasa w istocie powtarza plotki wychodząc z założenia, że jeśli ludzie gadają, to coś w tym być musi.

I coś mogłem poradzić gołębiowi, który przyszedł skonsultować długie dementi. Cóż mogłem mu poradzić: tyle, by raczej nadal nie ujawniał swojego nazwiska, i ewentualnie przez adwokata zaprotestował przeciwko publicznym potwarzom.

Powiedziałem mu jeszcze, że gazeta żyje jeden dzień, ale bez wielkiej w to wiary, bo doświadczenie nauczyło mnie, że tzw. życzliwi mogą przez dziesięciolecia przechowywać kompromitujące kogoś wycinki. Nazbyt bezkarny jest dziennikarz – pomyślałem w głębi duszy.

Pomówmy teraz o jastrzębiach. O tych wszystkich, którzy żyją ze swych nazwisk, funkcjonują przy instytucjach publicznych. O tych zatem, których pomysł na życie łączy się bardziej ze służbą niż z prywatnością.

Opowiem o jednym z nich. Otóż byłem świadkiem, jak w 2002 roku przed Sądem Apelacyjnym w Warszawie zakończył się w drugiej instancji proces, jaki z powództwa cywilnego czasopismu „Wprost” (co zakończyło się ugodą), z powództwa karnego zaś koleżankom Aleksandrze Zawłockiej oraz Joannie Kluzik

wytoczył były szef więzienia w Płocku oraz przez czas jakiś naczelnik wszystkich polskich więzień. Przez moment nie przypominę jego nazwiska. Zrobię to za chwilę, byś zrozumiał, Czytelniku co mi, a i komuś kto zechce na ten temat pi-
sać, może za to grozić.

Otóż w trakcie procesu nikt nie kwestionował stanu faktycznego, iż raport Naczelnej Izby Kontroli był dla szefa więzień druzgoczący, że został on skazany przez Sąd Rejonowy i zmuszony do dymisji. Nie było więc ważne, że dziennikarki napisały zjadliwy wprawdzie, lecz oparty na faktach artykuł w najlepszej wierze, a skarżący były urzędnik kwestionował kilka szczegółów. Dla sądów wszystkich instancji ważne było przede wszystkim to, że na skutek skrótów redakcyjnych nie podano informacji, iż wyrok sądu rejonowego nie był w danym momencie prawomocny (notabene został on w rezultacie skasowany, bynajmniej nie ze względu na brak winy, lecz z powodu znikomej społecznej szkodliwości czynów, o które byłego naczelnika oskarżał NIK). Najbardziej jednak zbulwersowało sąd, iż w artykule o szefie wszystkich polskich więzień, który podał się do dymisji ze względu na kompromitujące go zarzuty NIK-u, koleżanki dziennikarki użyły jego nazwiska bez zgody sądu. Przecież zdaniem warszawskiego sądu apelacyjnego to już dzisiaj niewiniątko, gołąbeczek, skromny emeryt i wymienianie jego nazwiska miało kosztować dziennikarki po 5,5 tysiąca złotych, z których trzy tysiące, gdyby zechciały, mogły zamienić na 30 dni aresztu.

Otóż tak się składa, że kto ma więcej niż dwadzieścia lat, musi tego pana znać. Sam przeprowadzałem z nim kiedyś wywiad w telewizji, notabene jako z jednym z — jak mi go wówczas zachwalono — najlepszych funkcjonariuszy. I nie chodzi o to, czy on jest dobry czy zły, lecz o to, że ów pan ma publiczne imię i nazwisko. I po pięciu latach nie wrzucimy do pieca niepamięci historycznego faktu, że ten pan to obywatel z gatunku jastrzębi i nazwa się Lech Moderacki.

Rażąca, szokująca w moim przekonaniu niesprawiedliwość sądu. Sądu, co do którego bezstronności muszę zgłosić i czynię to publicznie poważne wątpliwości. I nie chodzi tu o jakieś naciski czy politykę, chodzi o wyczuwalną nie w tym jednym procesie atmosferę solidarności grupowej.

Były czy nie były, ale szef więzień jest ostatnim ogniwem wymiaru sprawiedliwości. Czy można dopuścić, by go ścigały jakieś pismaki?

Administracja boi się prasy: lekarz nigdy nie powie publicznie ani nawet prywatnie, że jego kolega daje złe diagnozy. To samo prawnicy. Za chwilę pewnie przeciw prasie zjednoczą się biskupi.

Prasa jest bowiem łatwym kreatorem wyroków. Prasa już zdecydowała, że wymieniony z nazwiska hierarcha kościelny jest grzeszny, a sanitariusz pogotowia o pseudonimie Anioł Śmierci uśmiercał pacjentów. Istnieje wysokie prawdopodobieństwo, ba pewność prawie, że dziennikarze dwóch najważniejszych polskich gazet nie mylą się. Osobiście mam wielkie zaufanie do redakcji „Gazety Wyborczej” i „Rzeczpospolitej”, i nie śmiem myśleć by powodowała nimi pogoń za niesprawdzoną sensacją.

Ale kiedy tak myślę, to czy nie przemawia przeze mnie czasem także solidarność zawodowa? Niechęć do przyznania, że zapewne mam rację, ale istnieje też pewne prawdopodobieństwo, że się mylę.

Prasa i sąd, jak jastrząb i gołąb stoją na przeciwległych biegunach. Prasa żyje z prędkości, sądy są powolne.

Prasa podaje wiadomości dobre i złe, ale wie, że te ostatnie zawsze budzą większe zainteresowanie. Ale prasa, potężne silne medium, w obydwu tych wypadkach często zbyt lekko przechodzi nad małym słówkiem „prawie”. I często niby olbrzym wkraczający między liliputów, zapomina o swojej sile. O tym, że gdyby się jednak okazało, iż ksiądz nie jest grzeszny, a sanitariusze nie są mordercami, to to już niczego nie zmieni. Nazwisko bowiem zostało splamione na wieki i nie ma ani pieniędzy ani sprostowania, które zagłuszyłyby powstały szum prasowy.

Kilka miesięcy pracy w Centrum Monitoringu Wolności Prasy, zapoznanie się z wyrokami sądów, choćby takich jak ten, który skazał żoliborską dziennikarkę piszącą o radnym, że zakłócał przebieg wyborów, a w artykule swoim opierała się na zeznaniach świadków i protokole przewodniczącego Okręgowej Komisji Wyborczej, którego to dokumentu sąd w ogóle nie wziął pod uwagę – przekonały mnie, iż wyroki w sprawach prasowych potrafią być rażąco niesprawiedliwe.

Z drugiej jednak strony niefrasobliwe wyznania dziennikarzy, którzy przyznają się radośnie: „no fakt, napisaliśmy, że szewc z dworca jest partacz, stracił przez to klientów, to co mamy zrobić by zrozpaczony nie zaskarżył nas na duże odszkodowanie?” pokazują, że wiele jeszcze wody w rzece upłynie zanim społeczeństwo polskie zyska demokratyczną kulturę prawną, opanuje procedury, a nade wszystko nauczy się szacunku dla własnych instytucji, obowiązujących uregulowań prawnych, dla swoich sądów, swojej prasy, swojej wolności.

Pora na wnioski:

1. Prasie nie wolno zajmować się gołębiami. Nie może stawać się magłem.

Powtarzać plotek. Obiektem zainteresowania mediów mogą być tylko osoby publiczne. Ale upublicznienie nie zależy tylko od nas. Upubliczniają nas nasze czyny. Nasza dobra ale i zła sława. Osobą publiczną staje się tak samo zbrodniarz jak bohater. Dla jednych mamy piedestały dla drugich zaś pręgieryze.

2. Gołąb może stać się jastrzębiem, gdy mu udowodnimy, że zajmuje się polowaniem, gdy odpowiada przed sądem, gdy jego czyny i zła sława uczyniły go osobą publiczną, może być wówczas publicznie sądzony.

3. Jastrząb nigdy nie przedzierzgnie się w gołębia. Przeszedł bowiem do historii, a jej utajniania wymagać nie można. Nieważny jest kontekst, w jakim się to stwierdza. Tak jak za wprowadzenie stanu wojennego nie oskarża się prywatnie Wojciecha J., lecz byłego sekretarza KC PZPR, którego nazwisko jedynie przez zadawnioną niechęć obecnie pomijam; tak samo w latach 90. szefem więzienia w Płocku, a później Państwowego Zarządu Więzień nie był z pewnością żaden pan M., lecz konkretny, emerytowany dziś funkcjonariusz o nazwisku publicznym, Lech Moderacki.

4. W końcu nie można zjeść jabłka i zachować jabłka. Jeśli stałeś się osobą publiczną to albo tego chciałeś, albo się na to naraziłeś. Stałeś się znany i nigdy już anonimowy nie będziesz.

Nasza rozmowa toczy się wokół prawa. Prawa, w którym funkcjonują koło siebie ustawy z różnych czasów. Choćby prawo prasowe z roku 1984 obok nowej „Ustawy o dostępie do informacji publicznej”, którą poprzedziły niezbyt precyzyjne regulacje dotyczące informacji niejawnych oraz ustawa o ochronie danych osobowych.

Nie w ustawach jest jednak problem istotny. Rzecz jest w nas. W naszym do tych ustaw stosunku i w stosowanych procedurach.

W Norwegii prezesa Sądu Najwyższego mianuje premier i nie narusza to niezależności trzeciej władzy, we Francji istnieje podobna do naszej Rada Radiofonii i Telewizji, a jednak nie słychać tam, by media publiczne mogły stać się zakładnikami określonej opcji politycznej.

U nas inaczej: pojawia się nowy sejm czy nowa koalicja, nuże zmieniać prawo, monopolizować media publiczne, koncesjonować, uzależniać od rządu lub władzy dostęp do zawodu dziennikarza, zmieniać ledwie wprowadzoną konstytucję. A świeżo odtworzonemu Senatowi zaproponowano w tymże inkryminowanym lwim roku 2002, by niby w herbertowskiej Uttyce, przez cztery lata „obradował nad tym, jak nie być Senatem”.

Spółczesność polskie nigdy nie było propanstwo, nigdy nie szanowało prawa. Nasza kultura nie jest kulturą prawną, lecz kulturą buntu. Traktujemy nasz kraj a w istocie regulujące jego funkcjonowanie prawa jak postaw sukna, które może być przykrawane do aktualnej miary.

Przyszła czas, gdy na własnej skórze doświadczyłem opisywanej tu antynomii. Antynomii, do której dołączył swobodny Internet przechowujący latami obmowy, a pomijający mniej istotne oczyszczenia. Internet wzmocniony blogosferą i powstałym w niej nowym gatunkiem zakapturzonych inkwizytorów, często moralnych, sprawiedliwych, bezkompromisowych. Przeważnie jednak małych, zawistnych, ordynarnych. Oczywiście – małość i ordynarność sama sobie wystawia świadectwo. Nie jest zasadniczo tolerowana w dobrym towarzystwie, a powstanie takich sfer jak Salon24.pl czy spór wokół prawa do zachowania anonimowości wszystkim już znanej z imienia i nazwiska pani prezes „Kataryny” zupełnie nowe wyznacza tej antynomii granice. No, ale w tej sferze na podsumowania za wcześnie. Internet i blogosfera są w istocie zdobyczą obecnego tysiąclecia. Dla mnie stają się użytecznym narzędziem, może nawet bezcenną bronią.

Lecz obyczajów „strzał w locie” nie zdołałem jeszcze opisać.

XIX

BŁOGOSŁAWIONE NIECH BĘDĄ KONCESJA I REGULACJA

Tak głęboko uwierzyłem w roku 1989, że wolność słowa stała się ciałem, że wciąż przecieram oczy, gdy czytam uzasadnienia konieczności poddawania mediów elektronicznych koncesjonowaniu czy procesowi zezwoleń. A przecież w podstawowych dokumentach wolnościowych jednoznacznie zapisano:

Powszechna Deklaracja Praw Człowieka i obywatela z 1789 mówi, iż: XI. Każdemu wolno przemawiać i drukować oraz że: XV. Społeczeństwo ma prawo żądać od każdego urzędnika publicznego zdawania sprawy z jego czynności urzędowych.

Powszechna Deklaracja Praw Człowieka z 1948 roku w artykule 19 głosi: Każdy człowiek ma prawo do wolności opinii i do jej wyrażania; prawo to obejmuje swobodę posiadania niezależnej opinii, poszukiwania, otrzymywania i rozpowszechniania informacji i poglądów wszelkimi środkami, bez względu na granice.

Europejska Konwencja Praw Człowieka z 1950, stwierdza w punkcie 10, iż każdy ma prawo do wolności wyrażania opinii.

Wreszcie Deklaracja z Windhuku z 3 maja 1991 roku, wzywa do przestrzegania swobody mediów w Afryce i na całym świecie. Wówczas to dzień 3 maja ustanowiony został przez UNESCO i Światową Federację PEN-Clubu Dniem Wolności Prasy.

Trudno naturalnie w Polsce akurat 3-majową datę skojarzyć wyłącznie z prasą. Jest to jednak i dla nas dzień szczególnie właściwy by zapytać, jak korzystamy „z pory, w jakiej się Europa znajduje i z tej dogorywającej chwili, która nas samym sobie wróciła” (z Preambuły do „Konstytucji 3 Maja”).

Dzień 3 maja stał się jednak na całym świecie momentem, w którym ogłasza się doroczne raporty na temat realizacji wolności prasy w minionym roku. Takie raporty ogłoszono i w 2002 roku. Nie napawały optymizmem. Raport

”Reporterów Bez Granic, stwierdzał, iż na początku 2002 roku przeszło 100 dziennikarzy znajdowało się w więzieniach, lecz co najważniejsze, że w roku 2001 obserwować można było znaczne ograniczenia swobody wypowiedzi w porównaniu z 2000.

Wśród 10 krajów, gdzie najgorzej traktuje się dziennikarzy i lekceważy wolność prasy wymieniono na samym początku Zachodni Brzeg Jordanu i Kolumbię, w następnej zaś kolejności Erytreę, Białoruś, Birmę, Zimbabwe, Iran, Kirgistan, oraz Kubę.

A Polska? Jeszcze niedawno w raportach dziennikarskich międzynarodowych organizacji nie było o nas słowa. Jeszcze niedawno, jeszcze wczoraj Polska lokowana była w czołówce krajów demokratyzujących swój rynek medialny.

Dzień 8 maja 2002, w którym pisałem te słowa, dzień w którym minął trzy-nasty (i chyba istotnie feralny) rok, odkąd ukazanie się na rynku „Gazety Wyborczej” stało się historyczną datą wyznaczającą dzieje wolnej prasy w III Rzeczypospolitej, dzień ten zdawał się dobrym momentem do podsumowania sytuacji wolnego słowa w Polsce.

I właśnie tego dnia po raz pierwszy od lat członkowie Międzynarodowej Federacji Dziennikarzy (wielkiej organizacji zrzeszającej ponad pół miliona pracowników prasy ze stu krajów świata) otrzymali tzw. Polish Update. Alarm wywołany: ciągle niewyjaśnioną sytuacją naruszenia przez prokuraturę RP praw obywatelskich (odebranie paszportów) szefom zarządu Press Publiki, wydawcy należącej w 49% do państwa, a w 51 do Norwegów „Rzeczpospolitej”;

zaniepokojeniem związanym z przedstawieniem przez Rząd projektu ”Ustawy o Radiofonii i Telewizji, utrzymującego istniejącą kontrolę polityczną telewizji publicznej przy zagrożeniu ekonomicznych podstaw egzystencji finansowej dla elektronicznego rynku mediów.

Wreszcie zauważający niepokojącą inicjatywę dziennikarzy związanych z post-peerelowskim Stowarzyszeniem Dziennikarzy PRL (dziś SDRP), (Ryszarda Sławińskiego – senatora SLD oraz Wiesława Marnica – reportera Radia Kierowców), którzy wystąpili z projektem „Ustawy o zawodzie dziennikarza” umożliwiającym stworzenie politycznie kontrolowanego ciała, mogącego koncesjonować dostęp do zawodu.

Jeśli do tego dodamy niezwykle dla obrazu Polski w demokratycznym świecie niekorzystny, bardzo krytycznie oceniający poczynania rządu Leszka Millera

wobec mediów komentarz, który ukazał się na łamach „Washington Post” oraz fakt, że informacja na ten temat została podana przez wszystkie niezależne polskie media z wyłączeniem „publicznych” czy raczej już rządowych telewizyjnych „Wiadomości”, możemy jednoznacznie stwierdzić, że już w 2002 roku widmo cenzury zaczęło znów krążyć nad Warszawą.

Degrengolada postępuje z roku na rok. Ogłoszony w 2007 przez organizację obrony wolności prasy „Reporterzy bez Granic” ranking stawiał Polskę wraz z Ekwadorem na 56–57 pozycji w klasyfikacji państw pod względem gwarantowania swobód środków masowego przekazu. Polska zajęła w ten sposób ostatnie miejsce wśród wszystkich państw członkowskich Unii Europejskiej.

Za państwa najlepiej chroniące wolność prasy raport uznał wspólnie Islandię i Norwegię, umieszczając tuż za nimi na pozycji 3–4 Estonię wraz ze Słowacją.

Listę 169 państw zamyka jako najbardziej restrykcyjna wobec mediów Erytrea. Według raportu, w państwie tym „nie istnieją już prywatne media, a nieliczni dziennikarze, którzy odważają się krytykować rząd, lądują w więzieniu”. Kilku aresztowanych przez władze erytrejskie dziennikarzy zmarło.

Niewiele wyżej, bo na 163. miejscu znalazły się Chiny, przy czym według raportu jest tam „wątpliwe, czy obiecane reformy są realizowane i czy aresztowani dziennikarze zostaną zwolnieni”.

Jak to możliwe — jak to ładnie swego czasu napisał w „Rzeczpospolitej” Piotr Radziszewski — „w normalnym, wolnym i w sumie sympatycznym kraju?”

Otóż tak to możliwe, że jeszcze nie tak dawno było rzeczą oczywistą, iż poglądy większości obywateli kształtowane są przez prasę. Funkcjonowały gazety poranne, wieczorne i nadzwyczajne dodatki. Wolność słowa realizowana była w postaci prasy przy pomocy druku.

Wtedy jednak konstytucja, nawet ta komunistyczna, zapewniała obywatelom to wszystko, a mianowicie: wolność słowa, druku, zgromadzeń i wieców, pochodów i manifestacji.

Ci którzy walczyli z cenzurą, mieli sytuację względnie komfortową, w istocie nie walczone o prawo do wolności słowa tylko o to, by zapisów Ustawy Zasadniczej (przynajmniej jeśli chodzi o swobody obywatelskie) nie łamano.

Od 20 lat sytuacja zmieniła się. Obecnie najbardziej nawet autentyczna wolność prasy nijak się ma do realizacji powszechnej wolności słowa. Nawet tak potężne medium, jak dążąca do monopolu Agora z „Gazetą Wyborczą” jako

głównym produktem nie dociera do więcej niż do 1–2 % obywateli. W sumie prasę czyta ledwie kilka procent Polaków i to przeważnie dobrze wykształconych, inteligentów, których poglądami nie da się manipulować. Dziś realizacja swobody wypowiedzi i wolności słowa uwarunkowana jest od prawnego zabezpieczenia swobodnego dostępu do radia i telewizji, czyli do emisji mediów elektronicznych.

Otóż rzecz w tym iż Konstytucja RP z 1997, a także Europejska Deklaracja Podstawowych Praw i Wolności nie gwarantuje swobodnego dostępu do emisji.

W artykule 54 po punkcie drugim, który mówi, iż „Cenzura prewencyjna środków społecznego przekazu oraz koncesjonowanie prasy są zakazane.” następuje zdanie drugie. Ono głosi, iż „Ustawa może wprowadzić obowiązek uprzedniego uzyskania koncesji na prowadzenie stacji radiowej lub telewizyjnej.”

To trochę tak, jak w Konstytucji PRL z 1952 roku, gdzie po artykule 70 deklarującym wolność sumienia i wyznania następował pkt 3 głoszący, iż nadużywanie wolności sumienia i wyznania dla celów godzących w interesy PRL jest karane. (Notabene zapis ten znikł już w Konstytucji PRL z roku 1976!).

To samo – nigdy dość powtarzać - dotyczy wspomnianego tu często ustępu 2 tego artykułu, który określa precyzyjnie konsekwencje ustępu 1 dla wolności mediów. Ale przecież nie jest to polski wynalazek. Jego podstawą jest w szczególności: Artykuł 11 „Karty praw podstawowych”, który odpowiada artykułowi 10 europejskiej „Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności”, którego brzmienie jest następujące:

„1. *Każdy ma prawo do wolności wypowiedzi. Prawo to obejmuje wolność posiadania poglądów oraz otrzymywania i przekazywania informacji i idei bez ingerencji władz publicznych i bez względu na granice państwowe.* Niniejszy przepis nie wyklucza prawa Państw do poddania procedurze zezwoleń przedsięwzięciom radiowych, telewizyjnym lub kinematograficznym.

2. *Korzystanie z tych wolności pociągających za sobą obowiązki i odpowiedzialność może podlegać takim wymogom formalnym, warunkom, ograniczeniom i sankcjom, jakie są przewidziane przez ustawę i niezbędne w społeczeństwie demokratycznym w interesie bezpieczeństwa państwowego, integralności terytorialnej lub bezpieczeństwa publicznego ze względu na konieczność zapobieżenia zakłóceniu porządku lub przestępstwu, z uwagi na ochronę zdrowia i moralności, ochronę dobrego imienia i praw innych osób oraz ze względu na zapobieżenie ujawnieniu informacji poufnych lub na zagwarantowanie powagi i bezstronności władzy sądowej.”.*

W wyjaśnieniach dotyczących „Karty praw podstawowych” czytamy:

Zgodnie z artykułem 52 ustęp 3 Karty¹ znaczenie i zakres tego prawa jest takie samo jak prawa zagwarantowanego przez europejską Konwencję o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności. W związku z tym ograniczenia nałożone na te prawa nie powinny wykraczać poza ograniczenia przewidziane w ustępie 2 artykułu 10, bez uszczerbku dla ograniczeń wprowadzonych przez prawo konkurencji Unii wobec Państw Członkowskich w zakresie wprowadzania procedur zezwoleń określonych w artykule 10. *ustęp 1., zdanie trzecie* europejskiej „Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności”.

2. Ustęp 2 tego artykułu określa precyzyjnie konsekwencje ustępu 1 dla wolności mediów. Jego podstawą jest w szczególności orzecznictwo Trybunału dotyczące telewizji, zwłaszcza w sprawie C-288/89 (wyrok z dnia 25 lipca 1991 r., Stichting Collectieve Antennevoorziening Gouda i inne, Rec. s. I-4007) oraz Protokół w sprawie systemu publicznego nadawania w Państwach Członkowskich załączony do Traktatu WE, a obecnie do Traktatów, a także dyrektywa 89/552/EWG Rady (zob. w szczególności motyw 17 tej dyrektywy).

Dyrektywa jest szczegółowa. Zawiera mnóstwo ważnych i mniej ważnych regulacji. Wyrok sądu – belkotliwy i żaden z tych dokumentów trzeciego zdania punktu pierwszego artykułu – jak kto woli – dziesiątego czy jedenastego, ograniczającego wolność mediów do swobody wydawania gazet, nie tłumaczy.

Taki jest stan faktyczny: konstytucja III Rzeczypospolitej w artykule 54, ale i europejskie uregulowania zezwalając na koncesjonowanie emisji nie gwarantują, w moim przekonaniu, realizacji podstawowej zasady wolności słowa.

Odpowie ktoś na to, że podobne ograniczenia funkcjonują w innych demokratycznych krajach, że koncesjonowanie oznaczać winno przestrzeganie ładu w eterze, i że może zostać realizowane przez jakieś niezależne i kontrolowane ciało.

1 Artykuł 52

Zakres praw gwarantowanych

1. Wszelkie ograniczenia w korzystaniu z praw i wolności uznanych w niniejszej Karcie muszą być przewidziane ustawą i szanować istotę tych praw i wolności. Z zastrzeżeniem zasady proporcjonalności, ograniczenia mogą być wprowadzone wyłącznie wtedy, gdy są konieczne i rzeczywiście realizują cele interesu ogólnego uznawane przez Unię lub wynikają z potrzeby ochrony praw i wolności innych osób.

2. Prawa uznane w niniejszej Karcie, których podstawą są Traktaty wspólnotowe lub Traktat o Unii Europejskiej, są wykonywane na warunkach i w granicach określonych w tych Traktatach.

3. W zakresie, w jakim niniejsza Karta zawiera prawa, które odpowiadają prawom zagwarantowanym w Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności, ich znaczenie i zakres są takie same jak praw ustanowionych przez tę Konwencję. Niniejsze postanowienie nie stanowi przeszkody, aby prawo Unii zapewniało szerszą ochronę.

Tak, ale tam (to znaczy w naprawdę demokratycznych krajach) wiadomo jak definiować słowo koncesja. Tam wiadomo, iż koncesjonowanie emisji jest jedynie technicznym nadzorem nad ładem w eterze. Tam nie proponuje się ustaw, w których koncesjonowanie uzależnia się od składu kapitałowego, stopnia koncentracji, a nawet domniemanej zawartości treści, skoro zgodnie z art. 36, ust. 2. pkt. 1 „Ustawy o Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji” *Koncesji nie udziela się, jeżeli rozpowszechnianie programów przez wnioskodawcę mogłoby spowodować zagrożenie interesów kultury narodowej, dobrych obyczajów i wychowania, bezpieczeństwa i obronności państwa oraz naruszenie tajemnicy państwowej.*

Trudno zapis taki nazwać inaczej, niż zastąpieniem prewencyjnej cenzury prewencyjną koncesją umożliwiającą politycznie dobranym funkcjonariuszom KRRiT decydowanie o tym, czyje poglądy mogłyby np. zagrażać kulturze lub dobrym obyczajom.

Tam, czyli w europejskich wolnych krajach istnieje po prostu demokratyczna tradycja, oparta na przeświadczeniu, że dziś rządząmy my, a po nas przyjdą inni, lecz i my i oni jesteśmy demokratycznymi przedstawicielami całego narodu.

W Polsce tradycji tej brak. Fundamentem, na którym wspiera się cała koncepcja kontroli środowisk medialnych są kompetencje Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, które zdaniem niezwykle godnego grona autorytetów tworzących Radę Konsultacyjną Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP (sami prawnicy to mec. Maciej Bednarkiewicz, Krzysztof Piesiewicz, Jan Stefanowicz i prof. Adam Strzembosz) określone zostały niezgodnie z Konstytucją, bowiem wkładają KRRiT „w funkcje władzy wykonawczej, a nie zapewniają wykonywania zadań z zakresu nadzoru nad przestrzeganiem podstawowych wolności i gwarantowaniem realizacji interesu publicznego w radiofonii i telewizji”.

Stajemy więc wobec zupełnie nowej sytuacji. Z jednej strony mamy podstawowe zasady prawa międzynarodowego i konstytucyjne zapisy, z drugiej pakiety ustaw składających się na ład medialny, z trzeciej wreszcie praktykę. W ciągu omawianego piętnastolecia lat 1989–2004 praktyka była w sumie lepsza od prawa. Po przełomie czerwowym roku 1989 strach u jednych, a nadzieja u innych sprawiły, iż jak grzyby po deszczu powstawały gazety i gazetki, pirackie lecz oglądane telewizje, swobodnie konkurowały stacje radiowe.

Stopniowo jednak ów porewolucyjny proces, w którym w praktyce wolno było wszystko czego nie zabrania prawo, wyparty został przez ideę Państwa Prawnego.

Państwa, w którym działalność, w szczególności instytucjonalna, krępowana jest przez zespół przepisów. I nie byłoby w tym nic złego, gdyby w Polsce szanowano prawo. Ale w Polsce przede wszystkim prawa się nie szanuje. Rządzeni traktują ją jako jarzmo, rządzący zaś jako sposób do realizacji doraźnych interesów.

Szukająca w demokratycznym kraju arogancja wiceminister kultury, bylej telewizyjnej dziennikarki, która na posiedzeniu podkomisji sejmowej pozwałała sobie oświadczyć, iż fakt że prasa podnosi przesadną jej zdaniem wrzawę na temat szykowanych regulacji prawnych dowodzi, że rząd ma rację dążąc do przeferosowania swoich koncepcji. W ten sposób minister Jakubowska odsłaniała istotny cel zabiegów rządu – chodziło o to, by media nie mogły podnosić wrzawy w sprawach, w których zdaniem rządu racji nie mają!

Stan zagrożenia wolności mediów z dnia na dzień narasta. Określają go słowa: koncesja, koncentracja i regulacja.

Skoro nie można koncesjonować prasy, proces koncesyjny rozszerza się na wszystkie media elektroniczne oraz na nieprecyzyjnie jeszcze zdefiniowanych operatorów multipleksu. Przy czym nie wiadomo, czy nie jest to wstęp do koncesjonowania także działalności internetowej, która w coraz większym stopniu staje się dostarczycielem prasy, radia a nawet sygnału telewizyjnego.

Wszystko to wskazuje, iż od objęcia władzy przez rząd Millera wszystkie następne, z ekipą Tuska na czele, dla doraźnego celu ograniczenia dostępu polskiej opozycji politycznej do mediów skłonne są złożyć w ofierze interes polskich przedsiębiorców medialnych. Wiadomo bowiem, iż zakaz koncentracji raczkującego prywatnego rynku medialnego w Polsce, umożliwił od chwili wkroczenia do Unii Europejskiej wykup mediów prywatnych przez kapitał zachodni.

Wolność słowa gwarantują tylko słowa. Kiedyś jednak ryto je w spiziu i marmurze. Po to, by nikt, żaden rząd ani parlament nie mógł ich przeinaczać, ulegając przywołanym przez Czesława Miłosza wyższym argumentom na rzecz dyscypliny:

*Gdyż według nowych danych większość z nich szeptce we śnie:
Błogosławione niech będą cenzura i niedostatek.*

XX

WIADOMOŚCI O „DNIACH DOBRZYCH WIADOMOŚCI”

Ósmy września na Dzień Dobrej Wiadomości wybrała Małgosia Bocheńska w roku 2001. To miało być otwarcie nowej epoki – nowego tysiąclecia. Stworzyła wspaniałą kapitułę, rozesłała apel. Prezydent Warszawy Paweł Piskorski przyjął patronat. Ja mówiąc szczerze nie do końca z pomysłem tym się identyfikowałem. Czułem w nim niebezpieczeństwo lansowania „pozytywnej wizji świata”, która zatruwała nam młodość w dobie, kiedy (jak mawiało się za późnego Gierka) dzięki talentom Mariusza Waltera by napelnić lodówkę wystarczyło podłączyć ją do telewizora. Mnie to niepokoiło. Przedstawicielom „mainstreamu” od Pawła Piskorskiego po większość członków kapituły z Marcinem Frybesem, Urszulą Dudziak, Markiem Nowickim, po Jacka Żakowskiego pewnie się podobało.



*Małgorzata Bocheńska
podczas DDW*

Pozwoliło to w roku 2001 poza przekazaniem „Apelu do Mediów” zorganizować Małgosi uroczystą proklamację DDW w Parku Skaryszewskim. To było 8 września 2001 roku. Odpowiedź przyszła w trzy dni później. Jedenasty

września, WTC i zachłystywanie się mediów tym zdarzeniem. Jakby ktoś sobie zakpił z tej wyartykułowanej przez środowisko Salonu 101 woli przypomnienia, że: *„Jesteśmy cywilizacją informacji. Często gubimy się w natłoku i szumie informacji. Wybieramy to, co wyraziście a to, co wyraziście oznacza często to, co drastyczne. Przyzwyczajaliśmy się, że dobra wiadomość nie jest żadną wiadomością, że dobra wiadomość to brak wiadomości. Odbudujmy wspólnie pełną wizję świata, gdzie obok złej wiadomości znajdzie się miejsce dla dobrej wiadomości. Nie twierdzimy, że złych, trudnych wiadomości nie ma. Pragniemy szukać DOBRYCH WIADOMOŚCI.”*

Poczułem, że los uderzył Bocheńską w twarz. Żeby tylko Małgorzatę: uderzono w Nas. W ideę, w dobro po prostu. W końcu zło można tylko dobrem zwyciężać. Zacząłem rozumieć, że opozycja laurkowej i realistycznej wizji świata nie jest kategorią jedyną. Nowe tysiąclecie niesie nowe przesłania: zagrożenia globalizacji, ocieplenia klimatu, narastających konfliktów etnicznych i kulturowych. Wiedząc, że skończył się już czas instytucji, dobiegają kresu rządy gmin, a nawet być może zmierzcha też epoka ludów i wiek narodów odchodzi w zapomnienie – również z komunikatu Bocheńskiej postanowiłem wysłuchać tego, co dobre, na bok odkładając wątpliwe.

W 2001 roku moje możliwości współpracy były skromne. Troszkę pomagałem w promocji, jednak na stanowisku szefa Centrum Monitoringu Wolności Prasy, które objąłem pod koniec września 2001 nie utrzymałem się nawet do września roku następnego. W roku 2002 działał nadal patronat prezydenta Warszawy. Małgorzata promocję DDW zorganizowała samodzielnie w zawiadywanym przez panów Krzysztofa Marszałka i Sebastiana Lenarta znanym nam skądinąd Lapidarium. Gdy władzę w mieście obejmie Lech Kaczyński, a Andrzej Urbański zostanie jego zastępcą, w ramach całościowego projektu programu Domu Kultury Śródmieście, uwzględniłem w mych planach pomoc w organizacji DDW. Niestety, zadziałała tu zasada, którą nazwałbym „prawem swojaka”. Jeśli coś kupił Piskorski, Kaczyński musiał odrzucić. Nawet jeśli robiła to osoba w sumie bliższa ideowo jego formacji, niż poprzedniej władzy. Poczucia ciągłości władzy i wartości ludzkiej pracy w urzędnikach nie sposób zaszczepić. Każdy projekt traktują ad personam miast ad rem. Dotyczyło to Małgosi, a nawet pośrednio i mnie. Miałem szereg ciekawych projektów: własnych, zastanych, czy tak jak DDW – pozyskiwanych. Korzystając z dojsć do decydentów, aplikowałem u prezydenta Warszawy o dodatkowe pieniądze z tzw. rezerwy, którą obiecano uruchomić dla kierowanej przeze mnie instytucji kultury. O kontrasygnatę

wypadało jednak poprosić burmistrza. Wydawało mi się to formalnością, skoro proszę o środki, które bez uszczerbku dla dzielnicy zwiększą budżet Śródmieścia o załącznik budżetowy przeznaczony na działalność kulturalną. Nic nie rozumiałem! Nie wiedziałem ciągle, że pieniądze publiczne nie służą do tego, by je racjonalnie wydawać. W każdym razie nie dla ludzi pokroju Jarosława Zielińskiego, burmistrza warszawskiego Śródmieścia, który potrafił, by uwiarygodnić swoje samorządowe kompetencje, przedstawiać się w stolicy jako... były prezydent Suwałk. Trzeba poznać polski biegun zimna by wiedzieć, że nigdy nie mógł nim być, skoro miastem tym przez dwadzieścia lat rządził niemal nieprzerwanie były komisarz stanu wojennego, Józef Gajewski. Ale któż by sobie weryfikacją takich faktów zaprzętał głowę między Wiejską (Sejm), a Nowogrodzką (siedziba PIS) w Warszawie. Otóż dla takich Nikodemów Dyzmów z podlaskich kresów pieniądze i instytucje publiczne są jedynie instrumentem władzy. Burmistrz, a także jego zastępca, otrzymali kwity i oczywiście zapadła nad nimi cisza. Nie było więc wyjścia. Musiałem naruszyć procedury i włamać się z moimi wnioskami wprost do Urbańskiego. Wymogłem spotkanie w towarzystwie kierującej Biurem Kultury Małgosi Naimskiej. Jędrę zachowywał się już jak satrapa. No cóż, powiedział mi kiedyś – Przecież i tak wiadomo, że mogą coś załatwić tylko ci, którzy przekroczą próg tego gabinetu. Pochylił się nad moimi papierami. – Dzień Dobrej Wiadomości? (organizowany przecież przez naszą wspólną znajomą) – mowy nie ma. Centrum wolontariatu – żadne takie! Na swój ogródek dostaniesz, „Poem Expres” – proszę bardzo. Wyszedłem jednak w sumie ze sporymi pieniędzmi. Burmistrz nie miał wyjścia. Skręcał się, ale musiał to podpisać. Wyznał jednak gdzieś na stronie, że to nie może tak być, by szefem podległej mu instytucji zostawał ktoś na tyle ustosunkowany, by sam pozyskiwał środki na działalność. Wtedy władza, jak się miał wyrazić, traci instrument.

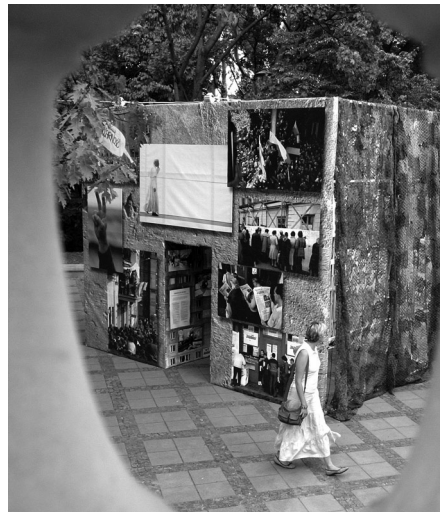
Ale miało być o dobrych wiadomościach... A dobrą wiadomością było to, że raz dostawszy kasę, tak naprawdę mogłem ją wydać według uznania. Byle zgodnie z procedurami. Włączyłem więc projekt „Dnia Dobrej Wiadomości” w zatwierdzony budżet „Ogródków Warszawskich”. By nie generować dodatkowych kosztów, połowę wrześniowego folderku przeznaczonego na tę imprezę oddałem Małgosi. W ten sposób w roku 2004 „Dzień Dobrej Wiadomości” można było uczcić organizując w Dolinie Szwajcarskiej prezentację prac nagrodzonych w ramach konkursu zatytułowanego „Dobra Wiadomość w fotografii”. Nagrody przyznawało jury z Tadeuszem Rolke, Martą Majewską, Wojciechem Eichelber-

gerem, Jerzym Gumowskim, Tomaszem Tomaszewskim i laureatem I edycji konkursu, Alkiem Sochoniem. Wystawę zorganizowaliśmy na Smolnej wieczorem. Nagrodzono Tomasza Woźniczka, Arkadiusza Diczka i Eugeniusza Nurzyńskiego. W Dolinie Szwajcarskiej wystąpił wyróżniony właśnie na "Złotej Tarce" zespół Swing Guitars.

Za rok, czyli w 2005 było wiele lepiej. Jakoś obszedłem Andrzeja, pozyskując w budżecie nieco większe środki dla proklamacji „Dnia Dobrej Wiadomości”. Bocheńska też pozyskała nieco pieniędzy dla swojej Fundacji „Salon 101” i tak 8 września 2005 w ramach zorganizowanej tym razem na Frascati akcji umieściliśmy w tzw. Dolnych Kularach instalację: bramę zdjęć z czasów Solidarności w znacznej mierze autorstwa Erazma Ciolka. To była już III edycja konkursu „Dobra Wiadomość w DZIEŃ DOBREJ WIADOMOŚCI”. W samo południe odbyło się otwarcie wystawy „SOLIDARNOŚĆ” i ogłoszenie III edycji Ogólnopolskiego Konkursu Fotograficznego „Dobra Wiadomość w Fotografii”. Następnie o 18.30 Jurek Antoszkiewicz z grupą „To i Owo” zapraszał na muzykowanie: „SOLIDARNI z Bluesem”. Po nim wystąpiła „Grupa KG BAND” z udziałem Miry Kubasińskiej i Krzysztofa J. Krawczyka. Ten koncert okazał się ostatnim publicznym występem niezapomnianej solistki grupy „Breakout”.

Na koniec zagrała jeszcze reggae grupa muzyków afrykańskich z udziałem Ricky Liona. Odbyło się też spotkanie Posłańców Dobrej Wiadomości. Kolejnym nadzwyczajnym wydarzeniem był zorganizowany przez Bocheńską pod hasłem „SOLIDARNI” Dzień Otwarty dla młodzieży i pedagogów. Zaczęło się i tym razem w południe spotkaniem w ramach konkursu „Dobra Wiadomość w Fotografii”.

Nagłośnienie w mediach było spore. Jednak co szklany ekran to szklany – spotkanie realne ma inne znaczenie. A można to było zrobić efektowniej, zważywszy, że w niemalym budżecie jaki w roku 2005 udało mi się pozyskać z Miasta na całe „Ogrody Frascati”, miałem





*Ostatni koncert
Miry Kubasińskiej
8.IX.2005*

i na „Dzień Dobrej Wiadomości” kilka tysięcy złotych. Dzięki wkomponowaniu zdarzenia w zestaw imprez na Frascati, gdzie funkcjonowała już stała parkowa infrastruktura, wszystko mogło kosztować znacznie taniej.

To wydawałoby się też dobra wiadomość. Okazało się jednak, że wśród wielu wiadomości dobrych jedna będzie zawsze fatalna – będę nieskromny: zwyczajna uczciwość. Tego się nie wybacza, zwłaszcza w telewizji. Jako członka Kapituły DDW zaproszono mnie do emitowanego na żywo TVP Info programu. Bodaj „Gość Dnia” on się nazywał. Otrzymałszy możliwość niemal półgodzinnego dywagowania o specyfice mediów i gazetowej prawdzie, że „dobra wiadomość to zła wiadomość” znalazłem jednak 2 minuty by wspomnieć o Małgosi, o jej Fundacji „Salon 101”, zaprosić na Frascati no i przypomnieć, że Warszawiacy zawdzięczają to wszystkim osobistej decyzji pana prezydenta Miasta. Lizusostwo czy prosta rzetelność? Dla mnie zwyczajna lojalność.

Jednak wobec Lecha Kaczyńskiego obowiązywały szczególne prawa – inne! Przecież, gdybym publicznie pochwalił urzędującego prezydenta miasta w jakiegokolwiek innej osobie, Wyganowskiego czy Piskorskiego, że o pani HGW nie wspomnę, wszystko byłoby w porządku. Jednak po tej wypowiedzi wywiad mój, który rankiem gdzieś około 12 nadawany był na żywo, natychmiast zleciał z anteny. Wbrew ramówce nie został już powtórzony zgodnie z harmonogramem. Nie został nawet zamieszczony w Internecie. Wydawca stwierdził bowiem, że zamiast mówić o „Dniu Dobrej Wiadomości”, któremu TVP patronowało, wspominałem o zasługach prezydenta miasta kandydującego na stanowisko prezydenta kraju.

Zatem – robiłem mu kampanię wyborczą.

Rok później, a będzie to piękny zmierzch naszych z Bocheńską parkowych „Dobrych Wiadomości” – ósmego września 2006 Ogrody Frascati (Park im. Rydza-Śmigłego) zamienią się z kolei w Port Dobrych Wiadomości. Będą działania artystyczne, akcje i performances. Stowarzyszenie Calendula ułoży Kwietną Mandalę Dobrej Wiadomości i przybliży nas do Piękną. Pralka „Frania”, główna bohaterka poszukiwania Dobrych Wiadomości, odrzuci wszystko, co jest chwilową sensacją. Po Warszawie krążyć będzie wynajęty „Tramwaj Dobrej Wiadomości” informujący o naszych akcjach i najważniejszych wydarzeniach prezentowanych w tym czasie na Frascati. Rowerzyści jako specjaliści posłańcy rozwozić będą po mieście „Kurier Dnia Dobrej Wiadomości,.. Można też będzie wypełnić ankiety z pytaniem: ”Wolność, Miłość, Przyjaźń czy Zdrowie są dla Ciebie Dobrą Wiadomością,.. Tym, co nie mają wiary, rozdawane będą nadto Różowe Okulary. Jedną z ważniejszych akcji tego dnia będzie też organizowana przez Akademię Fotografii IV edycja „Konkursu na Dobrą Wiadomość w Fotografii”. W roku 2006 nosił tytuł „Codziennosc”.

*Dobra Wiadomość to Frascati
I Państwo tutaj: mądrzy, ładni
Dziś tu: Lipnicka, Porter, Wolski
Wieczór w Europie – ale polski!*

Cały program na Frascati transmitował w 2006 roku na bieżąco, poświęcając akcji kilka wejść, II program TVP 2, który przyjął honorowy tytuł partnera medialnego. Wszystko zakończyło się nadawanym na żywo w TVP koncertem Anety Lipnickiej i Johna Portera, którzy otrzymali w tym roku nominację do tytułu Posłańca DW). W „Dniu Dobrej Wiadomości” na Frascati swój kabaret prezentowali też Marek Majewski i Marcin Wolski.

Ósmego września 2006 proklamacje „Dnia Dobrej Wiadomości” trwały na warszawskim Frascati od godziny drugiej do dziesiątej wieczorem, Czy wszystko było w tym dniu dobre? – Oczywiście nie wszystko. Nastąpiło bowiem warcie odnotowania nieporozumienie. Bocheńska długo nie mogła mi darować, że nie byłem zbyt grzeczny dla artystów. Ano nie byłem. Bo ja jestem stróżem publiczności. Tak zaś jest, że wyższej miary artyści (tzn. tacy, którzy siebie ponad miarę cenią) mają zwykle ogromne wymagania jeśli chodzi o nagłośnienie. Trochę to



*Anita Lipnicka i John Porter
Posłańcy Dobrej Wiadomości 2006*

sprawa ich komfortu, jakości odsłuchów etc. Ale też często kwestia impresariów i całego oprzyrządowania, które kosztuje najwięcej. Proporcja jest taka, że wybitny artysta zagra, jeśli jest sam, nawet za niewielkie pieniądze. Dla mnie czy dla Małgosi Bocheńskiej najwybitniejsi twórcy potrafili grać niemal za darmo. Oni tak, ale przecież nie akustycy. A tego dnia w przygotowaniu tzw. readera koncertu zrobiono błąd. Najpierw miał wystąpić Marcin Wolski, po nim na sam koniec koleżdy z zespołu, który rok temu po raz ostatni grał w tym miejscu z Mirą Kubasińską mieli upamiętnić Artystkę grając wspomnieniowe reage. Tylko, że w tym rozkładzie zabrakło czasu na rozstawianie dodatkowego sprzętu nagłośnieniowego. Reage przyjechało w połowie imprezy i chciało w czasie gdy widownia pełna była publiczności... wyłączyć scenę z ruchu niemal na godzinę, przesunąć czy odwołać występ Marcina Wolskiego, każąc wszystkim czekać, aż oni poustawiają swoje elektroniczne zabawki.

Takie obyczaje. Oczekiwanie, aż się artyści „zestroją” znane jest z koncertów rockowych, ale moja publiczność rockowa nie była. Na wolnym powietrzu przerwa dłuższa niż kilkunastominutowa też nie miała sensu. Nie zgodziłem się również na wypłoszenie widowni po to, by artyści sobie a muzom zagrali. Skoro nie chcieli grać na nagłośnieniu jakie już było zainstalowane – podziękowałem grzecznie. Wiedziałem, że publiczność jeśli ma wybierać, przedłoży kabaret Wolskiego bez czekania nad reage z czekaniem.

No cóż, publiczność to byt intencjonalny. Urażony artysta to problem całkiem realny. Tego niestety w moich kalkulacjach wciąż nie uwzględniałem. I być może to jeden z powodów, dla których już od lat nie odbywają się huczne obchody „Dnia Dobrej Wiadomości”, a Frascati zionie dziś pustką.

XXI

PO CZEMU WOLNOŚĆ WYPADŁA MEDIOM

Gdy rozum śpi – budzą się upiory. Jeśli ktoś jeszcze w to wątpi, niechaj przeczyta... cokolwiek. Ot, choćby uzasadnienie wniosku ministra Grada, by zbadać prawidłowość powołania Rad Nadzorczych TVP i Radia jako, że... pominięto w nich numery PESEL. Od roku 2002, który opowiadam, każdy dzień przynosi nową rewelację.

Wszystkie środowiska opiniotwórcze mają w tym zasługę, że przez pierwsze trzynaście lat po 1989 roku panowała w Polsce faktyczna wolność słowa. Stało się tak mimo, a może właśnie dzięki temu, że stan prawny był tak zły, iż nikt restrykcyjnego prawa nie honorował. Była to dla Polaków z natury chętniejszych buntom niż praworządności sytuacja twórcza, która zaowocowała burzliwym rozwojem rynku prasowego i radiowego.

Czy jednak istniała kiedykolwiek w środowisku solidarnościowej opozycji demokratycznej zgoda na podporządkowanie mediów systemowi rynkowemu? Mocniej zapytam – czy uznając, iż demokratyczny rynek ekonomiczny polega na wolnym handlu, a przekupień ze Stadionu X-lecia nie jest spekulantem, czy zgodziliśmy się, aby również informacje, sposób ich redagowania, poglądy wreszcie, stały się przedmiotem handlowej wymiany, a o wartości mediów decydował rynek, czyli klient, czyli obywatel?

Otóż nie! Prawodawstwo III Rzeczypospolitej od Konstytucji poczynając, poprzez Prawo Prasowe z paragrafami karzącymi za wydawanie pisma niezarejestrowanego, z dziesiątkiem niekoherencji, sprawiających, że w różnych ustawach funkcjonują jeszcze skrawki dekretów o Głównym Urzędzie Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, stanie wojennym – prawo polskie, z którym w miarę etatyzacji państwa i kosztowności struktur administracyjnych coraz bardziej przychodzi się liczyć – to prawo, a i stojący za nim Parlamentarny Ustawodawca nie zaświadcza nigdzie intencji autentycznego upodmiotowienia sfery informacji.

Prasa, to co innego. Choć kiedy w 1968 roku wołano „wolność prasy”, przez prawo do informacji rozumiało się wolność słowa. Zdecydowana większość informacji docierała bowiem do ludzi za pośrednictwem gazet. Przede wszystkim „Trybuny Ludu”, jej wojewódzkich kopii oraz „Życia Warszawy” z jego lokalnymi mutacjami. Radio i telewizja stanowiły zaledwie margines. Jeszcze 40 lat temu, gdy działo się coś ważnego, reagowały na to tzw. Popołudniówki, czy nawet nadzwyczajne dodatki do gazet. Wolność prasy była zatem równoznaczna z wolnością słowa.

Dziś odwrotnie. Dziś, kiedy prasę czyta może 2% obywateli, niewielkie znaczenie ma zapis przyjętej w 1997 roku Konstytucji RP, który w § 54 punkt 2. głosi, iż „Cenzura prewencyjna środków społecznego przekazu oraz koncesjonowanie prasy są zakazane.”

Znaczenie fundamentalne ma za to zapis zawarty w drugim zdaniu tego paragrafu, zapis, który w praktyce znosi wolność słowa, skoro stanowi, iż „Ustawa może wprowadzić obowiązek uprzedniego uzyskania koncesji na prowadzenie stacji radiowej lub telewizyjnej”.

Wiadomo wszakże, że w sytuacji, gdy 90 procent społeczeństwa swoją wiedzę o świecie czerpie z radia i telewizji, zezwolenie na koncesjonowanie tych środków społecznego przekazu oznacza w praktyce brak konstytucyjnych gwarancji dla realizacji wolności słowa.

W tej sytuacji dywagacje nad konstytucyjnym lub też niekonstytucyjnym umocowaniem Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji stanowi dyskusję czysto akademicką – faktem jest bowiem, iż polskie elity medialne i prawne nie wyobrażają sobie sytuacji, gdy informacja i jej odbiór miałyby zostać poddane regułom demokratycznej gry rynkowej.

Polskie środowisko medialne jest zdominowane przez pracowników najliczniejszych ciągle mediów publicznych. I choćby nie wiem jak krytycznie oceniali oni swoje kierownictwa – nie będą podcinać gałęzi, na której siedzą i twierdzić, iż prawdziwe media nie walczą o realizację zawsze przez kogoś narzucanej „misji” lecz szanując widza liczą na poczytność, słuchalność i oglądalność.

Trzeba to powiedzieć z całą otwartością – rozdźwięk polityczny i obecne zagrożenie dla niepodległości Polski wynika z faktu, iż elity polityczne i medialne w istocie pogardzają narodem, nie wierzą w zdrowy rozsądek Polaków, chcą go pozytywistycznie wychowywać lub totalnie niewolić.

Do głowy nie przychodzi tym, którzy piszą w gazetach i wypowiadają się z trybun, by uznać, iż słuchająca większość jest rozsądna, wykształcona, racjonalna. Polscy dziennikarze i politycy podważając jakże często znaczenie sondaży, bądź wręcz przyjmując milczące założenie, iż ich wynik źle świadczy o społeczeństwie, w istocie dokumentują brak wrodzonego szacunku dla demokracji.

Stąd wszystkie uregulowania prawne, spory wokół przyjętej we wrześniu 2001 roku „Ustawy o dostępie do informacji” milcząco akceptują możliwość tego dostępu limitowania. Nie jest więc przedmiotem faktycznej dyskusji elit kwestia dozowania informacji, lecz co najwyżej zakres reglamentacji i procedury nadzoru nad kontrolą.

Podobnie jak proponowana w roku 2000 przez środowiska związane z Centrum Monitoringu Wolności Prasy „Ustawa o dostępie do informacji” zakładająca możliwość utworzenia stanowiska Rzecznika Dostępu do Informacji torowała drogę dla odtworzenia Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, tak ostatecznie przyjęta ustawa wypromowana w środowisku Centrum Adama Smitha nie ustanawia żadnej kontroli nad procedurą utajniania danych. Prowadzi to do powstawania i rozbudowywania w urzędach, wyjętych spod jakiegokolwiek kontroli merytorycznej, tajnych kancelarii i struktur urzędniczych, które establishment władzy może powoływać na zasadzie czysto woluntarystycznej.

Zgoda na kontrolowanie mediów oznacza w praktyce zgodę na kontrolowanie wszystkich innych sfer życia publicznego. Przemocną tęsknotę by „ich” nadzór nad mediami zastąpić może bardziej cywilizowanym nadzorem „naszym”, środowisko obecnej władzy dyskontuje demonstracyjnie i arogancko, starając się odzyskać nie tylko media, lecz większość straconych w 1989 roku instrumentów rządzenia...

Dowodzą tego:

1. Rozpoczęte przez rząd Millera, nieobce Kaczyńskim i Tuskwowi próby ograniczenia niezależności Banku Centralnego.
2. Faktyczne zawieszenie funkcjonowania „Ustawy o służbie cywilnej”.
3. Używanie aparatu policyjnego i nadzoru prokuratorskiego (sprawa prezesa Orlenu), a także represyjna konfiskata paszportów (sprawa zarządu „Press Publici”), a potem wszystkie hocki klocki CBA, prowokacje wobec Sawickiej, dopuszczenie do samobójstwa Barbary Blidy – słowem popis rządowej amatorszczyzny i bezczelności.

4. Znane z polityki partyjnej 1968 roku odwoływanie się do ksenofobii, czego dowodziły zarówno poronione próby inkorporowania populistów do struktur parlamentarnych czy rządowych, jak milczenie posłów IV kadencji Sejmu Rzeczypospolitej i brak reakcji wicemarszałka Sejmu, gdy 28 lutego 2002 roku wobec prezesa IPN, profesora Leona Kieresa, wysuwano w Sejmie zarzuty o charakterze rasistowskim.

5. Odmowa akredytacji w roku 2001 podczas ważnych wydarzeń państwowych i pomijanie przedstawicieli mediów opozycyjnych („Gazeta Polska”) w składzie ekip prasowych towarzyszących oficjalnym delegacjom zagranicznym.

6. Trwające nieprzerwanie od wybuchu afery Rywina zabiegi legislacyjne mające na celu ograniczenie swobód gospodarczych poprzez tworzenie nowych obszarów koncesjonowanych w dziedzinie multipleksu oraz zakazy ograniczające prawo do łączenia się i zrzeszania medialnych podmiotów gospodarczych (zakaz koncentracji).

7. Regulacje prawne mające na celu zastąpienie zakazanej cenzury prewencyjnej koncesją prewencyjną, udzielaną przez polityczny organ, który zgodnie z art. 36, pkt. 2 „Ustawy o radiofonii i telewizji” miałby prawo odmówić koncesji jeżeli rozpowszechnianie programów przez wnioskodawcę mogłyby spowodować zagrożenie interesów kultury narodowej, dobrych obyczajów i wychowania.

Dwadzieścia lat temu 4 czerwca 1989 roku wywalczone w Polsce ustroj demokratyczny. Charakteryzuje go wolny rynek utożsamiany z niezależnością banku centralnego, brakiem koncesji i reglamentacji, swobody obywatelskie z prawem zrzeszania się i z niezależnością władzy sądowniczej, a także z prawem podróżowania oraz wolnością słowa i równym dostępem do informacji.

Dziewiętnastego października 2001 władzę w Polsce przejęła formacja polityczna Leszka Millera stworzona przez osoby, które doświadczenie administracyjne zyskiwały w autorytarnych strukturach partyjnych i rządowych komunistycznej Polski. Instrumentami rządzenia był wówczas centralny rynek koncesji i reglamentacji, kontrola prasy i ograniczanie swobód obywateli kontrolowanych przez zależne od rządu organy prokuratorskie.

Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że zarówno znaczna część parlamentarzystów jak i członkowie rządu uznali wynik wyborów roku 2001 i mandat sprawowania władzy dla niektórych reprezentantów dawnego aparatu jako dowód społeczno-gospodarczego przyzwolenia dla powrotu do starych metod. Trudno jednak nie dostrzec, że

obydwą rządy następne w walce władzy z opozycją bez oporu korzystały z „odblokowanego” przez Millera arsenału tych środków.

Demokracja jest ustrojem, w którym zakłada się zmienność władzy. Temu między innymi służy ograniczenie ilości kadencji osób sprawujących władzę. Władzy nie wystarczy demokratycznymi metodami zdobyć – trzeba ją jeszcze z kulturą polityczną sprawować; w sposób taki, by godnie została przekazana następcom.

Istotą czwartej władzy jest uznanie prawa wszystkich obywateli do informacji, równość w dostępie do wiedzy i demokratyczne prawo wyboru odpowiadających nam mediów.

Nieuznanie tej prawdy sprawiło, iż ludzie w Polsce w tym samym stopniu nie nabrali do mediów zaufania, w jakim dziennikarze i politycy nie nauczyli się szacunku dla odbiorcy. Publiczność nie wierzy dziennikarzom, dla których tak czy inaczej definiowana „misja” jest ważniejsza od starań o względy odbiorców, mierzone w warunkach realnej konkurencji poczytnością i oglądalnością. Ten konflikt sprawił, iż rozsądnie myślący Polacy tracą poczucie wpływu na życie społeczne i rezygnują z udziału w wyborach. Młodzież emigruje już milionami.

I to właśnie, nic innego tylko brak szacunku osób publicznych dla społeczeństwa i zaufania społecznego do publicznych osób sprawia, że władza w III Rzeczpospolitej znalazła się i pozostaje w rękach innych, a przecież takich samych ludzi. Osób dla których rządzenie jest celem samym w sobie, a władzy pragną używać głównie dla jej zachowania i dalszego niekontrolowanego sprawowania. Media nie są w stanie spełniać w dzisiejszej Polsce swej kontrolnej roli. Przeciwnie, stały się zakładnikiem gry politycznej. Zdecydowana większość służy dziś władzy, nieliczne opozycji, ale i te i tamte zarządzane są według politycznego klucza, który ostatnio zdominował także inne sfery życia społecznego – w szczególności bynajmniej nie indyferentną dziś politycznie, utrzymującą media reklamę. W pierwszej dekadzie XXI wieku nastąpiła tak znaczna alienacja władzy skupionej wokół klasy media-politycznej, że zaczęła się ona posługiwać metodami prowokacji i indoktrynacji przypominającymi czasy totalitarne. Poprawność polityczna rozszerzona po Tragedii Smoleńskiej na faktyczny zakaz krytyki działań rosyjskich w tej sprawie zdominowała debatę publiczną tak dalece, doprowadziła do takiego rozżewu między władzą a społeczeństwem, że zagrożenie niepodległości narodowej staje się całkiem realne. Dla władzy niepodzielnie sprawowanej

dziś przez jedną opcję polityczną może to oznaczać, że pokojowe jej oddanie w demokratycznym trybie może się stać tak dalece niebezpieczne, że już niemożliwe.

Nie może być już najmniejszych wątpliwości: gdzieś między uchwaleniem Konstytucji w 1997, a 11 września 2001 roku skończył się sen o wolnych mediach. Słońce chowa się znów za mgliste zasłony.

Koniec tomu drugiego

A

Abramowski Edward 21
 Ambroziak Jacek 35
 Andrzejewski Jerzy 14, 65
 Andrzejewski Piotr Łukasz 102
 Arkuszewski Wojciech 54
 Arski Stefan 18

B

Baczyński Jerzy 134, 135
 Bajer Magdalena 135,
 Bakalarska-Manturzevska Laura 18
 Balcerowicz Leszek 59, 73, 87, 103
 Balicki Marek 106, 109
 Banasiak Paweł 55
 Bareja Mieczysław 78
 Bartkiewicz Antoni 19-20
 Bartolik Bogusław 36
 Bednarkiewicz Maciej 105, 154
 Berlusconi Silvio 28, 44, 47, 84
 Bielecki Czesław 105-106
 Bielecki Jan Krzysztof 64, 66, 73, 87, 140
 Bikont Anna 81
 Blajerski Włodzimierz 84
 Blida Barbara 99, 107
 Blachnio Jan Ryszard 54
 Bocheńska Małgorzata 157-158, 160-163
 Bochwic Teresa 135
 Bogdański Robert 134, 135
 Boni Michał 63-66, 73, 122
 Borowiec Aneta 30
 Borowik Marek 36
 Borusewicz Bogdan 15
 Borzestowski Marek 134, 135
 Brandys Kazimierz 10, 13, 39
 Brandys Maria 10, 39
 Bratkowski Stefan 129-134, 140
 Braun Jan Juliusz 106
 Braun Juliusz 43, 54-55, 67, 140-141
 Bryll Ernest 12, 20
 Brzozowski Stanisław 21
 Büchner Piotr 37, 43, 87
 Bucka Małgorzata 28-29
 Bugaj Ryszard 87
 Bujak Zbigniew 54, 66, 73, 87
 Burek Tomasz 12

C

Celiński Andrzej 94-95, 109

Chlebowski Roman 36, 111
 Chojecki Mirosław 6, 17, 37, 40, 43-45, 47, 49-51,
 53-55, 57, 67, 75, 78-79, 81, 85, 104, 122-124
 Chrapek Jan 88, 89
 Christow S. 55
 Chrzanowski Wiesław 95
 Ciborowski Stanisław 114-115
 Cieślak Jacek 20
 Cimoszewicz Włodzimierz 97
 Ciołek Erazm 22, 160
 Cisło Maciej 26
 Cybulski Bogdan 20
 Cywińska Izabella 17, 52, 87, 108
 Czabański Krzysztof 10, 16, 101, 105, 123
 Czarnecki Piotr 54
 Czarnecki Ryszard 54, 106
 Czarnik-Sojka Teresa 54
 Czerwiecki Jerzy Krzysztof 89-90
 Dajcz-Dupont Janina 135
 Dankwa Eryk 60, 69, 71
 Dąbrowski Waldemar 107-108
 Degler Janusz 65
 Demontis Massimo 77
 Dmowski Roman 21
 Dobraczyński Jan 34
 Donimirska Magdalena 47, 50, 52
 Drawicz Andrzej 6, 43-44, 52, 64, 66, 89, 112, 122
 Druszcz Anna 135
 Drzycimski Andrzej 89-91
 Dudziak Urszula 157
 Dużyński Krzysztof 45
 Dzięczek Arkadiusz 160
 Dziembaj Agnieszka 18

E

Edelman Marek 109, 112
 Eichelberger Wojciech 160
 Eliot Thomas Stearns 14
 Engelmayr Akos 106
 Eysymont Jerzy 87
 Falandysz Lech 46, 89, 106

F

Farfal Piotr 6
 Farnier Jerzy 45
 Fellini Frederico 82, 90, 100
 Fikus Dariusz 87
 Findensein Władysław 109
 Firmhofer Robert 21

Fiszbach Tadeusz 35
Fogler Piotr 27, 36
Fornalczyk Anna 107
Frasyniuk Władysław 106
Frąckowiak Jan Krzysztof 109, 112
Frączak Barbara 54
Frenkiel Włodzimierz 105
Frybes Marcin 157

G

Gajewski Józef 159
Garstka Wojciech 49-51, 56
Gauden Grzegorz 133, 140
Gawroński Jan 82
Gebert Konstanty 87
Gelberg Andrzej 12-16, 18, 26-27
Geremek Bronisław 73, 74, 87
Gessler Magda 93
Ghia Marco 77
Giedroyc Jerzy 10
Gieraltowski Krzysztof 22
Giertych Maciej 6
Giertych Roman 6
Gieysztor Aleksander 115
Goliszewski Jarosław Maciej 22
Gorbaniewska Natalia 17
Goryszewski Henryk 160
Gostkowski Juliusz 39-40
Gottesman Gustaw 17
Górska Barbara 135
Górski Piotr 118
Grabowska Danuta 54
Grauso Nicola 1, 44, 46-48, 53-55, 59, 68-69, 77, 79, 81, 83-85, 87-89, 91, 94-96, 100, 101, 110, 122
Grevin Pierre-Andre 40
Grohman Jerzy 18
Gronkiewicz-Waltz Hanna 87, 103
Gródek Kazimierz 134, 135
Gucewicz Krystyna 82, 131
Gugulski Marcin 105
Gumowski Jerzy 22, 160
Guzzo Renato 68, 108

H

Hagmajer Andrzej 31-32, 34-35, 38-40
Hagmajer Jerzy 34
Hall Aleksander 93
Hałat Kazimierz 36
Hanaoka Bernard 83

Hanuszkiewicz Adam 139
Hennelowa Józefa 54
Herbert Katarzyna 10-11
Herbert Zbigniew 5, 8-14, 17, 27, 31, 147
Hertz Paweł 12, 20
Hintz Henryk 50
Hofmokl Tomasz 109
Holoubek Gustaw 35
Holzer Ryszard 33
Hugo-Bader Jacek 102

I

Ibis-Wróblewski Andrzej 21
Ikonowicz Piotr 93
Iłowicki Maciej 18
Irzykowski Karol 21
Isakiewicz Elżbieta 22-23
Iwaszkiewicz Jarosław 14, 35

J

Jackl Jerzy 7
Jaęliński Mieczysław 35
Jakubas Zbigniew 110
Jakubowicz Karol 55
Jakubowska Aleksandra 107, 122, 140, 155
Jakubowski Krzysztof 115
Janas Zbigniew 54
Janczarek Michał 82, 89-91, 99-100, 112, 116
Jankowski Maciej 135
Jaruga-Nowacka Izabela 109
Jastrun Tomasz 13
Jastrzębski Bohdan 36-36, 73
Jegliński Piotr 18

K

Kaczmarek Jacek 50, 87, 90
Kaczyński Jarosław 7.10, 16, 89, 98, 123, 170
Kaczyński Lech 7, 14, 15, 87, 158, 162, 167, 170
Kalinowski Grzegorz 47, 56, 58, 91, 95
Kaluźko Andrzej 89
Kaps Jarosław 54
Karaszewski Stanisław 18
Karp Robert 20
Karpieński Marek 65, 122
Kastory Bożena 20
Kessler Joanna 20, 123, 124, 129, 130, 134
Kędzińska-Truszczyńska Dobrochna 54
Kieres Leon 168
Kieszkiewicz Janusz 113, 114

- Kijowska Elżbieta 116,
 Kijowska Kamila 12,
 Kijowski Andrzej (Senior, Ojciec) 10, 21, 63, 111, 117
 Kijowski Andrzej Tadeusz 1-175
 Kijowski Janusz 108
 Kijowski Leszek 116
 Kinaszewski Adam 25, 27-30, 91, 99
 Kirszensztajn-Szewińska Irena 109, 112
 Kiszczak Czesław 49-52, 106
 Klejnocki Jarosław 20
 Kluzik Joanna 144
 Klośiński Jerzy 26, 27
 Kolakowski Leszek 21
 Kołodko Grzegorz 106
 Kołodziejczyk Piotr 92, 93, 100
 Kołodziejcki Jerzy 35, 36
 Komar Michał 37, 43, 44, 45, 47, 49, 51, 52, 53, 54, 55, 56, 57, 58, 59, 60, 62, 67, 68, 75, 77, 79, 81, 83, 85, 86, 87, 88, 89
 Konturek Stanisław 117, 118
 Konwicky Tadeusz 13, 54
 Korwin-Mikke Janusz 94, 95
 Koskowski Jacek 47, 57, 61, 75
 Kotlarczyk Teresa 46, 47
 Kowalczyk Józef 54
 Kowalczyk Tadeusz 54
 Kowalska Anna 20, 31, 32, 40
 Kowalska-Orkla Małgorzata 135
 Kozłowski Krzysztof 106, 107
 Krajewski Andrzej 137
 Krasnodębski Wiesław 22
 Krasowski Witold 22
 Krawczyk Krzysztof J. 161
 Kret Jarosław 21, 47, 66, 67, 91
 Kropiwnicki Aleksander 20
 Król Jan 54
 Królak Katarzyna 47, 48, 50
 Krzaklewski Marian 15, 90
 Krzyżanowska Olga 106
 Książę Karol (właśc. Charles Philip Arthur George Mountbatten-Windsor) 76
 Kubasińska Mira 161, 163
 Kubiak Wiktor 22, 23, 28, 40
 Kublik Agnieszka 91, 94
 Kucówna Zofia 139
 Kuczyński Waldemar 101
 Kufka Władysław 116
 Kuratowska Zofia 106, 109, 112
 Kurczewski Jacek 106
 Kuroń Jacek 66, 123, 124
 Kuś Andrzej 118, 119
 Kwaśniewski Aleksander 6, 14, 99, 104, 105
 Kwiatkowski Robert 6, 19, 124, 125, 134
 Kwiatkowski Wojciech 54
- L**
- Labuda Barbara 54
 Langer Adam 35, 36
 Lawina Anatol 104
 Lech Lesław 54
 Lenart Sebastian 158
 Lengren Magdalena 18
 Leski Krzysztof 6, 105
 Lesyng Bogdan 115, 116
 Lewandowski Janusz 106
 Lewandowski Tadeusz 54
 Liberadzki Bogusław 108, 109
 Lion Ricky 161
 Lipka Krzysztof 18
 Lipnicka Anita 162, 163
 Lipszyc Jan Bazyli 105
 Lundberg Barbara 30
- Ł**
- Łapicki Andrzej 141, 54
 Łazarkiewicz Piotr 108
 Łopuszyńska Jolanta 135
 Łubiński Tomasz 20, 109
 Łuczak Aleksander 118
 Łukasiewicz Maciej 135
- M**
- Macierewicz Antoni 64, 84, 101
 Majewska Marta 160
 Majewski Marek 163
 Makowiecka Nina 135
 Malendowska Małgorzata 104
 Małachowski Aleksander 88, 89
 Małcużyńska Anna 135
 Markiewicz Marek 54, 77, 78, 82, 88, 95
 Marnic Wiesław 150
 Marszałek Krzysztof 158
 Masłoń Krzysztof 18
 Matka Teresa z Kalkuty (właśc. Bojaxhiu Agnesë Gonxhe) 73, 76

Matuszewska Ewa 15
Matyjaszkiewicz Grażyna 7
Maziarski Jacek 104
Mazowiecki Tadeusz 9, 26, 35, 36, 43, 52, 64, 69,
70, 71, 73, 84, 90, 97
Meretic Gabriel 47
Merkel Jacek 54, 140
Miazek Ryszard 118
Michalak Henryk 54
Michalski Marek 135
Michałowska Teresa 115
Michnik Adam 13, 17, 18, 21, 27, 34, 52, 54, 56,
57, 75, 90, 103, 125, 134, 137, 141
Mickiewicz Adam 21
Międzyrzecki Artur 66
Milczanowski Andrzej 64
Miller Leszek 123, 124, 135, 139, 150, 155, 167,
168, 169
Miłosz Czesław 13, 155
Młynarska Paulina 46
Młynarski Wojciech 112, 130
Moderacki Lech 145, 147
Modzelewski Witold 105, 106
Mokrosińska Krystyna 130, 131, 133, 135, 137,
Morgenthau Hans Joachim 21,
Murawski Krzysztof 20, 122,

N

Nadobnik Wanda 135
Najder Zdzisław 66, 87
Nałkowski Waclaw 21
Niemczycki Piotr 125, 134, 135
Niemczycki Zbigniew 87
Niesiołowski Stefan 54, 100, 101
Niewęglowski Wiesław 82, 85
Niezabitowska Małgorzata 88
Nieżgódka Marek 115, 116
Nixon Richard 37
Norwid Cyprian Kamil 13
Nowacki Arkadiusz 89
Nowakowski Marek 29
Nowicki Marek 157
Nowicki Marek Antoni 106
Nurzyński Eugeniusz 160

O

Okrzesik Janusz 54
Oksiuta Krzysztof 35

Olbrychski Rafał 46
Olechowski Andrzej 6
Olszewski Jan 52, 64, 73, 74, 87
Orzel Józef 15, 16

P

Paczkowski Andrzej 75
Palla Angelo 77, 83, 86, 110
Pałasiński Jacek 82, 89
Panek Sławomir 54
Parys Jan 19
Pawlak Waldemar 97, 104
Peryt Ryszard 74, 75
Piasecki Bolesław 34, 35
Piekarski Grzegorz 47, 50, 57, 61, 66
Pieniżek Janusz 38, 39
Piesiewicz Krzysztof 135, 154
Piontek Danuta 107
Piskorski Paweł 157, 158, 162
Pluciennik Tomasz 20
Podemski Stanisław 102
Polmański Piotr 54
Poniatowski Stanisław August 5
Poppek Anna 12
Porębski Kazimierz 36
Porter John 162, 163,
Pronobis Jerzy Piotr 109,
Pyjas Stanisław 65,

R

Radomiński Andrzej 21
Radziszewski Piotr 151
Radzymiński Piotr 59, 61, 62
Raymond Barre 76
Religa Zbigniew 87 - 98
Rewczuk Małgorzata 96
Rimbaud Artur 14
Rodowicz Maryla 109
Rodriguez Alberto 83
Rogalska Barbara 135
Rogucki Sławomir 54
Rokita Jan Maria 54, 95, 141
Rolke Tadeusz 160
Rosetti Michael 68, 83
Rosik Marian 135
Rozen Henryk 116
Rubinstein Artur 74
Rudzki Wiesław 32, 39, 40

Rulewski Jan 58
 Rusecki Jerzy 54
 Rutkiewicz Wanda 15
 Rutkowski Krzysztof 65
 Rymkiewicz Agata Leokadia 36
 Rymkiewicz Jarosław Marek 21
 Rywin Lew 56, 85, 107, 125, 129, 137, 139, 168
 Rzepczak Urszula 47, 57, 66, 91, 104
 Rzewuski Seweryn 21

S

Salij Jacek 12, 16, 89,
 Samsonowicz Henryk 109
 Sawicka Beata 167
 Scherer-Virsky Olga 10
 Carl Schmitt 21
 Serroli Giacomo 86
 Siciński Andrzej 52
 Skalski Ernest 104
 Skotnicki Jan 139
 Skórzyński Jan 125, 134, 135
 Skubis Ireneusz 54
 Skwirowski Piotr 105
 Sławiński Piotr 97
 Sławiński Ryszard 150
 Smoktunowicz Hanna 46
 Smoktunowicz Robert 52, 85, 105
 Smolar Aleksander 89
 Sobczyk Kazimierz 115
 Sochoń Aleksander 160
 Solorz-Żak Zygmunt (właśc. Krok Zygmunt) 2, 79,
 81, 82
 Spychalska Małgorzata 82
 Stachańczyk Grzegorz 116
 Stalin Józef 13
 Stefanowicz Jan 136, 154
 Stelmachowski Andrzej 87
 Stępiński Zygmunt 106
 Stomma Ludwik 116
 Stomma Stanisław 35
 Strzembosz Adam 78, 87, 154
 Suchocka Hanna 54, 64, 73, 90, 141
 Sulik Bogusław 58
 Szcypiorski Andrzej 64, 66
 Szpilman Władysław 74
 Szulkin Piotr 108
 Szymanderski Jacek 54, 89
 Szyborska Wisława 14

Szymchel Tomasz 90
 Szymczycha Dariusz 106

Ś

Śliwnik Izabela 23
 Świąćicki Marcin 6

T

Tabin Marek 116
 Tarkowski Tadeusz 89
 Tazbir Janusz 117, 118
 Tejkowski Bolesław 102, 103
 Tencer Golda 82
 Terentiew Nina 6
 Terentiew Robert 16, 19, 113, 118
 Terlecki Marian 6, 43, 81
 Thibault Paul 33
 Tomaszewski Tomasz 160
 Tomaszewski Janusz 139
 Torończyk Krzysztof 139
 Truszczyński Stefan 89, 121, 131
 Turaj-Kalińska Katarzyna 89
 Turski Ryszard 137
 Tusk Donald 64, 102, 103, 155, 167
 Twardo Artur 70
 Tyśnicki Maciej 135

U

Urban Jerzy 6, 132
 Urban Wojciech 104
 Urbański Andrzej 7, 53, 65, 101, 111, 112, 122,
 158, 159

V

Verdiani 110

W

Wajda Andrzej 47, 52
 Walendziak Władysław 6
 Walkiewicz Wojciech 70
 Walter Mariusz 2, 6, 55, 79, 112, 157
 Wałęsa Lech 14, 18, 28, 46, 54, 70, 82, 87, 90, 91,
 92, 93, 97, 98, 99, 123
 Wasiuta Leszek 118
 Wawilów Danuta 18
 Wąsik Stanisław 54
 Weiss Jacek 7
 Wellman Dorota 46, 53, 57, 60, 89

- Wende Edward 101
Węglarz Stanisław 54
Wieroniejczyk Dariusz 20, 23
Wierzbicki Piotr 16, 17, 18, 20, 21, 22, 23, 26, 32
Wildstein Bronisław 20, 64, 104, 106
Winiński Jan 89
Wiśniewski 104
Witort Grażyna 65
Włoczewski Rafał 46
Wojdyło Adam 135
Wojtyła Karol (Jan Paweł II) 16
Wolf Andrzej 113
Wolicki Krzysztof 9, 33, 40, 89, 112
Wolski Marcin 162, 163, 164
Wolszczan Aleksander 111, 112, 117, 118, 119, 121
Wolek Tomasz 21, 94
Woyciechowski Andrzej (Pierre Vodnik) 52
Woźniakowski Jacek 93
Woźniczka Tomasz 160
Wróblewski Mirosław 121
Wróbel Jan 54
Wujec Henryk 135
Wyczański Andrzej 109
Wyganowski Stanisław 36, 162
Wyka Kazimierz 21
Wyszyński Krzysztof 46, 47, 48, 49, 50, 52, 53, 58, 62, 66, 68, 113
Wyszyński Stefan 34
- Z
- Zadura Janusz 47, 50, 57
Zaleski Krzysztof 17
Zalewski Maciej 29, 30, 34
Zaorski Janusz 90, 109
Zasada Sobiesław 87
Zass Jerzy 36
Zawieyski Jerzy 35
Zawłocka Aleksandra 144
Zblewski Zdzisław 136
Zdrada Jerzy 54
Zemanek Zofia 137
Zieliński Jarosław 159
Zieliński Marek 54
Zielonka Hanna 21, 32, 33, 37
Zielonka Jan 32
Zimand Roman 9, 12
Ziółkowska Wiesława 54
Zlakowski Zenon 54
Zoll Andrzej 93, 100
Żrebiec Piotr 90
Żakowski Jacek 157
Żelazik Jacek 49, 79
Żółtowska Maria 54
Żukowski Zbigniew 20
Żuławski Andrzej 77
Żurawski Stanisław 54

Stan zagrożenia wolności mediów z dnia na dzień narasta. Określają go słowa: koncesja, koncentracja i regulacja.

Skoro nie można koncesjonować prasy, proces koncesyjny rozszerza się na wszystkie media elektroniczne oraz na nieprecyzyjnie jeszcze zdefiniowanych operatorów multipleksu. Przy czym nie wiadomo, czy nie jest to wstęp do koncesjonowania także działalności internetowej, która w coraz większym stopniu staje się dostarczycielem prasy, radia a nawet sygnału telewizyjnego.

Wszystko to wskazuje, iż od objęcia władzy przez rząd Millera wszystkie następne, z ekipą Tuska na czele, dla doraźnego celu ograniczenia dostępu polskiej opozycji politycznej do mediów skłonne są złożyć w ofierze interes polskich przedsiębiorców medialnych. Wiadomo bowiem, iż zakaz koncentracji raczkującego prywatnego rynku medialnego w Polsce, umożliwił od cwili wkroczenia do Unii Europejskiej wykup mediów prywatnych przez kapitał zachodni.

Wolność słowa gwarantują tylko słowa. Kiedyś jednak ryto je w spżu i marmurze. Po to, by nikt, żaden rząd ani parlament nie mógł ich przeinaczać, ulegając przywołanym przez Czesława Miłosza wyższym argumentom na rzecz dyscypliny:

*“Gdyż według nowych danych większość z nich szepcze we śnie:
Błogosławione niech będą cenzura i niedostatek.”*

(Z rozdziału: Błogosławione niech będą koncesja i regulacja)

Nie sądzcie abyście nie byli sądzeni. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że Andrzeja Gosczyńskiego zaszczuto. Trudno powiedzieć, czy przyspieszono jego pewnie nieuchronną śmierć. Z pewnością zatruto mu ostatnie lata młodego jeszcze życia. A organizując nagonkę na tego Pamiętnego Człowieka, honorowy prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich zdemaskował się jako człowiek wysoce nieprzyzwoity.

(Z rozdziału: Stefan Bratkowski, czyli nieprzyzwoitość)

Jest to książka, którą czyta się jednym tchem. [...] Jest to książka o naszej współczesności. Stronnicza, więc wywoła z pewnością krytyczne uwagi. Tak być powinno. Nasze ostatnie dziesięciolecia dopiero wymagają opisanie i przemyślenia. Tych opowieści będzie wiele. Pośród nich znaczące miejsce zajmie książka Kijowskiego.

Paweł Śpiewak

(ze wstępu do tomu I – Odsłanianie dramatu)

Andrzej Tadeusz Kijowski przeprowadził wstrząsającą wivisekcję organizmu medialnego III RP, która dzisiaj, tak naprawdę, jest sekcją zwłok wolności słowa. [...] Czuję się zawstydzony jako naczelny i wydawca „Wprost” w tamtych czasach, gdy uchwalano tę ustawę. Biję się w własne piersi i uważam, że Kijowski ma prawo i obowiązek wymierzyć policzek nie koncesjonowanej prasie, która nie zauważyła zapisu rodem z PRL-u.

Marek Król

(ze wstępu do tomu II – A Teraz Konkretnie)

ATK jest niesprawiedliwy, stronniczy, gwałtowny i zbuntowany. W jego bojach o teatr można natrafić na oceny krzywdzące ale dostrzega się również pasję, zaangażowanie i ogromne doświadczenie. Ta wielka energia, z jaką podejmował kolejne wyzwania, widoczna jest na każdej stronie. [...] Sądzę, że ukazanie się tej książki okaże się wydarzeniem w naszym życiu teatralnym.

Maciej Wojtyzsko

(ze wstępu do tomu III/IV – Teatr to miejsce spotkania)

PATRONAT
MEDIALNY:

 RZECZPOSPOLITA

salon24



ISBN 978-83-923292-7-5



9 788392 329275

WYDAWNICTWO
ANTRAKT